UKRADZIONE SUKCESY DONALDA TUSKA

DEMOGRAFICZNY HORROR.
CO ROKU ZNIKA W POLSCE MIASTO

SENATOR BIERECKI: OPODATKOWAĆ CHWILÓWKI!

SIECI

HOLOKAUST JAKO BROŃ.
GRABOWSKI ŚCIGA WILDSTEINA

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
5 (687) 2026
26 stycznia – 1 lutego 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

TAJNY MAJĄTEK ŻURKA

MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI PAŁKĄ I KASTETEM BURZY PORZĄDEK PRAWNY W POLSCE. ZA NIC MA STANDARDY CYWILIZOWANEGO PAŃSTWA. JAKO JEDYNY CZŁONEK RZĄDU NIE UJAWNIA TEGO, CO POSIADA. CO MA DO UKRYCIA?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269601 05
Numer w sprzedaży do 2 II 2026 r.

polsat box

Ponad 130 kanałów

z super sportem, filmami, serialami i rozrywką

Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Szczegóły w cennikach i regulaminach dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl

Dyktatura włamała się do KRS

Środowe przedpołudnie. Redakcje wysyłają po kilka ekip do Sądu Okręgowego w Warszawie. Tam rozpoczyna się proces ks. Michała Olszewskiego oraz byłych urzędniczek z Funduszu Sprawiedliwości. Oczy dziennikarzy są tam skierowane. Reszta mediów jest w Sejmie. Waldemar Żurek przedstawia swój kuriozalny projekt nowej ustawy „sędziowskiej". W Sejmie przebywa też sędzia Dagmara Pawelczyk-Woicka, przewodnicząca KRS (cudem zdąży wrócić z parlamentu tuż przed atakiem na Radę). Prezydent Karol Nawrocki przebywa zaś w Davos. O to właśnie chodzi władzy. Przerzucenie ekip telewizyjnych i medialnych z sądu do siedziby KRS zajmie sporo czasu. Ten czas będzie kluczowy w szybkiej pacyfikacji Rady.

W południe, gdy przedłużała się kolejna przerwa w rozprawie sądowej, pojawia się informacja, że kilkudziesięciu policjantów i dwóch prokuratorów szturmuje Krajową Radę Sądownictwa. Brutalnie wypychani są dziennikarze, ekipa władzy włamuje się do gabinetów i szaf pancernych. Szukają akt spraw dyscyplinarnych prowadzonych przez sędziego Piotra Schaba, legalnego Rzecznika Dyscyplinarnego Sędziów Sądów Powszechnych, oraz jego zastępców – Przemysława Radzika oraz Michała Lasotę. Prokuratorzy zachowują się wyjątkowo butnie, są pewni siebie, ignorują stojącą na ich drodze sędzię Dagmarę Pawełczyk-Woicką. Dzieje się to przy jednoczesnej blokadzie medialnej. Dziennikarze są usuwani z pomieszczeń, które Rada wynajmuje od jednej z uczelni.

Prokuratorzy – tak jak ich mocodawca, minister Waldemar Żurek – nie uznają legalnych rzeczników dyscyplinarnych. Adam Bodnar miał ich rzekomo odwołać już w kwietniu ub.r. Sęk w tym, że sędziowie Schab, Radzik i Lasota są legalnymi rzecznikami do końca kadencji. Ich usunięcie jest więc nieprawne, a zajmowanie szaf pancernych z aktami i wybijanie zamków w drzwiach to czyste bezprawie. Dlaczego rzecznicy są legalni? Sąd Najwyższy regularnie dopuszcza ich do rozpraw, nie podważa ich statusu. Bezprawność decyzji dobrze opisuje fragment opinii niezależnego stowarzyszenia prokuratorów Ad Vocem: „»Odwołanie« Rzecznika Dyscyplinarnego Sędziów Sądów Powszechnych i Zastępców Rzecznika Dyscyplinarnego Sędziów Sądów Powszechnych odbyło się z naruszeniem przepisów, albowiem wbrew ustawie Prawo o ustroju sądów powszechnych nie wzięto pod uwagę ich kadencji. Minister Sprawiedliwości podejmując takie decyzje, które w jego mniemaniu odwoływały rzeczników dyscyplinarnych, zamienił się w głównego interpretatora ustawy, a zarazem Trybunał Konstytucyjny, stwierdzając, że przepis, który reguluje kadencję, po prostu mu się nie podoba" – czytamy we wpisie stowarzyszenia w mediach społecznościowych, którego ilustracją jest księga z napisem „Iustice". W księdze znajduje się stalowy łom.

Doskonały rysunek autorstwa grafika Zygmunta Zaradkiewicza jest dobrym komentarzem do działań śledczych ze stajni Waldemara Żurka. Łom kojarzy się bowiem z przestępstwem i brutalną siłą. Oto właśnie chodzi ministrowi i jego akolitom. Oni potrzebują „sukcesu", który będzie chwalić najzajadlejsza kasta wyznawców Donalda Tuska.

Gdzie trafią wydarte z szaf pancernych akta spraw dyscyplinarnych prowadzonych przez sędziów Schaba, Radzika i Lasotę? Prawdopodobnie do Prokuratury Krajowej oraz do resortu sprawiedliwości, gdzie przejmą je uzurpatorzy Waldemara Żurka. Wieść niesie, że prokuratorów interesowały także akta spraw dotyczących udziału niektórych sędziów w zamachu stanu, który od dwóch lat trawi polską rzeczywistość prawną i polityczną. Wiele wskazuje, że i one wpadły w ręce śledczych.

Ta władza zachowuje się jak nocny złodziej, który bezprawnie włamuje się do naszego państwa, niszczy prawne systemy alarmowe, wyłamuje drzwi chroniące nas przed pełzającą dyktaturą i narzuca bezprawie. Tak działa od pierwszych dni swojego trwania.

„W każdej w chwili, na tej samej zasadzie, jak to było wczoraj w siedzibie KRS, mogą wejść do Sądu Najwyższego. To jest rzecz niespotykana, nie ma takiego państwa, które mieni się państwem prawnym, żeby przedstawiciele władzy wykonawczej w stosunku do innych organów tak postępowali" – podsumowała sędzia Dagmara Pawełczyk-Woicka.

Wojciech Biedroń

Reklama | 10/0126/F

eprasa.pl a114821b69

SIECI spis treści

29 Zagrywka Braunem
Z Tobiaszem Bocheńskim rozmawia Dorota Łosiewicz

48 Mercosur, czyli europejska opcja na Chiny
Marek Budzisz

54 Ranking najbardziej wpływowych katolików na świecie
Grzegorz Górny

NA POCZĄTEK

5 **POMAWIAM GRABOWSKIEGO?**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **CZAS TO PIENIĄDZ**
Dorota Łosiewicz

9 **NIEMCY DO PARAGWAJU!**
Jan Pietrzak

9 **KRYZYS JAKO PRETEKST. BERLIN PISZE NOWĄ UNIĘ**
Samuel Pereira

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **BRUKSELSKA RZEŹNIA DLA EUROPEJSKIEGO ROLNIKA**
Daniel Obajtek

13 **KONGLOMERAT INTERESÓW**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA KATARZYNY WASILEWSKIEJ**
Michał Korsun

16 **KICZ POJEDNANIA OPRAWIONY W RAMKĘ**
Arkadiusz Mularczyk

17 **KAPITULACJA CZY ZDRADA?**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

18 **TAJNY MAJĄTEK ŻURKA**
Łukasz Wróblewski

KRAJ

22 **NIE MIELIŚMY Z NIMI SZANS**
Z Mariuszem Kamińskim i Maciejem Wąsikiem rozmawia Marek Pyza

26 **CUDZE SUKCESY TUSKA**
Konrad Kołodziejski

29 **ZAGRYWKA BRAUNEM**
Z Tobiaszem Bocheńskim rozmawia Dorota Łosiewicz

32 **POLSKA 2050 NA ZAKRĘCIE**
Stanisław Janecki

34 **CO ROKU ZNIKA Z POLSKI MIASTO WIELKOŚCI OLSZTYNA**
Z Markiem Grabowskim rozmawia Jerzy Szmit

37 **STRZAŁY DO HALLERA**
Łukasz Wróblewski

40 **CZŁOWIEK Z DACHU**
Mariusz Pilis

OPINIE

44 **HOLOKAUST JAKO BROŃ POLITYCZNA**
Z Bronisławem Wildsteinem rozmawia Maciej Walaszczyk

ŚWIAT

48 **MERCOSUR, CZYLI EUROPEJSKA OPCJA NA CHINY**
Marek Budzisz

51 **GRENLANDZKA FURIA EUROPY**
Jan Rokita

54 **WIARA W CZASACH GLOBALIZACJI. RANKING NAJBARDZIEJ WPŁYWOWYCH KATOLIKÓW NA ŚWIECIE W 2025 r.**
Grzegorz Górny

HISTORIA

58 **NARODZINY POSTKOMUNIZMU. JAK PZPR PRZEPOCZWARZYŁA SIĘ W SLD**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

61 **MISTRZOWSKIE ZAGRANIE**
Jolanta Gajda-Zadworna

64 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

GOSPODARKA

66 **CHWILÓWKI POD SPECJALNĄ OCHRONĄ?**
Piotr Filipczyk

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: EDWARD POREMBNY**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **TEKIELI DO STECZKOWSKIEJ: SZUKASZ FAŁSZYWEJ NADZIEI**
Robert Tekieli

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **„NOWI" POLACY. JESTEM ZA!**
Ryszard Czarnecki

74 **TO NIE KOSMICI!**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl a114821b69

BRONISŁAW WILDSTEIN

Pomawiam Grabowskiego?

Przed sądem warszawskim toczy się proces, który wytoczył mi prof. Jan Grabowski o pomówienie. Oburzył się moim sformułowaniem w wywiadzie dla nieistniejącego już internetowego tygodnika TVP: „Grabowski nie jest żadnym badaczem, ale osobnikiem, który nienawidzi Polski i usiłuje ją pokazać w najgorszym świetle. Opowiada bzdury o setkach tysięcy Żydów mordowanych przez Polaków w czasie II wojny światowej". Żąda przeprosin i wpłacenia 50 tys. zł (z odsetkami) na wskazany przez niego cel społeczny.

Jak jednak można przepraszać za oczywistości?

To nie moja prywatna sprawa. Grabowski jest dziś głównym oskarżycielem Polaków o współsprawstwo Holokaustu. Oszczerstwo to wpływa na nasz wizerunek w międzynarodowej opinii i odciska się na wewnętrznej polityce Polski.

Niemcy coraz konsekwentniej prowadzą politykę historyczną, zgodnie z którą to wyłącznie ideologia doprowadziła do ludobójstwa. Nie ma istnieć żadna narodowa „wina". Zbrodni dokonali opętani antysemityzmem faszyści, a to, że akurat zdobyli oni władzę w Niemczech, to dziejowy przypadek. Współpracowali z nimi ich ideowi pobratymcy z innych krajów, w których jeszcze przed wojną mieli być blisko zdobycia władzy. Tak podobno było w Polsce.

Interpretację tę wspiera dziś najbardziej znaczące na świecie liberalno-lewicowe środowisko. Idea narodu jest dla niego co najmniej podejrzana. Przyjęcie, że w czasie wojny jedne narody zachowywały się dobrze, inne źle, nie pasuje do jego ideologii, toteż usiłuje ono zrelatywizować odpowiedzialność Niemców i rozciągnąć ją na inne wspólnoty, zwłaszcza na Polaków. Nasza tradycyjna, katolicka tożsamość jest solą w oku postępowej mentalności.

Historyczny rewizjonizm wspierany jest przez Rosję, która w ten sposób usprawiedliwia sojusz Stalina z Hitlerem i uczestnictwo w rozbiorze RP w 1939 r., uzasadniając je obroną uciskanych przez Polaków narodów.

Wszystkie te wyobrażenia znajdują wsparcie części opinii publicznej Izraela, której antypolskie postawy zinterpretowałem do pewnego stopnia w tekście „Polska, antysemityzm, lewica".

Najważniejsze jednak, że polskiej pamięci nie broni establishment III RP ani większość jej rządów. To element „pedagogiki wstydu", której celem ma być przezwyciężenie tożsamości Polaków, ich „modernizacja" oraz „europeizacja".

Na zasadzie wahadła wyzwala to antysemickie nastroje na prawicy polskiej. Podsyca je ugrupowanie Brauna, a także coraz większa liczba internetowych gwiazd, które za całość zła w Polsce i na świecie czynią odpowiedzialnym żydowski spisek.

Grabowski jest doskonałym upostaciowaniem tego typu rojeń. Polak o żydowskim pochodzeniu zrobił karierę na przypisywaniu Polakom odpowiedzialności za Holokaust. Funkcjonuje głównie na forum międzynarodowym, nie pokazując kontekstu zbrodni oraz bagatelizując postawę władz londyńskich i Polskiego Państwa Podziemnego, które usiłowały jej przeciwdziałać. Rozpowszechnia liczbę 200 tys. Żydów zamordowanych jakoby przez Polaków. Odwoływał się do pracy badacza Zagłady Szymona Datnera, który nigdy nic takiego nie napisał, a postawę Polaków wobec Żydów wartościował pozytywnie.

Grabowski oskarżył mieszkańców Markowej, że po wymordowaniu przez Niemców rodziny Ulmów zabili chowających się u nich Żydów. W rzeczywistości ukrywali ich do końca wojny, o czym świadczyli żyjący do niedawna ocaleni.

„Metoda" badawcza Grabowskiego polega na pomijaniu faktów niesprzyjających jego wykładni i opieraniu się wyłącznie na relacjach obciążających Polaków, choćby pochodziły od niemieckich sprawców zbrodni.

Nie konfrontuje się on merytorycznie z wykazywanymi mu przez historyków fałszami i manipulacjami, a autorów obciąża inwektywami, z których podstawowym jest pomówienie o antysemityzm.

Filomena Leszczyńska podała go do sądu za to, że w książce „Dalej jest noc...", której był redaktorem naukowym, wydanej przez Centrum Badania nad Zagładą Żydów, jej stryj przedstawiony został jako szmalcownik, choć w rzeczywistości pomagał Żydom.

Grabowski oświadczył, że nie widział dokumentów sprawy, bo „nie taka jest rola redaktora naukowego", a recenzje wydawnicze „nie były dla książki potrzebne", gdyż „on sam ma wystarczające doświadczenie i wiedzę".

Równocześnie proces ten przedstawił w opinii światowej (niestety skutecznie) jako przykład blokowania badań historycznych przez rząd PiS.

Teraz osobnik ten oskarża mnie, że uznałem go za pseudonaukowca, gdyż – jak twierdzą jego rzecznicy – jest on kanadyjskim profesorem, renomowanym i uznanym historykiem. Prawda – jako taki funkcjonuje w światowej opinii.

Czy szeroko kolportowana mistyfikacja przestaje nią być, a jej autor uzyskuje rangę naukowca? Czy można uznać za badacza osobę, która nie próbuje dochodzić rzeczywistości, swoje wywody podporządkowuje założonej tezie, eliminuje niewygodne fakty i świadectwa oraz nie odpowiada na krytykę?

Zastanawiam się, czy Grabowskiego w ogóle jesteśmy w stanie pomówić.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a114821b69

Sygnalista nadaje

Presja ma sens! Parlament Europejski 334 głosami za, 324 przeciw i 11 wstrzymującymi przyjął rezolucję w sprawie skierowania umowy UE–Mercosur do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Ratyfikacja porozumienia jest wstrzymana. „Wielka klęska Ursuli von der Leyen i jej strategii lekceważenia traktatów europejskich!" – napisała na platformie X europoseł PiS Beata Szydło.

„Osobiście mam do tego duży sceptycyzm i pewien niesmak w zasiadaniu z ludźmi, których nawet nie chce mi się oglądać w telewizji. Mówię np. o Putinie". W ten sposób tow. marszałek ***Włodzimierz Czarzasty*** komentował zaproszenie Polski do Rady Pokoju, którą w tym momencie przygotowuje Donald Trump. Były komunista daje lekcję demokracji przywódcy wolnego świata. I od kiedy tow. Czarzasty ma problem z zasiadaniem przy jednym stole z ludźmi z Kremla? Chyba nie jest to dla niego niczym nowym.

W zeszłym tygodniu w Sądzie Okręgowym w Warszawie rozpoczęto proces ks. Michała Olszewskiego i byłych urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości w sprawie rzekomych nieprawidłowości w funkcjonowaniu Funduszu Sprawiedliwości. Rozpoczął się, mimo że obrona prosiła o jego odwołanie z kilku powodów. Przede wszystkim powodu bardzo wątpliwego składu sądu. Przewodniczącą składu sędziowskiego jest sędzia Justyna Koska-Janusz, znana ze swojej aktywności w upolitycznionym Stowarzyszeniu Sędziów Polskich „Iustitia". Oprócz tego obrona wskazała, że w ostatnim momencie zmieniono dwóch ławników, i to tych, którzy byli wylosowani. Tego samego dnia ***Donald Tusk*** i minister sprawiedliwości ***Waldemar Żurek*** przygotowali kolejną „niespodziankę" dla polskiego państwa prawa: policja weszła do siedziby Krajowej Rady Sądownictwa. Podjęto działania w celu siłowego zdobycia akt spraw dyscyplinarnych rzeczników dyscyplinarnych sędziów sądów powszechnych. Policja włamuje się do jednej z najważniejszych instytucji wymiaru sprawiedliwości i odbiera sędziom klucze! To już nie kryptodyktatura, ale otwarty totalitaryzm.

Jeszcze o procesach. Rozpoczął się również ten, w którym historyk Jan Grabowski pozywa znanego konserwatywnego pisarza i publicystę Bronisława Wildsteina. Grabowski, który całą karierę poświęcił pisaniu o rzekomych zbrodniach Polaków na Żydach w czasie II wojny światowej, ma problem, bo w wywiadzie dla nieistniejącego już „Tygodnika TVP" Wildstein powiedział, że „nie jest on badaczem". „Badacz to jest ktoś, kto usiłuje dotrzeć do prawdy [...]. Jeśli ktoś robi coś innego, jeśli np. podporządkowuje założonej tezie swoje odwołania do danych, tzn. jedne dane bierze pod uwagę, a inne nie, manipuluje nimi, przekręca, mistyfikuje, to nie jest badaczem" – wyjaśnił publicysta. I przypomniał później, jak Grabowski np. fałszywie oskarżył mieszkańców wsi, w której zamordowano rodzinę Ulmów, o to, że po niemieckim mordzie ich sąsiedzi zabili wszystkich ukrywających się na wsi Żydów. Oczywiście okazało się to nieprawdą. „Gra-

eprasa.pl a114821b69

bowski jest liderem w oczernianiu Polski i tworzeniu z Polaków współodpowiedzialnych za Holokaust" – stwierdził Wildstein. Z jednej strony cały proces jest absurdalny, ponieważ takiego intelektualistę jak Wildstein ktoś próbuje pouczać, co i jak ma mówić. Z drugiej – pocieszające jest to, że będziemy świadkami sytuacji, w której Wildstein będzie merytorycznie wyjaśniać, co problematycznego jest w działaniach Grabowskiego i jemu podobnych.

Legenda opozycji antykomunistycznej ***Adam Borowski*** został prawomocne skazany na pół roku bezwzględnego więzienia z powodu słów, które padły z jego ust na temat posła KO ***Romana Giertycha***. W programie TV Republika Borowski mówił o aferze prania brudnych pieniędzy w firmie Polnord i znanej wszystkim roli Romana Giertycha (przypomnijmy, prokuratura w dziwnych okolicznościach umorzyła śledztwo przeciwko posłowi KO). Borowski po porostu powtórzył te samy rzeczy, o którym czytamy w mediach – i to nie tylko konserwatywnych – już od kilku lat. To wystarczyło, aby Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia zdecydował, że popełnił on czyn zniesławienia z art. 212 par. 2 Kodeksu karnego. Opozycjonista wychowany w duchu uczciwości i prawdy nie chciał przeprosić i teraz ma iść do więzienia. Byli komuniści zostają marszałkami Sejmu, a ci, którzy walczyli z komunistycznym reżimem, jako starzy ludzie trafiają do więzienia za krytykę rządzących. Witamy w Polsce koalicji 13 grudnia. „Więzienie za poglądy? To nie historia – to rzeczywistość w Polsce Anno Domini 2026. Adam Borowski – zasłużony działacz opozycji antykomunistycznej, społecznik – ma trafić do więzienia! To wyraźny powrót do praktyk rodem z czasów PRL" – napisał w mediach społecznościowych Jarosław Kaczyński.

W partii Polska 2050, niegdyś obiecującym projekcie politycznym Szymona Hołowni, dzieją się rzeczy, które przypominają scenariusz opery mydlanej. Po tym, jak Hołownia ogłosił odejście z tego stanowiska, partia próbuje wybrać nowego lidera, ale po prostu się to nie udaje. II tura wyborów na szefa partii, w której walczyły Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz i Paulina Hennig-Kloska, została unieważniona. I to z powodów technicznych, bo narzędzie do głosowania nie działało sprawnie. Potem Rada Krajowa partii zdecydowała, że do końca tego miesiąca ma być powtórzona II tura wyborów. Według wielu sondaży obecnie poparcie dla partii wynosi upokarzające 2 proc. – po tym, jak Hołownia ogłosił odejście z funkcji lidera (choć i wcześniej nie była dużo większa).

Jednak to właśnie ta formacja polityczna potencjalnie decyduje o przyszłości koalicji 13 grudnia. Niektóre media donosiły nawet, że jeśli Hołownia odzyska wpływy w partii, jest gotów „zaostrzyć" relacje z premierem Tuskiem. Ale, jak widzimy, nic z tego nie będzie. Partia prawdopodobnie pozostanie w stanie wegetacji do końca tej kadencji parlamentu, a potem większość jej przedstawicieli przejdzie do Koalicji Obywatelskiej. Nic nowego – powiedzieliby niektórzy.

Wygląda na to, że prokurator Ewa Wrzosek bardzo lubi symbole statusu, nawet kiedy ich posiadanie oraz pokazywanie się z nimi w miejscach publicznych jest możliwym przestępstwem. Ulubiona prokurator ministra Waldemara Żurka opublikowała w mediach społecznościowych nagranie, w którym zaprasza do aktywności charytatywnej, i to nie gdzie indziej niż w ramach WOŚP. Problem jednak w tym, że na nagraniu widać, że nosi zegarek, którego wartość może sięgać setek tysięcy złotych. Całą sprawę odkrył dziennikarz telewizji wPolsce24 Szymon Szereda. Zauważył, że zegarek pani prokurator wygląda jak model Patek Philippe Nautilus Tiffany & Co., który kosztuje fortunę. I co teraz? Jeśli jest on prawdziwy, dlaczego nie ma go w dostępnym oświadczeniu majątkowym Wrzosek? Jeśli to – jak zasugerowali niektórzy – „podróbka", jej wprowadzanie do obrotu jest nielegalne i pani prokurator powinna wyjaśnić, skąd ją ma. Oczywiście prokurator Wrzosek żyje w świecie, w którym rządzi – cytując klasyka – „prawo jak my je rozumiemy", nie odpowiedziała więc na pytania dziennikarza. Powinna jednak wiedzieć, że taki bezprawny świat nie będzie trwał wiecznie.

Już następnego dnia po ujawnieniu ekscentrycznych skłonności pani prokurator kolejny członek garnituru rządzącego dołączył do klubu posiadaczy drogich zegarków, których nie zgłasza się w oświadczeniu majątkowym. Poseł Lewicy i były wiceminister spraw zagranicznych Andrzej Szejna został zauważony z zegarkiem marki Omega wartym ok. 40 tys. zł, który nie figuruje w jego najnowszym oświadczeniu majątkowym. Poseł próbował wyjaśniać, że kupił Omegę po 31 grudnia 2024 r. i dlatego nie ma jej w deklaracji. Gdy pokazano mu zdjęcia, na których widać, że nosi ten sam zegarek przed 31 grudnia 2024 r., nic więcej już nie powiedział. Ciekawa ta fascynacja drogimi zegarkami na nadgarstku. Przypomina nam to zdjęcia radzieckich żołnierzy z ostatnich dni wojny, noszących na nadgarstkach kilka skradzionych zegarków. Trochę ten sam poziom.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk, M. Czutko

eprasa.pl a114821b69

WIEŻA BAB

Czas to pieniądz

Poseł Szejna to polityk, wokół którego czasem dzieje się więcej, niż on sam chciałby pamiętać

Czas w tej historii odmierza się nie tylko sekundnikiem, lecz także pamięcią – a ta u Andrzeja Szejny zdaje się mieć tryby: „Pauza", „Przewiń", a czasem – „Wymaż". Sprawa byłego wiceszefa MSZ to bowiem opowieść o tym, jak w ciągu kilku chwil i godzin można całkowicie zmienić zdanie i mieć z tego powodu spore problemy.

Zaczęło się od uwagi na platformie X dziennikarza telewizji wPolsce24 Szymona Szeredy, że w najnowszym oświadczeniu majątkowym, złożonym w kwietniu 2025 r., poseł Lewicy Andrzej Szejna wśród należących do niego przedmiotów o wartości przekraczającej 10 tys. zł wpisał m.in. dwa samochody, lecz nie wspomniał o luksusowym zegarku. A powinien, bo na nadgarstku polityka nasz dziennikarz wypatrzył zegarek Omega Speedmaster (nowy model można kupić za jedyne 40 tys. zł). Czasomierz legendarny, księżycowy, najwyraźniej także... niewidzialny dla rubryki „mienie ruchome".

Podczas rozmowy w Sejmie z innym reporterem wPolsce24, Maciejem Zemłą, Szejna nie mógł się zdecydować, czy jego zegarek to faktycznie luksusowa Omega, czy nie. Najpierw z dumą przytaknął, później pytany o niewpisanie przedmiotu do oświadczenia majątkowego, zaczął kluczyć. „To jest zegarek, który... muszę sobie przypomnieć, co to za zegarek" – mówił poseł. Trudno się dziwić: czas płynie, modele się zmieniają, a pamięć bywa zawodna, zwłaszcza gdy wskazówki kręcą się wokół 40 tys. zł. Dopytywany dalej w końcu uciął: „To nie jest Omega, nie. To nie jest Omega". Sprawa załatwiona – skoro nie Omega, to problemu nie ma. Przynajmniej do następnego odczytu czasu.

Ten problem z przypominaniem sobie szczegółów nie jest nowością w tej historii. Od lat bowiem w przestrzeni publicznej wracają doniesienia medialne o problemach Andrzeja Szejny z alkoholem, które sam polityk w przeszłości komentował, przyznając się do trudności i deklarując pracę nad sobą. W tym kontekście zegarek, którego nie można sobie przypomnieć, wydaje się wręcz detalem, bo pamięć bywa tu zmienna i zależna od okoliczności.

Szejna szybko postanowił wytłumaczyć się na platformie X. Już nie podawał w wątpliwość, że zegarek jest sporo wart, ale zapewniał, że nie złamał prawa. „Wszystko zgodnie z przepisami. Oświadczenie składa się do końca kwietnia danego roku według stanu na 31 grudnia roku poprzedniego. Zatem oświadczenie, które Pan prezentuje, to stan na 31.12.2024 złożone w kwietniu 2025, gdy nie posiadałem zegarka o wartości przekraczającej 10 000" – napisał. Jednak w rozmowie z TVP Info znów zmienił zdanie. Przeskoczyła ona do epoki „nigdy". „Nigdy nie posiadałem, nie byłem właścicielem zegarka jakiegokolwiek, a mam ich sporo – też dzisiaj ze sobą jeden z nich – którego wartość przekraczałaby 10 000 zł" – stwierdził Szejna. Czyli: zegarków jest dużo, jeden jest dziś, ale żaden nigdy nie był drogi. Nawet jeśli wygląda drogo. Nawet jeśli przypomina Omegę. Nawet jeśli wcześniej był „zegarkiem, który... muszę sobie przypomnieć" i którego nie wpisałem, bo go jeszcze nie miałem.

To nie pierwsze wizerunkowe problemy Andrzeja Szejny, o których w przeszłości informowały media. Oprócz alkoholu jest sprawa rzekomego pobicia młodej, lewicowej działaczki. Sprawa ta, niezależnie od jej finału i ocen prawnych, na trwałe wpisała się w publiczny wizerunek Szejny jako polityka, wokół którego czasem dzieje się więcej, niż on sam chciałby pamiętać.

Po tym zamieszaniu politykowi grozi zawieszenie w prawach członka klubu Nowej Lewicy. „Były wiceminister musi udowodnić, że miał podstawy do niewpisania zegarka do swojego oświadczenia majątkowego" – podaje RMF FM. Innymi słowy: czas start. Teraz trzeba będzie precyzyjnie ustalić, kiedy zegarek był, kiedy go nie było, kiedy był drogi, a kiedy tylko wyglądał na drogi oraz w jakiej strefie czasowej obowiązuje pamięć posła.

Jedno jest pewne: Omega Speedmaster to zegarek, który mierzył czas misji kosmicznych. Andrzej Szejna najwyraźniej postanowił sprawdzić, czy da się nim zmierzyć także granice politycznej narracji. Na razie wskazówki kręcą się szybko i nie wiadomo, na której godzinie ta historia się zatrzyma.

Dorota Łosiewicz

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Niemcy do Paragwaju!

Jan Pietrzak

Energia rozpierająca prezydenta Trumpa powoduje niezwykłą aktywność wielu państw. Też chcą zaistnieć w globalnej przepychance, tworzącej nowy układ sił w nadchodzących latach. Efektowny pokaz siły wykonała Republika Federalna Niemiec. W odpowiedzi na zakusy Stanów Zjednoczonych zdecydowanym rozkazem kanclerza wysłała wojsko do obrony arktycznej Grenlandii. Oddział kilkunastu żołnierzy po rozpoznaniu terenu stwierdził, że jest tam zbyt zimno, by walczyć o cokolwiek i wrócił do ciepłej Rzeszy. W trosce o humanitarne relacje pozostawili lokalnym siłom zbrojnym 15 używanych hełmów. To te same hełmy, które były już na Ukrainie. Tam się nawalczyły, przydadzą się w bardziej wymagającym klimacie.

Zapatrzony w niemiecki przykład polski rząd przeprowadził ćwiczenia mające wyłonić najskuteczniejszy sposób obrony duńskiej własności przed imperialnymi zapędami Wuja Sama. Na początek rządowi specjaliści od wojny hybrydowej radzą wysłać na granicę z Grenlandią dzielnych, sprawdzonych aktywistów w rodzaju Frasyniuka, Kurdej-Szatan, Jońskiego ze Szczerbą, Sterczewskiego z suchym prowiantem i moralnym wsparciem. Ci sprawdzeni w walce z kaczystowskim reżimem zapaleńcy kilka lat temu stanęli murem za niezawisłym prezydentem Łukaszenką i obronili go!

Co prawda nie mamy wspólnej granicy z Grenlandią, ale USA też nie mają, a robią, co chcą! Nie wolno dopuścić do woluntarystycznych poczynań amerykańskiej soldateski. Takie nastroje tu krążą – w czasie, gdy śnieżyce i gołoledzie, czyli tradycyjne „plagi Tuska", uporczywie utrudniają ludziom egzystencję. Może dlatego mało kto zwraca uwagę na takie detale jak przyszłość Polski. A przecież to wszystko się ze sobą wiąże.

Kryzys demograficzny z opiłowaniem naszej chrześcijańskiej wiary, co zarządził tu niejaki Nitras. Wykańczanie rodzinnego rolnictwa przez inwazję międzynarodowych gangów oligarchów, co zarządziła niejaka von der Leyen. Trwa mecz stulecia: latyfundyści kontra farmerzy, Mercosur kontra Wólka Dolna. Przy czym cała nadzieja w Wólce, nie w Mercosurze. Taki paradoks się tu rozgrywa (przy okazji serdecznie pozdrawiam mieszkańców tego zacnego sołectwa w gminie Kosów Lacki w powiecie sokołowskim!). Pozdrawiam wszystkich rolników, kiedyś dumnie zwanych chłopami, którzy mają siłę i odwagę protestować przeciwko zmowie krajowych i zagranicznych oszustów. Chłopy! Polska liczy na waszą determinację! Ruch Obrony Granic śpiewa „Rotę", protestując przy granicach naruszanych przez dywersantów. Śpiewajcie z nimi. Wszyscy śpiewajmy z nimi! „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz / Ni dzieci nam germanił". Nie chcemy niemieckich rządów w Polsce! Niemcy do Paragwaju!

Kryzys jako pretekst. Berlin pisze nową Unię

Samuel Pereira

Wystąpienie Ursuli von der Leyen w Davos nie było rutynowym przemówieniem technokratki, lecz manifestem politycznym. Manifestem człowieka, który – korzystając z globalnego chaosu – próbuje raz na zawsze przestawić Unię Europejską na nowe tory. Tory prowadzące nie ku wspólnocie suwerennych państw, lecz ku scentralizowanemu superpaństwu pod niemiecką dominacją.

Von der Leyen to nie polityk znikąd. Bliska współpracowniczka Angeli Merkel, była minister obrony Niemiec, dziś stoi na czele Komisji Europejskiej i coraz śmielej mówi językiem dyktatu, a nie współpracy. W Davos padły słowa, które nie pozostawiają złudzeń: „Geopolitical shocks can – and must – serve as an opportunity for Europe" („Geopolityczne wstrząsy mogą – i muszą – stać się szansą dla Europy"). Kryzys nie jest więc problemem – jest narzędziem. Dalej powiedziała: „If this change is permanent, then Europe must change permanently too" („Jeśli ta zmiana jest trwała, to Europa również musi zmienić się na stałe"). To już nie analiza, lecz zapowiedź trwałej przebudowy UE – bez pytania obywateli o zgodę.

Nie chodzi wyłącznie o wolny handel czy koordynację polityk. Projekt „EU Inc.", wspólny rynek kapitałowy, jednolite regulacje, wspólna polityka energetyczna i obronna – wszystko to tworzy obraz jednego centrum decyzyjnego. Przypadkiem akurat w kraju, który od dekad marzy o politycznej hegemonii w Europie.

Gdy w grudniu 2021 r. Jarosław Kaczyński mówił na nadzwyczajnym posiedzeniu klubu PiS: „Ciężkie czasy przyszły dla Europejczyków. Niemcy wyłożyły karty na stół i chcą budowy IV Rzeszy. My na to nie pozwolimy", został zakrzyczany przez chór oburzonych. Dziś widać, że Berlin nie tylko nie zrezygnował z tych ambicji, lecz także przyspiesza – mimo że poparcie Europejczyków dla dalszej federalizacji wyraźnie słabnie.

W tym projekcie swoje miejsce ma oczywiście też Donald Tusk, politycznie i mentalnie podpięty pod niemiecką wizję Europy. To już nie jest spór o tempo integracji. To spór o to, kto będzie rządził Europą: narody czy nowa, niemiecka centrala. A nasz kontynent ma już tragiczne doświadczenie tego, jak się kończy dominacja Berlina w Europie. Nigdy więcej.

Fot. Archiwum

eprasa.pl a114821b69

Zielono-czerwona inkwizycja

Hiszpańska minister środowiska Sara Aagesen chce, aby prokuratura zwalczała denializm klimatyczny w internecie oraz osoby krytykujące naukowców propagujących oficjalną wersję globalnego ocieplenia. Zadeklarowała też, że pomoże prokuratorom w ściganiu heretyckich – z jej punktu widzenia – poglądów.

Ministerstwo przeanalizowało wyniki kilku badań, które miały wykazać skokowy wzrost intensywności, a nawet brutalności ataków na klimatologów, meteorologów i dziennikarzy specjalizujących się w sprawach klimatycznych. Stosując algorytmy wykrywania mowy nienawiści oraz techniki eksploracji tekstów, stwierdzono, że jedna czwarta badanych komentarzy wykazywała „pewien stopień wrogości" wobec pracowników Państwowej Agencji Meteorologicznej i ich działalności. Jedno z badań pokazuje, że 17,6 proc. tego rodzaju postów, pojawiających się na należącej do Elona Muska platformie X (dawnym Twitterze), miało zawierać „mowę nienawiści" lub „ataki osobiste" wymierzone w naukowców głoszących i udostępniających – jak to sformułowano – „poprawne i zweryfikowane informacje", co według rządowych ekspertów może podważyć społeczne zrozumienie kryzysu klimatycznego.

W tej sytuacji aktywność internautów, blogerów i farm botów uznano za „wzrost mowy nienawiści" oraz „dezinformację". Szczególny niepokój wzbudziły internetowe wpisy atakujące klimatologów, co ma dyskredytować obowiązującą teorię globalnego ocieplenia, podważać wiarygodność badań i wpływać na zmniejszanie się społecznej akceptacji dla tzw. zielonej transformacji – wprowadzania OZE i ograniczania paliw kopalnych. A mówiąc otwarcie – zwiększać odporność na klimatyczną indoktrynację.

Od kilku lat w Europie powraca cenzura oraz ściganie poglądów i opinii niedopuszczalnych z punktu widzenia obowiązującej ideologii. W tym wypadku klimatycznej. Lewicowa Hiszpania konsekwentnie kroczy nie tylko drogą przetartą przez totalitarne despocje w przeszłości, lecz także kontynuuje marsz swoją specyficznie hiszpańską ścieżką, wytyczoną niegdyś przez Świętą Inkwizycję.

Maciej Walaszczyk

Demokratura po afrykańsku

Demokratura to popularna ostatnio zbitka słów oznaczająca dyktaturę, która zachowuje na zewnątrz pozory demokracji: odbywają się wybory, istnieje system wielopartyjny, a w konstytucji zapisane są prawa i wolności obywateli. Z takim systemem mamy do czynienia w wielu krajach – w tym w Ugandzie, gdzie w połowie stycznia odbyły się wybory prezydenckie. Zwyciężył w nich – już po raz siódmy – 81-letni Yoweri Museveni.

Museveni należy do najdłużej panujących władców w Afryce. Słowo „władca" jest tu całkowicie uzasadnione, bo sędziwy prezydent rządzi niepodzielnie od 40 lat. Jego kariera polityczna sięga lat 70. ub.w., gdy zaangażował się w walkę z ówczesnym dyktatorem Ugandy – osławionym Idi Aminem, a potem z jego następcą – Miltonem Obote. Gdy w 1986 r. obejmował urząd prezydenta, obiecywał, że przywróci demokrację i będzie przestrzegał praw człowieka. Zamiast tego uwięził rywali politycznych i rozpoczął brutalne represje. Zniósł także konstytucyjne ograniczenia wiekowe obowiązujące głowę państwa i limit kadencji prezydenckich. Lata jego panowania były naznaczone – zwłaszcza w pierwszym okresie – nieustannymi operacjami wojskowymi przeciwko rebeliantom, których ofiarą padła przede wszystkim ludność cywilna.

Dzięki rządom twardej ręki Museveni i jego partia – Ruch Narodowego Oporu – kontrolują wszystkie instytucje państwowe, w tym komisję wyborczą, członków której mianuje sam prezydent. Nic więc dziwnego, że nikt nie jest w stanie zagrozić jego rządom.

Wyzwanie Museveniemu chciał rzucić 43-letni Bobi Wine. Pod tym pseudonimem ukrywa się Robert Kyagulanyi Ssentamu, przywódca opozycyjnej Platformy Jedności Narodowej i dawny muzyk. Jego piosenki, w których często krytykował reżim, przyniosły mu sporą popularność wśród młodzieży, co w kraju z jedną z najmłodszych populacji w Afryce ma duże znaczenie. Po raz pierwszy Wine rzucił rękawicę Museveniemu w 2021 r., jednak spotkały go za to surowe represje – był trzykrotnie więziony, bity, a siły bezpieczeństwa zamordowały jego ochroniarza i represjonowały jego zwolenników.

Teraz Wine znowu wystartował przeciwko Museveniemu. W odpowiedzi reżim wyłączył internet (aby nie siać „dezinformacji"), a samego Wine'a umieścił w areszcie domowym, z którego politykowi udało się ostatecznie zbiec. W tej sytuacji oficjalny wynik opozycjonisty (24 proc. wobec 72 proc. głosów oddanych na Museveniego) można uznać za całkiem dobry, choć on sam uważa, że wybory sfałszowano. Nic dziwnego, bo 81-letni Museveni ma inne plany – szykuje na następcę swojego syna i nie pozwoli na to, aby ktokolwiek mógł w tym przeszkodzić.

Konrad Kołodziejski

Fot. Shutterstock x3, Wikipedia

eprasa.pl a114821b69

Wielka Brytania

Przez pub do władzy

Andy Lennox z pubu Stara Strzecha (Old Thatch) na południowym wybrzeżu Wielkiej Brytanii zainicjował rewoltę, która rozprzestrzenia się w tempie pożaru stogu siana. Chodzi o sprzeciw właścicieli pubów wobec rządowych planów podniesienia podatków. Sprawa odbija się głośnym echem, bo w brytyjskim modelu życia puby są czymś więcej niż tylko miejscem, w którym można wypić piwo.

Już ponad tysiąc pubów wywiesiło tabliczki z napisem: „Nie obsługujemy posłów Partii Pracy", a premiera Starmera wyproszono z jego ulubionego lokalu, gdzie zwykł wpadać „na pintę". Jeremy Clarkson, gwiazda programu telewizyjnego Top Gear, który jest właścicielem pubu Farmer's Dog, także przyłączył się do protestu, zakazując laburzystom wstępu do swojego lokalu, co zresztą bardzo spopularyzowało akcję. Jej uczestnicy argumentują, że w efekcie wzrostu ciężarów podatkowych i kosztów utrzymania kufel piwa kosztuje powyżej 5 funtów, co powoduje, że wizyta w lokalnym pubie staje się „luksusem". Ludzie wolą więc kupić trunek w sklepie i wypić go w domu. W spór zaangażował się nawet następca tronu, książę William, który powiedział, że „puby są sercem społeczności", mają swoje miejsce w brytyjskiej kulturze i choćby z tych powodów trzeba je chronić, a nie traktować jak zwykłe biznesy.

Obrońcy pubów dowodzą, że nowe regulacje podatkowe rządu oznaczają w praktyce „podwojenie" obciążeń, co będzie oznaczać ich masową likwidację. Według szacunków dziś w Anglii i Walii zamykany jest jeden pub dziennie, a od 2000 r. ich liczba w Zjednoczonym Królestwie spadła już o 15 tys.

Do protestujących właścicieli pubów przyłączają się inni. Ostatnio antypodatkową rewoltę wsparły m.in. zakłady fryzjerskie. Skala niezadowolenia jest tak duża, że zaczyna mieć wymiar polityczny. Gdyby teraz w Wielkiej Brytanii odbyły się wybory, to w świetle sondaży rządząca Partia Pracy poniosłaby dramatyczną klęskę, ale jeszcze gorzej wypadliby konserwatyści, którzy musieliby się liczyć z niemal całkowitym wyeliminowaniem ich reprezentantów z Izby Gmin. Zwycięstwo odniosłaby za to partia Reform UK Nigela Farage'a, znanego skądinąd z tego, że agitację polityczną prowadzi najczęściej właśnie w pubach.

Marek Budzisz

Francja

Szlaban dla Macrona

Włoskie media – powołując się na wiarygodne źródła w Sekretariacie Stanu Stolicy Apostolskiej, a także na watykańskiego archiwistę, abp. Giovanniego Cesarego Pagazziego – poinformowały, że Leon XIV nie ma zamiaru przyjmować na audiencji prezydenta Francji Emmanuela Macrona. Pałac Elizejski zabiega o wizytę w Rzymie już od kilku miesięcy, ale napotyka opór za Spiżową Bramą. Do tej pory papież gościł u siebie niemal wszystkich prezydentów i królów państw europejskich. Wśród najważniejszych brakuje tylko Macrona.

Wspomniane źródła donoszą, że odmowa stanowi wynik osobistej decyzji Leona XIV, który jest wzburzony kierunkiem, w jakim podąża „najstarsza córa Kościoła". Chodzi o uznanie aborcji za prawo konstytucyjne oraz trwający obecnie proces legislacyjny mający na celu legalizację eutanazji. W obu przypadkach inicjatorem haniebnych ustaw jest prezydent Francji, który poczytuje to sobie jako powód do chwały.

Według cytowanego abp. Pagazziego reakcję papieża wzmacnia „nieproporcjonalny antyamerykanizm Francji". Leon XIV nie zgadza się z wieloma działaniami politycznymi Donalda Trumpa, jednak wciąż jest Amerykaninem, który zniesie krytykę prezydenta USA, ale trudno mu przychodzi słuchanie drwin ze swojej ojczyzny.

Trzecia kwestia, która – zdaniem papieskiego otoczenia – zirytowała Roberta Prevosta, to decyzja francuskich władz, aby w odrestaurowanej katedrze Notre Dame nie umieszczać jedynych sześciu zabytkowych witraży, które zostały uratowane z niszczycielskiego pożaru w 2019 r., ale zastąpić je nowoczesnymi, zamówionymi u artystki Claire Tabouret. Francuska Narodowa Komisja Dziedzictwa i Architektury jednomyślnie odrzuciła kontrowersyjny projekt, jednak został on przeforsowany osobiście przez Macrona. Co więcej, prezydent Francji przekonał do tego pomysłu metropolitę Paryża abp. Laurenta Ulricha. 7 września duchowny skończy 75 lat, czyli osiągnie obowiązujący wiek emerytalny. Watykaniści przypuszczają, że papież nie przedłuży okresu jego urzędowania.

Grzegorz Górny

eprasa.pl a114821b69

Mercosur – brukselska rzeźnia dla europejskiego rolnika

20 stycznia 2026 r. Strasburg zamienił się w pole bitwy. 5 tys. wkurzonych do żywego rolników z całej Europy, w tym masa Polaków, ustawiło tam setki traktorów i powiedziało eurokratom, co myśli o ich „wspaniałej" umowie z Mercosurem

Hasła na transparentach nie pozostawiały złudzeń: „Von der Leyen – zdrajczyni wsi", „Mercosur = głód w Europie", „Stop importowi trucizny". Ci ludzie, którzy wstają o 4.00, by doić krowy i orać w deszczu, mają dość patrzenia, jak Bruksela szeroko otwiera wrota dla brazylijskiego mięsa z pożarów Amazonii, argentyńskiej soi na sterydach i urugwajskiego cukru produkowanego metodami, które u nas skończyłyby się zarzutami prokuratorskimi.

Następnego dnia, 21 stycznia, Parlament Europejski głosował w sprawie skierowania tej hańby do Trybunału Sprawiedliwości. Wynik był na żyletki – 334 za, 324 przeciw, 10 bało się powiedzieć „tak" albo „nie". To nie jest zwycięstwo – to potencjalne kupienie kilku miesięcy życia dla europejskich gospodarstw.

Komisja Europejska – ta sama, która wciska nam Zielony Ład i liczy emisje z beknięcia krowy – uznała pytania za „nieuzasadnione". Oczywiście. Bo jak tu uzasadnić sprzedaż własnej wsi za kilka procent wzrostu handlu z krajami, które palą lasy deszczowe, żebyśmy mogli jeść tanią wołowinę z hormonami?

Z perspektywy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów to nie jest żadna skomplikowana geopolityka – to zwykła, cyniczna zdrada. Patrzę na tę umowę z obrzydzeniem i wstrętem. Europejski rolnik – ten prawdziwy, nie pseudorolnik z dotacji na panele słoneczne – ma teraz konkurować z brazylijskim baronem, który wylewa pestycydy hektolitrami, nie płaci podatków ekologicznych i śmieje się w twarz unijnym inspektorom. Efekt? Ceny w dół. Marże na minus. Bankructwa lawinowo. Wieś pusta. Młodzi wyjeżdżają do miasta na zmywaki, bo na roli już się nie da wyżyć.

To nie jest przypadek – to celowy plan. Von der Leyen i jej EPP-owska banda, która jeszcze wczoraj płakała nad biednymi pszczołami, teraz spokojnie wpuszcza do Europy chemię, której sama zabrania swoim obywatelom. Level mistrzowski hipokryzji. Najpierw zmuszamy rolnika do redukcji nawozów o 20 proc., potem każemy mu konkurować z kimś, kto nawozi tyle, ile chce i czym chce. Brawo. Klasa światowa.

Rolnicy nie są „grupą interesu". Są kręgosłupem Europy. Bez nich nie ma chleba, nie ma mleka, nie ma mięsa, nie ma bezpieczeństwa żywnościowego. A bezpieczeństwo żywnościowe to podstawa suwerenności – tej prawdziwej, nie tej z eurokratycznych broszur. Jeśli TSUE nie zatopi tej umowy raz na zawsze, zostanie nam tylko jedno: kolejne traktory przed Parlamentem. Tylko następnym razem będzie ich więcej. I będą głośniejsze.

I powiem wam wprost – niech ci wszyscy „strategiczni myśliciele" z Brukseli spróbują kiedyś wyhodować choć jedną świnię albo krowę. Może wtedy zrozumieją, że nie da się karmić kontynentu dokumentami i PowerPointami.

Dość tego cyrku. Rolnik ma rację. Po prostu – rolnik ma w tym przypadku rację.

Daniel Obajtek

eprasa.pl a114821b69

Konglomerat interesów

Marta Kaczyńska-Zielińska

Ameryka Południowa była jednym z najważniejszych i najbardziej sprzyjających miejsc, do których uciekali niemieccy naziści po II wojnie światowej. Po 1945 r. byli funkcjonariusze III Rzeszy oraz zwolennicy Hitlera korzystali z luk w międzynarodowym systemie ścigania zbrodni wojennych, powojennego chaosu oraz istnienia zorganizowanych szlaków ucieczkowych (tzw. ratlines). Państwa takie jak Argentyna, Paragwaj, Brazylia, Chile czy Urugwaj oferowały możliwość osiedlenia się, ochronę przed ekstradycją, pracę oraz integrację społeczną. Region ten wyróżniał się nie tylko skalą migracji, lecz także jej charakterem: naziści nie ograniczali się do tymczasowego ukrycia, lecz budowali nowe kariery, zakładali przedsiębiorstwa i wchodzili w relacje z lokalnymi elitami. Przypadki osób, takich jak Adolf Eichmann czy Josef Mengele, utrwaliły wizerunek Ameryki Południowej jako symbolicznego azylu dla nazistów.

Szczególną rolę na powojennej mapie ucieczek odegrała Argentyna. To właśnie tam przez lata ukrywali się m.in. Josef Mengele, Adolf Eichmann, Erich Priebke. Współczesna Argentyna podejmuje refleksję nad odpowiedzialnością państw i instytucji za powojenną bezkarność zbrodniarzy wojennych. Działania tamtejszych władz, polegające na odtajnianiu dokumentów państwowych, w tym akt dotyczących operacji bankowych i przepływów finansowych, stanowią próbę zmierzenia się z tą trudną spuścizną. Ujawniane materiały pozwalają coraz lepiej zrozumieć mechanizmy, które umożliwiały transfer środków finansowych, tworzenie fałszywych tożsamości oraz trwałe osiedlanie się byłych funkcjonariuszy III Rzeszy w Ameryce Południowej.

Równolegle do Argentyny istotną rolę odgrywała Brazylia, która – ze względu na rozległe terytorium oraz liczną diasporę niemiecką – stała się zarówno krajem docelowym, jak i ważnym punktem tranzytowym. Choć brazylijskie władze oficjalnie dystansowały się od nazistowskiej przeszłości przybyszów, wielu z nich znalazło zatrudnienie w przemyśle, rolnictwie oraz w sektorach technicznych. Istniejące struktury społeczne sprzyjały zachowaniu anonimowości i podtrzymywaniu dawnych kontaktów, a Brazylia stała się istotnym ogniwem regionalnych sieci migracyjnych. Mniej eksponowaną, lecz znaczącą rolę odegrało także Chile. Państwo to nie było głównym celem nazistowskiej migracji, jednak istniały w nim warunki sprzyjające długotrwałemu ukrywaniu się. Szczególne miejsce w tym krajobrazie zajmuje Paragwaj, który w okresie rządów Alfreda Stroessnera stał się jednym z najbezpieczniejszych azylów dla niemieckich nazistów. Autorytarny charakter reżimu, słaba kontrola międzynarodowa oraz ideologiczne i personalne powiązania elit władzy sprzyjały osiedlaniu się zbrodniarzy wojennych. Obecnie wiele średnich i dużych paragwajskich gospodarstw rolnych należy do potomków niemieckich imigrantów. Urugwaj odgrywał rolę bardziej dyskretną, funkcjonując głównie jako kraj tranzytowy lub miejsce tymczasowego pobytu.

Łączna analiza przypadków Argentyny, Brazylii, Chile, Paragwaju i Urugwaju ukazuje Amerykę Południową jako przestrzeń aktywnej rekonfiguracji powojennych biografii. Z perspektywy współczesnych badań historycznych obszar ten wymaga dalszych, pogłębionych analiz, zwłaszcza w odniesieniu do mniej znanych biografii oraz lokalnych mechanizmów współudziału i integracji.

Współcześnie wymienione państwa z perspektywy Europy jawią się przede wszystkim jako członkowie organizacji Mercosur, która ma stać się beneficjentem zniesienia ceł na produkty rolne przez UE i głównym czynnikiem wygaszającym europejskie gospodarstwa rolne. Wymienione kraje należą do największych światowych importerów nawozów sztucznych. Najważniejszymi dostawcami nawozów sztucznych do krajów Mercosur są obecnie Chiny oraz Rosja. Niemiecki Bayer dominuje w tej części świata w technologiach uprawy soi (GMO) oraz w segmencie nawozów, BASF jest jednym z filarów rynku agrochemikaliów, a niemiecki producent nasion w ostatnich latach inwestował w Brazylii. W tym kraju swoją sieć rozwija również niemiecka marka maszyn rolniczych...

REKLAMA

29/1225/F

eprasa.pl a114821b69

Walizka Katarzyny Wasilewskiej

dziennikarki Radia Warszawa, córki aktora Wieńczysława Glińskiego

Uwielbiam podróże, bo wtedy spotykam różnych ludzi, nieraz przedstawicieli odległych kultur. Dzięki znajomości języków znajduję z nimi nić porozumienia, a czasem nawet zawiązuję przyjaźń. Pierwszym krajem, do którego zawieźli mnie rodzice, były ukochane przez nich ponad wszystko Włochy. Mój tata, znany aktor Wieńczysław Gliński, uważał, że w Italii nawet brud jest piękny. Udało mu się wpoić to przekonanie mnie. Na szczęście mój mąż Jacek ma podobnego bakcyla co ja. Dzięki temu w podróży poślubnej dotarliśmy maluchem przez północ Europy do Portugalii – zdarzyło się, że spaliśmy pod gołym niebem – a do Polski wróciliśmy południem kontynentu. Kilka lat później starym, zdezelowanym Chevroletem Impala, który jednocześnie służył nam za minimieszkanko, przejechaliśmy Stany Zjednoczone ze wschodu na zachód, do miejsca, w którym byliśmy zmuszeni sprzedać samochód na złom. Jednak moje najważniejsze podróże – w sumie dwadzieścia kilka – miałam szczęście odbyć z Janem Pawłem II, obsługując je jako dziennikarka Polskiego Radia (a wcześniej jako tłumaczka). Były to wszystkie pielgrzymki naszego papieża do Polski i wiele zagranicznych. Co prawda były to podróże służbowe, bez możliwości zwiedzania, ale przeżyć, które towarzyszyły mi podczas pierwszej pielgrzymki do Polski, na Litwie, cztery dni po wyjściu stamtąd wojsk radzieckich, na Manhattanie, gdy papież śpiewał kolędy, a wszyscy płakali, czy na komunistycznej Kubie, 2 m od Fidela Castro, gdy tłum domagał się uwolnienia więźniów – nie wymieniłabym na żadne skarby świata.

ŻAGLÓWKA

Latem najbardziej lubię odkrywać nieznane zakątki w Polsce, której uroda jest niedoceniona. Nieodmiennie urzekają mnie mazurskie lasy oglądane z naszej żaglówki, którą ubóstwia Jacek.

Fot. Andrzej Wiktor, prywatne archiwum Katarzyny Wasilewskiej

eprasa.pl a114821b69

PISMO ŚWIĘTE I RÓŻANIEC

Biblia i różaniec od JPII, bez których nigdzie się nie ruszam. Codziennie czytam jakiś fragment Pisma.

KARTY AKREDYTACYJNE

Z pielgrzymek papieskich, z którymi nawet po powrocie trudno było mi się rozstać.

KAPELUSZ

Wszystko zniesie, co wielokrotnie udowodnił.

NARTY

Zimą – góry podczas szusowania na nartach, bez czego jest trudno mi wyobrazić sobie prawdziwy relaks.

SZAL

Chroni od słońca lub wiatru, albo tylko dodaje elegancji. Mam ich pokaźną kolekcję.

SYNOWIE

Pasją do podróży udało się zarazić naszych synów: Jana Pawła, Krzysztofa Jana i Mateusza Jana. Pierwszy na rok porzucił pracę w korporacji, by przemierzać Azję, drugi przywiózł stamtąd żonę, a trzeci zakotwiczył na dłużej w Afryce. Teraz zaprawiają do podróżowania piątkę naszych wnucząt.

PARYŻ

Mam też za sobą wyprawę do Paryża, która przeciągnęła się do kilku lat pracy w dyplomacji, gdy jako wicedyrektor Instytutu Polskiego i pierwszy sekretarz Ambasady RP miałam okazję promować Polskę przez kulturę.

„WIEŃCZYSŁAW GLIŃSKI"

Napisałam książkę o Tacie, pełną zabawnych anegdot, które lubił opowiadać lub był ich bohaterem. Uważał, że śmiech – nie ten głupi – ma moc terapeutyczną, dlatego najchętniej bawił publiczność w rolach fredrowskich. Był zdania, że teatr powinien uczyć, a także dawać wytchnienie.

„DOOKOŁA ŚWIATA ZA JANEM PAWŁEM II"

Moja bardzo osobista książka o podróżach z JPII, także dla tych, którzy go nie pamiętają. Są w niej również zwierzenia zagranicznych dziennikarzy z kameralnych spotkań z papieżem i mnóstwo nieznanych anegdot. Powstała z zachwytu nad tym, co dane mi było przeżyć, a także ze złości na wszystkie pomówienia.

CZARNE ANIOŁY

Z Gonder. Namalowane przez naszego przyjaciela Worku Goshu. Etiopia przypadła nam głęboko do serca. To bardzo biedny kraj, ale chrześcijaństwo w nim jest pradawne. Mieszkają tam piękni, dumni ludzie o niezwykłej pobożności.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl a114821b69

Kicz pojednania oprawiony w ramkę

W ubiegłym tygodniu w Parlamencie Europejskim w Strasburgu otwarto wystawę w 60. rocznicę podpisania listu biskupów polskich do biskupów niemieckich. Listu historycznego, ważnego, głęboko zakorzenionego w chrześcijańskiej idei pojednania. Tyle że w Strasburgu stał się on narzędziem w rękach europosłów: niemieckiego i Koalicji Obywatelskiej.

Zgodnie ze starym schematem strona niemiecka wyciągnęła z niego tylko jedno zdanie: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie". Jedno zdanie, użyte instrumentalnie, cynicznie – jak wytrych do zamykania dyskusji. Jakby miało ono stanowić ostateczny rachunek sumienia. A przecież takie użycie tego cytatu oznacza coś jeszcze gorszego: zrównanie ofiar z katem. Postawienie znaku równości między narodem mordowanym a narodem mordującym. Jakbyśmy wszyscy mieli sobie coś nawzajem wybaczać w imię symetrii.

Nikt w Polsce nie podważa potrzeby pojednania. Ale prawdziwe pojednanie nie polega na klepaniu po plecach na europejskich korytarzach i robieniu zdjęć w świetle kamer. Pojednanie nie polega na ceremoniach bez treści ani na wspólnych symbolach, które mają przykryć niewygodne pytania. Pojednanie może nastąpić dopiero po prawdziwym zadośćuczynieniu.

Dlatego poszedłem na otwarcie tej wystawy z intencją rozmowy – nie o wzniosłych hasłach, lecz o konkretach. I wręczyłem raport o stratach wojennych: przedstawicielom niemieckiego episkopatu oraz przedstawicielom niemieckiej klasy politycznej w osobie europosła, gospodarza wydarzenia.

Reakcja? Ucieczka od rozmowy. Oburzenie. A po stronie Platformy Obywatelskiej – niemal histeria, że jak można „niszczyć tak podniosły moment" pytaniem o reparacje. „Niszczyć moment" – rozumiecie państwo? Pytanie o podmiotowość Polski to dla nich coś niestosownego. Oni zawsze wolą być junior partnerem niż rzecznikiem polskiego interesu.

W cywilizacji chrześcijańskiej przebaczenie jest wartością. Ale pojednanie ma warunek: zadośćuczynienie. Bez niego słowa zostają pustą dekoracją. Bo Niemcom i ich namiestnikom w Polsce chodzi właśnie o dekoracje i symbole: wystawy, cytaty, uściski dłoni i zdjęcia – byle nie było rozmowy o odpowiedzialności i realnym zadośćuczynieniu.

Arkadiusz Mularczyk

Dobry nastrój warto doceniać

Z aktorem Bartłomiejem Firletem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy wybierając aktorstwo, wiedział pan, jakim atutem może być vis comica?

Bartłomiej Firlet: Nie do końca. Chociaż... gdy pierwszy raz występowałem w kabarecie, w ósmej klasie, i publiczność żywiołowo reagowała na moją bardzo komediową postać, byłem w szoku, że jestem aż tak zabawny.

Widzowie chyba cały czas chcą widzieć w panu ten humor.

Więc chyba nie ma co z tym walczyć. Dobry nastrój warto dziś doceniać. I optymizm, którego nam trochę brakuje.

W dobry nastrój wprowadza też kolejny pański bohater, Sebuś Czapka. Czym jest dla niego, a czym dla pana tytułowe zawołanie: „Dalej, jazda!"?

Dla niego to zachęta, by wreszcie zrobił to, do czego – nieco przytłoczony przez rodzinę ukochanej Justysi – nie może się zebrać. A dla mnie...? Ważne jest, „dokąd mam jechać" – czy do następnej komedii, czy jednak do czegoś bardziej serio. Pytała mnie pani o siłę komiczną. Oczywiście nie walczę z warunkami psychofizycznymi, ale nie ukrywam, że czekam też na role, które będą dla mnie wyzwaniem. I nie uważam, że ciekawych, trudnych tematów nie można opowiadać lżejszy w sposób.

W filmie, który za chwilę trafi do kin, „Dalej jazda! 2" pojawia się wątek poważnej choroby, ale całość ma pozytywny wydźwięk. Podobnie jak wieloodcinkowy „Ojciec Mateusz".

Jestem wdzięczny za to, że kręcimy ten serial i występuję w nim jako aspirant Antoni Dziubak. To moja stała i bardzo lubiana praca. Dzięki niej cały czas jestem aktorsko „rozgrzany". Ale choć z Antonim znamy się już jakiś czas, życiowo jesteśmy zupełnie inni. Myślę, że pokażą to kolejne kinowe premiery. Ubiegły rok był dla mnie zawodowo bardzo ciekawy.

Fot. Magda Boruch/Monolith.pl

eprasa.pl a114821b69

ZDJĘCIE TYGODNIA Zorza polarna nad Polską

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: ŁUKASZ GDAK/EAST NEWS, ANDRZEJ WIKTOR, MATERIAŁY BIURA SENATORA GRZEGORZA BIERECKIEGO, KAPITEL/WIKIPEDIA, SHUTTERSTOCK/ BALKANSCAT, KLENGER

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

Kapitulacja czy zdrada?

Od czasu agresji Rosji na Ukrainę jesteśmy straszeni wojną. A jest się czego bać! Graniczymy z imperialną Federacją Rosyjską (obwód królewiecki) i jej wasalem (Białoruś). Logika przetrwania nakazuje zrewidować zarządzanie państwem i gospodarką. Trzeba się zbroić, szkolić rezerwę, gromadzić zapasy, weryfikować sojusze (lub zawierać nowe). Po czterech latach pełnoskalowej wojny za wschodnią granicą w Polsce nie przywrócono obowiązkowej służby wojskowej! Wyzbywamy się strategicznej infrastruktury (porty, koleje, transport). Pozwalamy niszczyć naszą hodowlę i rolnictwo (Mercosur). Nie inwestujemy w energię jądrową, zamykamy kopalnie. Nie odtwarzamy obrony cywilnej (budowa struktur terenowych, schronów, szkolenie ludności itp.). Z programów nauczania ruguje się historię, kanon lektur i religię – trzy filary polskiego patriotyzmu. W szkołach nie ma przysposobienia obronnego, jest za to przyzwolenie na bezkarne obrażanie polskiego munduru...

Niespełna 6-mln Finlandia dysponuje 1 mln przeszkolonych rezerwistów. Zachowując proporcje – Polska powinna powołać 6,6 mln rekrutów! Finowie wybudowali już schrony dla większości swych obywateli. Samodzielnie produkują amunicję, broń strzelecką, moździerze, systemy artyleryjskie. Dokonują zakupów najnowocześniejszych samolotów, czołgów, transporterów opancerzonych. Gromadzą zapasy żywności na ciężkie czasy.

Po przeforsowaniu Mercosur i unijnych mrzonek ideologicznych (Zielony Ład, multi-kulti, gender) każde dziejowe „tąpnięcie" – wojna, klęska żywiołowa, pandemia, nawet mroźna zima – grozi nam fizyczną zagładą. Przerwanie łańcucha dostaw z Ameryki Południowej wywoła wielki głód z wszelkimi jego konsekwencjami (rozbój, kanibalizm). Brak energii i ciepła zmrozi nas i cofnie cywilizacyjnie o całe wieki. Upadek moralności już owocuje zapaścią demograficzną i ojkofobią. Na razie zachowujemy jeszcze samowystarczalność energetyczną, żywnościową i obronną. Kto i dlaczego chce to zniszczyć?

Lech Makowiecki

eprasa.pl a114821b69

Tajny majątek Żurka

ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

Waldemar Żurek ukrywa przed opinią publiczną swój majątek. Minister sprawiedliwości, pałką i kastetem burzący porządek prawny w Polsce, za nic ma standardy cywilizowanego państwa. Taki po prostu jest – tacy oni są

Internet zapłonął, kiedy reporter telewizji wPolsce24 Szymon Szereda odkrył, że na przegubie delegowanej do Ministerstwa Sprawiedliwości prokurator Ewy Wrzosek pyszni się zegarek przypominający ekskluzywnego Patka za 200 tys. zł. Oryginał czy podróba? Jeśli oryginał – skąd miała na niego pieniądze? I dlaczego nie wpisała cacka do oświadczenia majątkowego? A jeśli podróba – czy, bądź co bądź, pani prokurator powinna pokazywać się ludziom z czymś takim?

Wrzosek długo milczała. W końcu wystawiła zegarek na aukcję mającą wesprzeć zbiórkę słynnej fundacji od sepsy.

„To nie jest zwykły czasomierz. To bohater medialny wirtualnej rzeczywistości, gdzie nic nie jest tym, na co wygląda" – napisała na platformie X Wrzosek, zamykając tym samym sprawę. Nie odniosła się do spekulacji, nie odpowiedziała na żadne pytanie, nie wiadomo, czy to, co wystawiła na sprzedaż, jest tym samym, co miała na ręku.

W normalnym, praworządnym świecie przełożony pani prokurator kazałby jej przestać się wygłupiać i sprawę wyjaśnić. Tyle że w Polsce Donalda Tuska ministrem sprawiedliwości jest Waldemar Żurek. Człowiek, który broni się, jak może, przed jakąkolwiek przejrzystością i nie uznaje pojęcia urzędniczej przyzwoitości. To on jako jedyny członek rządu nie ujawnia swojego oświadczenia majątkowego.

JAWNOŚĆ TO MIT

„Jawność oświadczeń majątkowych – wbrew obiegowym twierdzeniom polityków – nie ogranicza ryzyka korupcji.

Fot. Marysia Zawada/REPORTER

eprasa.pl a114821b69

To mit. Takie oświadczenie majątkowe to także idealny poradnik np. dla kidnaperów, którzy analizując majątek rodziców, ich oszczędności, mogą planować przestępstwa" – przekonywał w 2016 r. Żurek.

Kiedy rząd PiS wprowadził obowiązek publikowania oświadczeń majątkowych sędziów i prokuratorów, niezłomny Krakowianin stanął na pierwszej linii oporu. W ognistych diatrybach krytykował pisowski zamordyzm, a w geście sprzeciwu postanowił zastrzec swoją deklarację. Tak samo postępował w kolejnych latach. Decyzję tłumaczył względami bezpieczeństwa. Przekonywał, że czuje się zagrożony.

Nie wiadomo, na czym konkretnie miałoby polegać to zagrożenie. Jako sędzia nie prowadził spraw o charakterze kryminalnym, bo pracował w wydziałach cywilnych. Jako rzecznik Krajowej Rady Sądownictwa często wypowiadał się w mediach, ale bez przesady – kojarzył go może co dziesiąty Polak. Jako bojownik Iustitii był bardzo dzielny, ale przecież bohaterów walki o praworządność nie brakowało, a na publikację oświadczeń majątkowych godziło się wielu opozycyjnych wobec ówczesnej władzy sędziów.

Prokuratura prowadziła swego czasu śledztwo w sprawie rzekomych pogróżek kierowanych pod adresem Żurka. Nie wiadomo, by zakończyło się ono wyrokiem skazującym. Sam Żurek przyznawał, że po wszczęciu postępowania SMS i e-maile przestały przychodzić. Został tylko „hejt na ulicy". Serio? A który z polityków czy po prostu ludzi powszechnie znanych nie spotyka się z hejtem? Przecież plują nawet na papieża!

Paplaninę Żurka o tym, że na podstawie opublikowanego oświadczenia (dane wrażliwe są w nim zanonimizowane) „średnio sprytny informatyk jest w stanie ustalić dokładnie", gdzie mieszka sędzia, można zbyć wzruszeniem ramion. Tak samo jak jego eksklamacje, że „ma rodzinę" – to wszak udział większości ludzi. Dzisiaj Żurkowi jako ministrowi przysługuje zresztą ochrona, w razie konieczności wzmocniona. Jest więc w znacznie lepszej sytuacji nie tylko od szeregowych posłów, ale i od np. dyrektorki przedszkola. Dyrektorka musi opublikować oświadczenie, chroniony Żurek – nie. I nie publikuje. Mógłby go zmusić minister sprawiedliwości – ale przecież sprawiedliwość to on.

Jest jeszcze jeden argument: oświadczenia majątkowe sędziego były skrupulatnie i długo sprawdzane przez CBA za rządów PiS i „niczego nie znaleziono". Tymczasem z oświadczenia służb wynika co innego. Stwierdzono bowiem wówczas „wątpliwości natury skarbowej". Żurek zaś „pomimo wymogu prawnego [...] nie podpisał Protokołu Kontroli, nie przedstawił także pisemnego wyjaśnienia odmowy [...]".

Kiedy rząd PiS wprowadził obowiązek publikowania oświadczeń majątkowych sędziów i prokuratorów, niezłomny Krakowianin stanął na pierwszej linii oporu. W geście sprzeciwu postanowił zastrzec swoją deklarację. Tak samo postępował w kolejnych latach

JAK KURA PAZUREM

Oświadczenie Waldemara Żurka za 2016 i 2017 r. odtajniono w końcu decyzją ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry dwa lata później. Odcyfrowanie tego dokumentu wymagało nie lada umiejętności. Żurek nabazgrał jak kura pazurem – pełno tu skreśleń, poprawek, jakichś dopisków. Trochę wstyd.

Co udało się wówczas odczytać dziennikarzom z żurkowych hieroglifów? Sędzia podał w oświadczeniu, że posiada m.in. dom o powierzchni 110 m² wraz z gruntem rolnym o powierzchni 35 tys. m², udziały w lokalu użytkowym o powierzchni 85 m², nieużytki rolne o powierzchni 33,5 tys. m², działkę rolno-budowlaną o powierzchni 2024 m² z domem w budowie, 40-metrowy domek drewniany do rozbiórki oraz inne grunty. Z tytułu wynajmu połowy jednego z posiadanych lokali na jego konto wpłynęło 10,4 tys. zł.

Do tego dwa samochody: Jeep Cherokee z 1997 r. i Suzuki z 2007. Konto Żurka obciążały dwa kredyty frankowe – budowlany (do spłaty w listopadzie 2016 r. pozostały 192 253 franki) i konsolidacyjny, a więc zaciągnięty na spłatę wcześniejszych zobowiązań (tu w listopadzie 2016 r. do spłaty pozostało 192 253 franki). Żurek wziął oba kredyty w 2008 r. razem z byłą żoną.

Opinia publiczna miała okazję po raz kolejny zapoznać się ze stanem majątku sławnego sędziego w 2019 r., kiedy – znowu decyzją ministra sprawiedliwości – odtajniono utajnione na wniosek Żurka oświadczenie za 2017 r.

Wiele rzeczy pozostało po staremu. Żurek wykazał posiadanie 110-metrowego domu, gruntu rolnego (35 tys. m²), nieużytków rolnych o powierzchni 33 tys. m², drewnianego domku i – jak to określiła telewizja TVN – „licznych placów i innych nieruchomości". W 2017 r. oszczędności zgromadzone na żurkowym koncie sięgały 77,8 tys. zł i 1620 franków szwajcarskich. Wciąż spłacał kredyty frankowe, miał te same samochody, a na wynajmie zarobił 15 tys. zł.

Przeskoczmy teraz do 2023 r., kiedy Żurek złożył ostatnie oświadczenie, które udało się odtajnić. Sędzia zadeklarował, że ma na koncie 122 tys. zł. Nie było już starego Jeepa, zostało Suzuki z 2007 r. Dzielnemu sędziemu udało się spłacić kredyty frankowe. Nie miał żadnych zobowiązań, nie kupował papierów wartościowych, nie inwestował w nic poza nieruchomościami.

Ostatnie dane dotyczące majątku Waldemara Żurka nie pochodzą już z oświadczenia majątkowego – te za 2023 i 2024 r. pozostają utajnione. Nieruchomości ministra

eprasa.pl a114821b69

sprawiedliwości (jest nim od 23 lipca 2025 r.), sprawdzając „po nazwisku" księgi wieczyste, zewidencjonowali dziennikarze Wirtualnej Polski.

DOMY, DOMKI, CHATKI

Żurek mieszka pod Krakowem w domu o powierzchni 110 m² (a więc tym wykazywanym przez niego od lat), budynek stoi na działce o powierzchni 2,8 tys. m². Na podstawie danych transakcyjnych z jednego ze wyspecjalizowanych w takich usługach serwisów dziennikarze wycenili wartość domu na 700 tys. zł. To oczywiście kwota szacunkowa, odnosząca się do mediany cen sprzedaży podobnych domów w okolicy. Nie wiemy, w jakim stanie pozostaje budynek i jak jest wyposażony. Faktycznie może więc kosztować mniej. Albo dużo więcej.

Także pod Krakowem trwa ważna inwestycja Żurka. Od kilku lat buduje tam dom o powierzchni 200 m². Działkę, na której rośnie żurkowa chatka, sędzia kupił w 2021 r. za 230 tys. zł. Takie domy na takich działkach w takim miejscu są warte 1,3–1,5 mln zł. Oczywiście średnio i oczywiście przy założeniu, że wszystko w nich też jest średnie. Dziennikarze WP okazali się dla Żurka łaskawi, wyceniając rzecz na 650 tys. zł, bo dom podobno jest w stanie surowym. Nie ma się co czepiać, choć pewnie z dokonaną w ten sposób wyceną można dyskutować. Żadne dyskusje nie byłyby potrzebne, gdyby minister wziął się w garść i przestał ukrywać papiery przed opinią publiczną.

Kolejny dom Żurka wyrósł na działce o powierzchni 553 m² położonej w pięknych Bieszczadach. W oświadczeniu z 2023 r. sędzia zaznaczył, że jest to „dom drewniany szkieletowy". Powierzchnia? Ok. 110 m². Dacza? Domek letniskowy (spory, ale kto bogatemu zabroni)? Jeśli tak, wartość nieruchomości wynosi 550–600 tys. zł. Jeśli to całoroczny, godnie wykończony dom – dużo więcej.

Żurkowi może urosnąć także nad morzem. Na jednej z kupionych kilkanaście lat temu działek pomiędzy Ustką a Darłowem zamierzał wybudować dom jednorodzinny o powierzchni do 120 m². Na innej działce już stoi domek letniskowy. Skromny, tylko ok. 100 m². Za to blisko plaży, więc fajnie. Czy 500 tys. zł, na jakie wycenili tę nieruchomość dziennikarze WP, to nie za mało? Pewnie znaleźliby się tacy, którzy daliby więcej.

LASY I POLA

Żurek posiada też sporo rozproszonych gruntów rolnych. Niedaleko podkrakowskiej posiadłości ma działkę o powierzchni 33 tys. m² – to zapewne ta sama ziemia, którą sędzia niezłomny wpisywał do odtajnionych przez Zbigniewa Ziobrę oświadczeń majątkowych. Szacunkowa wartość gruntów – ponad 170 tys. zł. Tutaj też jednak wszystko zależy od tego, o czym tak naprawdę mówimy. Nie znamy klasy ziemi, nie wiemy też np., czy można ją w części bądź całości przekształcić na działki budowlane.

Waldemar Żurek, absolwent technikum leśnego, drwal – co z dumą podkreśla w idiotycznych filmikach wrzucanych do sieci ku uciesze najbardziej oszalałych fanatyków. No i ma co ciąć. Kupowane w apogeum walki z pisowskim uciskiem (2020 i 2022 r.) działki w Bieszczadach o powierzchni 63 tys. m² to w większości lasy. Wartość? Pewnie ok. 400 tys. zł.

Nazwisko Żurka figuruje w księgach wieczystych kilku działek w miejscowości Raciborowice, łącznie ok. 1,2 tys. m². Dziennikarze WP szacują ich łączną wartość na 136 tys. zł. Minister prawdopodobnie nie jest już jednak właścicielem udziałów – walka o pieniądze z tych gruntów to część rozwodowej sagi Żurka. „Transakcja została zaskarżona" – podaje WP, ale minister prawdopodobnie dostał już pieniądze za ziemię.

Trochę za dużo tych „prawdopodobnie", prawda? Byłoby łatwiej, gdyby bicz na „neosędziów" uznał zasady panujące w cywilizowanym świecie i po prostu publikował – jak wszyscy inni członkowie obecnego i poprzednich rządów – oświadczenia majątkowe.

ŚWIĘTE KSIĘGI

Walkę kastetem i pałką o spacyfikowanie pisowskich złogów w polskim wymiarze sprawiedliwości Żurek prowadzi pod flagą „praworządności", której standardy wyznaczają międzynarodowe organizacje. Z teatralnym przejęciem wsłuchuje się w ich „zalecenia", pęka z dumy, gdy go pochwalą, oczy mu się świecą, gdy może sfotografować się z różnymi komisarzami i wysokimi przedstawicielami.

Cóż zatem można wyczytać w świętych księgach odnośnie do oświadczeń majątkowych? W państwach Unii Europejskiej są one standardem antykorupcyjnym, choć różnią się zakresem, formą i sposobem publikacji. Co do zasady jednak w zdecydowanej większości krajów Wspólnoty ministrowie upubliczniają swój majątek.

Organy Rady Europy i GRECO (Group of States against Corruption) rekomendują wprowadzanie rozwiązań, które obejmują obowiązkowe składanie deklaracji majątkowych, skrupulatne mechanizmy ich weryfikacji, efektywne sankcje za nieprawidłowości, a także „przyjazną, publiczną dostępność deklaracji".

OECD wskazuje, że skuteczne systemy ujawniania majątków polityków i urzędników powinny obejmować przedstawicieli trzech władz: nie tylko wykonawczej i ustawodawczej, lecz także – o zgrozo – sądowniczej. Deklaracje powinny być składane za okres przed objęciem funkcji, w trakcie jej sprawowania, a także po zakończeniu urzędowania, ich weryfikacja zaś powinna być przeprowadzana przez niezależne, uprawnione do tego instytucje. Dostęp do oświadczeń majątkowych – powiada OECD – powinien być publiczny.

Konwencja Narodów Zjednoczonych przeciwko korupcji (UNCAC) zachęca państwa strony (a więc także Polskę) do wprowadzania przejrzystych mechanizmów ujawniania informacji o majątku władz, obejmujących aktywa, dochody i potencjalne konflikty interesów. Dane te powinny podlegać publicznej kontroli. Składająca się z blisko 400 organizacji pozarządowych Koalicja na Rzecz UNCAC domaga się objęcia obowiązkiem ujawniania majątku (aktywa, pasywa, dochody, darowizny, zobowiązania) wszystkich członków rządu, a także ich bliskich. Oświadczenia powinny być publikowane w formacie open data, ułatwiającym obywatelom wyszuki-

Autopromocja

eprasa.pl a114821b69

wanie i analizę informacji o swoich wybrańcach.

Na koniec zostawiamy prawdziwą biblię praworządności – rzecz jasna takiej, jak ją rozumie koalicja 13 grudnia. Chodzi o sprawozdanie na temat praworządności w Unii Europejskiej, którego szósta edycja została opublikowana przez Komisję Europejską w lipcu ub.r.

„KE odnotowała w odniesieniu do Polski znaczne postępy w zakresie rozdzielenia funkcji Ministra Sprawiedliwości i Prokuratora Generalnego, a także działania na rzecz zapewnienia funkcjonalnej niezależności prokuratury" – ogłosili urzędnicy Ministerstwa Sprawiedliwości.

„Uznano również pewne postępy w obszarach takich jak: niezależność sądów, walka z korupcją, pluralizm mediów, przejrzystość życia publicznego i poprawa warunków działania społeczeństwa obywatelskiego. Jednocześnie wskazano, że część problemów systemowych pozostaje nadal nierozwiązanych" – czytamy w komunikacie resortu kierowanego dzisiaj przez Waldemara Żurka.

„Opublikowany raport Komisji Europejskiej potwierdza, że Polska weszła na drogę odbudowy państwa prawa. Cieszy nas uznanie dla działań podejmowanych w zakresie reformy sądownictwa, rozdzielenia funkcji Ministra Sprawiedliwości i Prokuratora Generalnego oraz poprawy przejrzystości życia publicznego" – cieszył się wiceminister sprawiedliwości Dariusz Mazur.

To oczywiście wierutne bzdury, z kuriozalnymi „postępami rozdziału funkcji Ministra Sprawiedliwości i Prokuratura Generalnego" na czele. Widzieliśmy ten „rozdział" podczas szturmu na Krajową Radę Sądownictwa, podziwiamy dążenia do sędziowskiej płynące z wypowiedzi Żurka, że potrzebuje on w sądach „zaufanych ludzi". Mniejsza o to. W raporcie poruszono kilka kwestii, których polski rząd specjalnie nie nagłaśniał. Komisja Europejska skrytykowała bowiem „ograniczony postęp standaryzacji systemu publikacji online oświadczeń majątkowych urzędników publicznych", a także „brak postępu we wprowadzaniu przepisów dotyczących lobbingu".

Fot. @w_zurek/x.com

Waldemar Żurek, absolwent technikum leśnego, drwal – co z dumą podkreśla w idiotycznych filmikach wrzucanych do sieci – ma co ciąć. Kupowane w apogeum walki z pisowskim uciskiem (2020 i 2022 r.) działki w Bieszczadach o powierzchni 63 tys. m² to w większości lasy

SZYBKO I SPRAWNIE

Bruksela zwróciła też uwagę, że „propozycje legislacyjne zgłoszone w listopadzie 2023 r. poszerzające zakres obowiązywania oświadczeń majątkowych nie zostały wdrożone".

Jak to? O co chodzi? O zapomniane już dzisiaj projekty PiS i PO rozszerzające obowiązek składania deklaracji na członków rodzin polityków i menedżerów spółek Skarbu Państwa. Ten pisowski zakładał także wprowadzenie przymusu sporządzania oświadczeń komputerowo. Chodziło o to, aby Żurek i inni nie mogli już nieczytelnym pismem, skreślaniami i dopiskami utrudniać analizy i agregacji danych.

Rząd Donalda Tuska przyjął stanowisko w sprawie projektów wiosną 2024 r. Platformerski bardziej chwalił, ten PiS – bardziej krytykował, ale ogólnie był „za".

„Ministerstwo Sprawiedliwości z zadowoleniem przyjmuje wszelkie inicjatywy ustawodawcze zmierzające do zwiększenia transparentności życia publicznego – oceniał wiceminister sprawiedliwości Arkadiusz Myrcha. „Wyrażam przekonanie, że wypracowane w tej sposób rozwiązania sprostają oczekiwaniom obywateli" – dodawał.

Nic jednak nie zostało wypracowane, a dziś polityczną odpowiedzialność ponosi za to Waldemar Żurek.

„Najważniejsze z punktu widzenia obywateli i dla zapewnienia przejrzystości życia publicznego jest, żeby istniała praktyka szybkiego i sprawnego publikowania oświadczeń członków rządu, w związku z materią, jaką zajmują się poszczególni ministrowie. A w przypadku kiedy państwo nie zdaje egzaminu i nie potrafi zapewnić tej przejrzystości, to w interesie publicznym leży, żeby zapewniały ją media" – kwitował w zeszłym roku postawę Żurka Krzysztof Izdebski, członek zarządu pozytywnie nastawionej do ministra Fundacji im. Stefana Batorego.

Zadaliśmy Ministerstwu Sprawiedliwości pytania dotyczące majątku Waldemara Żurka. Prosiliśmy o informację, czy minister zamierza ujawnić swój majątek. Nikt nie odpowiedział.

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ?
Płacisz mniej niż w kiosku – tylko 9,40 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)

eprasa.pl a114821b69

Nie mieliśmy z nimi szans

O tym, jak sędziowska sitwa próbowała ich zniszczyć i kim po latach okazuje się były sędzia Wojciech Łączewski, z europosłami *Mariuszem Kamińskim* i *Maciejem Wąsikiem* rozmawia Marek Pyza

Konfabulant opętany manią prześladowczą i nadużywający alkoholu, osoba niezrównoważona, w skrajnym przypadku skłonna do przemocy – to chyba kiepski materiał na sędziego, a dziś adwokata.

Maciej Wąsik: A jednak. Szkoda, że ktoś to potwierdza tak późno.

Wojciech Czuchnowski odmalował sylwetkę sędziego Łączewskiego, który skazał panów na bezwzględne więzienie. Dziś okazuje się, że „może używać swoich wpływów w wymiarze sprawiedliwości, by uniknąć odpowiedzialności za groźby karalne i znęcanie się nad rodziną". Mówimy o celebrycie w todze, jednym z najważniejszych przedstawicieli „nadzwyczajnej kasty". Czy panowie zdziwili się tym wpisem?

M.W.: Pomyślałem, że piekło zamarzło, a prawda wyłania się z najmniej oczekiwanej strony.

Mariusz Kamiński: Nas to nie zdziwiło, a tylko potwierdziło to, co wcześniej widzieliśmy czy słyszeliśmy. Mam nadzieję, że to nie zostanie zamiecione pod dywan. Sprawa znęcania się nad chorą onkologicznie żoną jest czymś potwornym i w oczywisty sposób wymagającym reakcji państwa polskiego oraz wymiaru sprawiedliwości. Mam nadzieję, że krzywdy, jakie spotkały tę kobietę, znajdą swój epilog w sądzie i być może zakończą karierę prawniczą tego osobnika.

To na panach wypłynął. Ale opowiedzmy te historię od początku, czyli od 2009 r., gdy zarzuty stawia panom Bogusław Olewiński.

M.W.: Zarejestrowany jako tajny współpracownik Służby Bezpieczeństwa ps. Marian. Współpracę miał podjąć w końcówce lat 80., gdy należał do ZSP, często wyjeżdżał za granicę i prawdopodobnie został zwerbowany do inwigilowania osób z własnego środowiska.

Fot. Andrzej Wiktor x2

eprasa.pl a114821b69

M.K.: Jako student brał udział w propagandowych komunistycznych przedsięwzięciach, takich jak Brygady Młodzieży Polskiej, które jeździły do Korei Północnej na spotkania z Kim Ir Senem. To wypróbowany towarzysz. Zachowały się notatki oficera prowadzącego SB, któremu przekazywał, który z kolegów co przemycał. Nie przypadkiem to on nas oskarżał.

Ale decyzja o zarzutach zapadła w szerszym gronie.

M.K.: Rzecz działa się kilka tygodni po wysłaniu przeze mnie jako szefa CBA niejawnego pisma do premiera Donalda Tuska, w którym opisałem kulisy afery hazardowej, czyli powiązania ludzi z rdzenia Platformy Obywatelskiej z branżą hazardową i nielegalne wpływanie na treść ustaw rządowych. Powołany przez PO prokurator krajowy Edward Zalewski (notabene szef egzekutywy PZPR w latach 80. w prokuraturze wrocławskiej) zaprosił na naradę w swoim gabinecie Olewińskiego i prokurator okręgową Annę Habało. Ta ostatnia została później skazana za korupcję, której dopuściła się w czasie, gdy podejmowała decyzję o zarzutach dla nas.

M.W.: Czyli skorumpowana prokurator, były PZPR-owski prokurator i tajny współpracownik SB w gabinecie prokuratora krajowego podjęli decyzję o zakończeniu śledztwa w sprawie rzekomych nieprawidłowości przy ściganiu afery gruntowej, postawieniu nam zarzutów i skierowaniu aktu oskarżenia do sądu.

M.K.: Postawienie zarzutów było dla Tuska pretekstem do odwołania mnie z funkcji szefa CBA.

Minęły trzy lata i sąd to umorzył.

M.K.: Wobec braku znamion przestępstwa, jeszcze przed rozpoczęciem przewodu sądowego. Olewiński się odwołał, bo zapewne musiał, a Sąd Okręgowy nakazał przeprowadzenie postępowania i sprawa wróciła do Sądu Rejonowego w Warszawie.

M.W.: Wtedy zgłosił się do niej – poza kolejnością wynikającą z obłożenia sprawami – sędzia Wojciech Łączewski.

Czyli od początku mu zależało.

M.W.: Bardzo. Widzieliśmy to na każdym kroku, a później poznaliśmy też sporo kulisów jego działań.

M.K.: Po trzech latach zostaliśmy skazani na bezprecedensowo surową karę: 3 lata bezwzględnego więzienia i 10 lat pozbawienia praw publicznych. Od początku wiedzieliśmy, że ten wyrok jest wydany na zapotrzebowanie władzy i wynika z osobistych poglądów sędziego, czego dowiodły późniejsze fakty, a wpis Czuchnowskiego w pewnym stopniu je potwierdził.

Jak się zachowywał Łączewski w czasie tego procesu?

M.W.: Dochodziły do nas informacje, że chodzi po sądzie i odgraża się, że przyp...doli Kamińskiemu. To było jeszcze w trakcie procesu. Wcześniej nie wyobrażałem sobie, by sędzia przed zakończeniem postępowania antycypował wyroki. To też świadczy o pewnym stanie jego umysłu.

M.K.: On pochodzi z Puław, to mała miejscowość. W trakcie procesu otrzymywaliśmy od osób znających sędziego skrajnie niepokojące informacje dotyczące jego emocjonalności czy radykalnych poglądów politycznych. Oczywiście były to informacje, które ciężko nam było zweryfikować, a zwłaszcza o nich mówić. Ale później poznaliśmy jego metody od kuchni.

Chodzi o działania sędziego „na mieście"?

M.K.: Tak. Zgłosił się do nas były funkcjonariusz, który po odejściu ze służby został bardzo bliskim współpracownikiem zawodowym w agencji detektywistycznej Piotra Niemczyka, byłego członka ścisłego kierownictwa Urzędu Ochrony Państwa, bardzo blisko i formalnie związanego z Platformą Obywatelską. Gdy trwał nasz proces, Niemczyk był oficjalnym ekspertem PO delegowanym do komisji ds. specsłużb. Nasz informator przekazał, że – początkowo anonimowo – zgłosił się do nich sędzia Łączewski, żeby poza salą sądową omawiać aspekty prawne naszego procesu.

M.W.: Zawiadomienie trafiło do prokuratury, ta wszczęła śledztwo, w którym Łączewski i Niemczyk potwierdzili, że się spotykali.

Opisywaliśmy tę sprawę. Ich zeznania są tu sprzeczne, ale do kilku kontaktów rzeczywiście doszło.

M.K.: Dodajmy, że jeszcze, gdy byłem szefem CBA, miałem proces karny wytoczony przez Niemczyka – który zresztą wygrałem – w tym samym sądzie rejonowym, w którym pracował Łączewski. Musiał o tym wiedzieć, bo to mały sąd, a mimo to chciał zasięgnąć opinii u mojego przeciwnika procesowego i człowieka nastawionego do nas skrajnie wrogo.

Trzeba jednak oddać Piotrowi Niemczykowi, że odmówił sporządzenia opinii ze względu na swój brak obiektywizmu.

M.W.: Ale tym samym potwierdził, że Łączewski niejawnie nawiązał z nim kontakt w tym celu. Już to powinno unieważnić przebieg procesu z uwagi na skrajną stronniczość sędziego.

Ostatecznie Łączewski panów skazał, bo uznał, że nadużyli panowie uprawnień podczas operacji specjalnej wobec skorumpowanych bohaterów afery gruntowej, powołujących się na wpływy w resorcie rolnictwa kierowanym przez Andrzeja Leppera. Nie wdając się w szczegóły, panów winą miało być sfingowanie całej afery, nakłanianie do korupcji, by zaatakować niewygodnego koalicjanta – Samoobronę.

M.W.: Żeby to orzec, Łączewski musiał odrzucić połowę dowodów, w tym zeznań świadków, funkcjonariuszy czy szefa CBA. Było wiele poważnych osób związanych z biznesem, świadczących, że miało miejsce żądanie łapówki w zamian za odrolnienie gruntów. A przede wszystkim bohaterowie afery gruntowej – Andrzej K. i Piotr R. – zostali skazani przez polskie sądy za korupcję. Przecież to się wyklucza z tezą Łączewskiego!

M.K.: W uzasadnieniu wyroku sędzia twierdził, że wymyśliliśmy tę sprawę, aby osiągnąć jakieś polityczne cele dla naszego obozu. Przypomnę, że w wyniku afery gruntowej upadł rząd Prawa i Sprawiedliwości. Rozumowanie sędziego jest kuriozalne.

Na pisemne uzasadnienie wyroku musieli panowie czekać kilka miesięcy. A był to wyjątkowy czas na

eprasa.pl a114821b69

scenie politycznej. Sprawa zahaczyła o dwie kampanie wyborcze.

M.W.: Wyrok zapadł miesiąc przed wyborami prezydenckimi, a pisemne uzasadnienie trafiło do mediów przed parlamentarnymi. To nie była przypadkowa koincydencja.

Mało kogo interesował wówczas warsztat sędziego, który w tym pisemnym uzasadnieniu ujawnił nazwiska „przykrywkowców" z CBA.

M.K.: To niedopuszczalna sytuacja, złamanie ustawy o ochronie informacji niejawnej. Sędzia naraził tych funkcjonariuszy na realne niebezpieczeństwo.

M.W.: To były osoby, które wcześniej pracowały w CBŚ, miały do czynienia z gangsterami. Niestety Paweł Wojtunik, ówczesny szef CBA, w żaden sposób na to nie zareagował i nie upomniał się o prawa swoich podwładnych.

Cały skład sędziowski popierał ten wyrok?

M.W.: Tak, specyficzny skład. O jednym z sędziów było wiadomo, że chadza na parady równości w Warszawie.

M.K.: A druga osoba z tego składu wydała niekorzystny dla mnie wyrok w procesie, który wytoczył mi Mirosław Drzewiecki. Nie mieliśmy szans.

Wobec tego pozostało tylko zwrócić się do właśnie wybranego prezydenta Andrzeja Dudy o akt łaski. Szykowali się wówczas panowie do objęcia funkcji w MSWiA i nadzorze nad służbami specjalnymi.

M.W.: Prezydent aktem łaski zakończył to postępowanie, co potwierdził Sąd Okręgowy, ale jego decyzja została zaskarżona do Sądu Najwyższego. I tam stała się rzecz niebywała – podważono konstytucyjne kompetencje głowy państwa do zastosowania łaski z uwagi na fakt, że wyrok w naszej sprawie był jeszcze nieprawomocny.

Resztę wydarzeń mamy świeżo w pamięci, bo działy się przed dwoma laty, zaraz po zmianie władzy. Błyskawiczne rozpoznanie sprawy odwoławczej w Sądzie Okręgowym, wyrok dwóch lat bezwzględnego więzienia, zgoda Sejmu na panów zatrzymanie – wbrew orzeczeniom Sądu Najwyższego i Trybunału Konstytucyjnego – a w końcu najazd na pałac prezydencki i osadzenie na kilka tygodni w zakładach karnych.

M.K.: I choć TK stwierdził, że akt łaski jest w mocy, Sąd Okręgowy nakazał wtrącenie nas do więzień. Na troje sędziów orzekających dwoje było z Iustitii, a trzeci złożył zdanie odrębne, twierdząc, że sprawa powinna być umorzona ze względu na ułaskawienie. W składzie orzekającym tym razem zasiadła Anna Bator-Ciesielska – jak się okazało z ustaleń dziennikarzy, córka agenta SB działającego w latach 80. na terenie Austrii.

M.W.: Mało tego – sędzia, która przewodniczyła temu składowi, w mediach społecznościowych wstawiała zdjęcia m.in. z serduszkami PO czy z transparentami obrażającymi Jarosława Kaczyńskiego. Jest zaangażowana politycznie i wspiera konkretną partię. Sędzia nie ma do tego prawa. W kolejnym kroku decyzję o doprowadzeniu nas do więzienia wydał sędzia, będący synem nieżyjącej już działaczki PO, która była dyrektorką biura poselskiego Marcina Kierwińskiego. Mamy wierzyć, że to wszystko przypadki? Ktoś dopuszczał tych ludzi do wydawania wyroków sprzecznych z elementarnym poczuciem przyzwoitości. Potrzeba więcej dowodów na upadek wymiaru sprawiedliwości?

> Albo mamy do czynienia z patologicznym, wręcz chorobliwym mitomanem, który powinien zostać otoczony opieką, albo z konfabulantem. Oba przypadki dyskwalifikują Łączewskiego jako prawnika i sędziego

Mamy ich jeszcze trochę. I tu wracamy do Łączewskiego. Przecież wpis Czuchnowskiego to nie pierwszy raz, gdy dowiadujemy się, że Łączewski to konfabulant. Historia z jego próbą spiskowania z Tomaszem Lisem w celu obalenia rządów PiS to jeden z największych skandali w sądownictwie ostatnich lat.

M.W.: A gdy sprawa wyszła na jaw, złożył fałszywe zawiadomienie o podszywaniu się pod niego, więc popełnił przestępstwo.

Miał fantazję. A to go podsłuchiwano w samochodzie, a to próbowano odkręcić śruby w kołach auta. Analiza biegłych wykazała, że regularnie usuwał wiadomości na komunikatorach, a nawet dane z rejestrów połączeń, nie wiedząc, że i tak się zapisują.

M.W.: To przypadek groteskowy, który skończył się dla niego aktem oskarżenia. Biegły jednoznacznie stwierdził, że nie doszło do żadnego włamania do jego komputera, a więc to on prowadził korespondencję z domniemanym Tomaszem Lisem. Wszystko zostało udokumentowane i opisane przez dziennikarzy Michała Majewskiego i Sylwestra Latkowskiego. Oni podjęli ten kontakt, podali adres, pod którym ma się pojawić sędzia, by się konspiracyjnie spotkać z Lisem. I on tam przyszedł! Jest ogromna liczba dowodów pokazujących, iż rzeczywiście chciał poinstruować znanego dziennikarza, jak atakować PiS – bo takie formułował cele spotkania. A w swoim zawiadomieniu do prokuratury twierdzi, że robił to ktoś inny, podszywający się pod niego. Złapano go za rękę, a on twierdził, że to nie jego ręka.

Dziwne, że to wszystko nie wina służb. Sędzia miał twierdzić, że go obserwują.

M.W.: Ma pan prawo się śmiać, ale bywały sytuacje, że w prowokacyjny sposób przechadzał się z parasolem przed siedzibą CBA.

Uśmiecham się, bo to sobie wyobraziłem.

M.W.: Albo mamy do czynienia z patologicznym, wręcz chorobliwym mi-

Autopromocja

eprasa.pl a114821b69

tomanem, który powinien zostać otoczony opieką, albo z konfabulantem. Oba przypadki dyskwalifikują go jako prawnika i sędziego. Być może uznał „sprawę Kamińskiego i Wąsika" za trampolinę do swojej kariery. Nie tylko sędziowskiej, lecz także na pewne salony III Rzeczypospolitej.

M.K.: Niewątpliwie jest typem megalomana. Mieliśmy informacje ze środowiska sędziów, że kiedy pojawił się w Sądzie Rejonowym w Warszawie, miał fantazjować o zakończeniu kariery prawniczej jako sędzia Trybunału Konstytucyjnego albo Sądu Najwyższego.

M.W.: Niestety w relacjach z nami występował w charakterze naszego sędziego, którego określam jako oprawcę.

Wojciech Czuchnowski pisze, że to Łączewski jest ofiarą. Że jego skłonność do konfabulacji, mania prześladowcza i nadużywanie alkoholu są wyłącznie efektem represji, jakich doznał od PiS po wyroku na panów.

M.K.: Ale jeżeli ktoś ląduje na izbie wytrzeźwień, w wyniku czego policja odbiera mu pozwolenie na broń, to nie jest kwestia naszych ocen, tylko fakt. Poza tym Czuchnowski opisuje nowe sytuacje, jak znęcanie się sędziego – a dziś adwokata – nad chorą na raka żoną, którą miał wyrzucić z domu i grozić jej śmiercią. Nie mam wątpliwości, że dziennikarz ma na to dowody, bo inaczej by tego nie pisał.

To, że Wojciech Czuchnowski, który – jak pisze – wszedł z Łączewskim w dość bliską relację, zdecydował się opublikować taki wpis, świadczy, że sytuacja jest poważna.

M.W.: Uznał, że dzięki wpływom Łączewskiego ta sprawa może być skręcana, że dochodzi do sytuacji, w których on może zastraszać świadków. Sam Czuchnowski bał się – tak stwierdził – iść na przesłuchanie, na którym ma mu zadawać pytania Łączewski. Podkreślał, że sędzia może mieć broń, a nie powinien, bo jest niebezpieczny. To pokazuje skalę zagrożeń, jakie budzi ten człowiek wokół siebie.

A mimo to wciąż jest na piedestale. O tym, że znany sędzia ma założoną tzw. niebieską kartę i zakaz zbliżania się do małżonki, bo miał jej grozić pozbawieniem życia, dowiadujemy się 13 stycznia, a jeszcze dwa dni wcześniej Łączewski występował jako autorytet prawniczy w TVP Info w likwidacji. I znów bajdurzył o tym, że zna treść ostatniej rozmowy braci Kaczyńskich.

> Czuchnowski opisuje nowe sytuacje, jak znęcanie się sędziego Łączewskiego – dziś adwokata – nad chorą na raka żoną, którą miał wyrzucić z domu i grozić jej śmiercią. Nie mam wątpliwości, że dziennikarz ma na to dowody, bo inaczej by tego nie pisał

M.K.: Teraz twierdzi, iż rzekomo znalazł w jakichś tajnych aktach zapis tej rozmowy. Jako były koordynator służb specjalnych ze 100-procentową pewnością mogę to zdementować po raz kolejny. W żadnych aktach tajnych nie ma żadnej takiej notatki żadnego innego państwa, w której streszczano by taką rozmowę. To jest kłamstwo Łączewskiego.

M.W.: Nie przypadkiem Czuchnowski podał też informację, że Łączewski przechwalał się, iż był rozważany na początku obecnych rządów na zastępcę Adama Bodnara. Może to jego mitomania, a może prawdziwa informacja. Właśnie tacy ludzie, o takiej mentalności i takich poglądach, dominują dziś w Ministerstwie Sprawiedliwości i w prokuraturze.

I zbierają laury. Jak Złoty Paragraf dla Wojciecha Łączewskiego od „Dziennika Gazety Prawnej", za „orzeczenia niesztampowe, odważne, czasami wręcz kontrowersyjne". Chodziło zwłaszcza o jedno orzeczenie. Wcześniej w „DGP" znalazł się na trzecim miejscu najbardziej wpływowych polskich prawników, za Jarosławem Kaczyńskim i Andrzejem Dudą. Z uzasadnieniem: „Skomplikował plany samemu Jarosławowi Kaczyńskiemu, sprowokował prezydenta Andrzeja Dudę do balansowania na granicy prawa, nieomal wyeliminował Mariusza Kamińskiego z życia publicznego. Ten sędzia jak nikt inny w tym roku utarł nosa politykom".

M.W.: Uzasadnienie brzmi jak pisane dla polityka – trzecie miejsce po dwóch politykach? Musiało mu się spodobać. Chciał wkroczyć na salony. Wykorzystywał pozycję sędziego, która w owym czasie nie podlegała nawet postępowaniu dyscyplinarnemu, miał możliwość swobodnej oceny dowodów. Czyli praktycznie była to instytucja Boga, którą on wykorzystał w sposób urągający sprawiedliwości.

M.K.: A jednocześnie nie osiągnął skutku praktycznego w swojej wojnie, bo wciąż pełniliśmy bardzo ważne funkcje państwowe i nie ziściły się marzenia o wyeliminowaniu nas tym wyrokiem z życia publicznego.

A jak długo będzie w nim funkcjonował Wojciech Łączewski?

M.W.: Dopóki rada adwokacka nie pochyli się nad zarzutami, które otrzymał. Ale jeśli nie podejmuje działań wobec Romana Giertycha, to prawdopodobnie nie podejmie też wobec byłego sędziego Łączewskiego.

M.K.: Miejmy jednak nadzieję, że sprawy prokuratorskie będą trwały i znajdą finał przed niezależnym sądem. Choć na razie jedna krąży po sądach i od sześciu lat nie może trafić na wokandę.

NOWOŚĆ!
PRENUMERATA SIECI PRZEZ InPost
Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost
CO ZYSKUJESZ?
Tygodnik SIECI odbierasz **już w poniedziałek** ze swojego paczkomatu
Możesz go zmienić na inny np. na czas urlopu
eprasa.pl a114821b69

Cudze sukcesy Tuska

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Czy ktokolwiek jest w stanie wskazać przynajmniej jeden wielki projekt obecnego rządu? Coś na miarę CPK czy portów morskich na Bałtyku? Niczego takiego nie ma, więc Tuskowi nie pozostaje nic innego niż bezczelne podczepienie się pod sukcesy poprzedników. Takich przykładów jest mnóstwo, spośród nich wybraliśmy kilka najgłośniejszych

„Budujemy polską potęgę na Bałtyku" – powiedział Donald Tusk, prezentując w internecie najnowszy prom Jantar, który 20 stycznia rozpoczął obsługę linii ze Świnoujścia do Trelleborga w Szwecji. Słowa wodza były komendą do ataku, bo zaraz potem jego podwładni zalali media społecznościowe informacjami o kolejnym, wiekopomnym sukcesie Tuska. Przekaz był prosty – ekipa rządowa w pocie czoła realizuje wielkie projekty modernizacyjne i stawia Polskę na nogi po ośmiu latach pisowskiej zapaści. „Robimy, nie gadamy" – brzmi slogan propagandowy towarzyszący tym przechwałkom.

Jest to kłamstwo – nawet jak na standardy obecnej ekipy – wyjątkowo ostentacyjne. Minęły bowiem zaledwie dwa lata od powrotu Tuska do władzy i trudno uwierzyć, że są w Polsce ludzie, którzy zapomnieli lub nie wiedzą, że jego rzekome sukcesy są w rzeczywistości zasługą rządu Zjednoczonej Prawicy.

Mimo to pewna część opinii publicznej łyka przechwałki Tuska jak ostrygi, bo obecna ekipa wmawia ludziom, że pisowcy jedynie markowali wielkie inwestycje, aby przepalić jak najwięcej kasy z budżetu. „Pamiętacie słynną rdzewiejącą stępkę Morawieckiego?" – mówi Tusk w internetowym filmiku. „Tak mógł skończyć ten prom. Przez zaniedbania poprzedniej władzy niemal utonął w długach. Nasz rząd przeznaczył ponad 1 mld zł na ratowanie tego przedsięwzięcia. Spłaciliśmy długi. Zaczęliśmy budowę. Przygotowaliśmy rozsądny biznesplan, który pomoże przywrócić polską potęgę na Bałtyku".

Warto zwrócić uwagę na te słowa. Bo – pomijając już kwestię promu – pokazują one wyraźną ewolucję rządowej propagandy. Donald Tusk wracał przecież do władzy w 2023 r. pod hasłem zatrzymania wielkich projektów modernizacyjnych poprzedniej ekipy. Gdy okazało się to zbyt kosztowne politycznie i wzbudziło opór społeczny (choćby w sprawie CPK), zmienił linię i zaczął mówić o „urealnianiu" planów. To „urealnianie" jest w rzeczywistości kastrowaniem ambitnych inwestycji, co odbywa się pod hasłem oszczędności budżetowych. Szef rządu uznał jednak, że ze względów politycznych lepiej będzie je kontynuować, nawet w bardzo okrojonej formie, aby później przypisać sobie zasługi wielkiego modernizatora. Na tym polega nowa propaganda sukcesu.

eprasa.pl a114821b69

Tusk chce w ten sposób przykryć fakt, że dotychczasowe dwa lata jego rządów to czas stopniowej degradacji państwa. Czy ktokolwiek jest bowiem w stanie wskazać przynajmniej jeden wielki projekt obecnego rządu? Coś na miarę CPK czy portów morskich na Bałtyku? Niczego takiego nie ma, więc Tuskowi nie pozostaje nic innego niż bezczelne podczepienie się pod sukcesy jego poprzedników. Takich przykładów jest mnóstwo, spośród nich wybraliśmy kilka najgłośniejszych.

1. CPK

„Każdy, kto wyląduje, każdy, kto będzie korzystał z tego lotniska, każdy, kto będzie robił zakupy w tym miejscu, żeby wiedział, tak – to jest serce Europy, tak – to jest Port Polska. Tam się będziemy spotykać, stamtąd będziemy wylatywać do wszystkich zakątków świata, tam będziemy robili interesy, tam będzie biło serce Polski" – mówił w grudniu Donald Tusk, ogłaszając decyzję o przemianowaniu „pisowskiego" Centralnego Portu Komunikacyjnego na Port Polska.

Tusk od samego początku nienawidził CPK, irytowała go również skala społecznego poparcia dla tego projektu. Nic więc dziwnego, że jego rząd od chwili powstania dążył do wygaszenia CPK i pod pretekstem szukania oszczędności oraz wykonania audytu wstrzymał prace nad lotniskiem. Wobec negatywnej reakcji opinii publicznej, która domagała się kontynuacji budowy, w czerwcu 2024 r. wymyślono nowy projekt pod nazwą Megalopolis. Tusk stwierdził, że nowe lotnisko powstanie – tylko że będzie mniejsze, będą też nowe linie kolejowe – tyle że będzie ich mniej, a LOT kupi nowe samoloty.

Wraz z obecną koncepcją wciśnięto nam dziadowski i kompletnie dysfunkcjonalny projekt. Przede wszystkim nie będzie jednego dużego portu, lecz duoport z Modlinem, który ma zostać rozbudowany na użytek Ryanaira. Z tego powodu przepustowość nowego CPK została ograniczona do 34 mln pasażerów – to tylko o 4 mln więcej niż docelowo osiągnie Okęcie, które ma zostać najpierw rozbudowane, a zaraz potem prawdopodobnie zamknięte, co oznacza kolejną stratę pieniędzy. Nie będzie też szprych kolejowych, które miały zasilać CPK podróżnymi z całej Polski. Zamiast nich powstanie jedynie Kolej Dużych Prędkości (też planowana w czasach Morawieckiego) łącząca Warszawę z Łodzią, Poznaniem i Wrocławiem, z prędkością pociągów podniesioną do min. 320 km/h. Ta zmiana przyspieszy podróż zaledwie o kwadrans, za to wyeliminuje z przetargu na tabor polskich producentów.

2. Dworzec Zachodni

„Robi wrażenie, co?" – takimi słowami Donald Tusk skomentował swoją wycieczkę do otwartego po remoncie Dworca Zachodniego w Warszawie.

Warszawa Zachodnia rzeczywiście wygląda imponująco, zwłaszcza gdy porówna się ją ze starym, zapyziałym dworcem. W tej chwili jest największą stacją kolejową w Polsce, obsługuje 1 tys. pociągów dziennie i będzie z niej korzystać ok. 100 tys. pasażerów każdego dnia. Tyle że nowa inwestycja nie jest dziełem rządu Tuska. „Nawet w ułamku nie jest" – skomentował Mateusz Morawiecki. „To jest inwestycja za ok. 2,1 mld zł, dopięta i rozpoczęta długo przed powrotem Tuska do polskiej polityki" – przypomniał były premier. Przebudowa stacji ruszyła za jego rządów – w 2019 r. ogłoszono przetarg, a rok później podpisano umowę. „Fakty są jasne: my rozpoczęliśmy i zabezpieczyliśmy inwestycję, oni przecinają wstęgi" – podsumował Morawiecki.

3. Terminal kontenerowy

„Budujemy nowy port zewnętrzny na Bałtyku – Przylądek Pomerania w Świnoujściu! To jedna z największych inwestycji morskich w Europie. Przylądek Pomerania stanie się głównym hubem przeładunkowym Bałtyku, obsługującym największe kontenerowce świata i wzmacniającym bezpieczeństwo Polski na morzu" – ogłosiła w listopadzie 2025 r. Kancelaria Premiera.

Przylądek Pomerania to nic innego jak dawny terminal kontenerowy w Świnoujściu, zaprojektowany w czasach PiS. Sytuacja jest tu podobna jak w przypadku CPK. Obecna ekipa zarzuciła – zaawansowane już – plany budowy terminala, zerwała porozumienia z wykonawcami wyłonionymi w czasach PiS i przedstawiła nowy, zmieniony projekt, przechrzczony na Przylądek Pomerania.

Według zapowiedzi – mocno wątpliwych – nowa inwestycja ma ruszyć w 2029 r. „Zmiany wymagają nowych badań, uzgodnień i pozwoleń środowiskowych" – wyjaśnia były minister gospodarki morskiej Marek Gróbarczyk. W tej sytuacji, jak pisze Gróbarczyk, „towary trafią do portu w Hamburgu i Bremerhaven, ratując niemiecką gospodarkę. Każdy rok opóźnienia inwestycji to olbrzymia strata dla Polski!" – alarmuje.

4. Prom Jantar

„Polska w sposób odważny inwestuje w swoją przyszłość na Bałtyku" – powiedział sekretarz stanu w Ministerstwie Infrastruktury Arkadiusz Marchewka podczas uroczystości chrztu najnowszego polskiego promu Jantar Unity. Ten sam Marchewka jeszcze jako poseł PO mówił o promie zupełnie co innego. „Zapowiedź wielkiego promu okazała się wielkim oszustwem. Przez niekompetencję i dyletanctwo miliony złotych zostały zatopione" – twierdził w czerwcu 2023 r. Dziś on – podobnie jak reszta ekipy rządzącej – podczepia się pod cudzy sukces.

Prom powstał w ramach Programu

Fot. Kapitel/wikipedia, Shutterstock, Ludmyla Skwarczyńska, Nenea Hartia/wikipedia

eprasa.pl a114821b69

Batory, przyjętego przez rząd PiS w 2017 r. „Kontrakt podpisano w listopadzie 2021 r., cięcie blach w 2022 r. W ramach Batorego mają powstać trzy nowoczesne promy z opcją na cztery" – przypomniał dziennikarz Tomasz Duklanowski.

Początkowo statek miał być budowany w Stoczni Szczecińskiej, którą poprzedni rząd chciał w ten sposób wskrzesić. Ostatecznie to się nie udało i prom został wyprodukowany przez Gdańską Stocznię Remontową. Jantar będzie teraz najnowocześniejszym promem na Bałtyku. Jedyną zasługą obecnej ekipy może być wyłącznie to, że nie zatrzymała jego budowy. Bo przecież nie udało jej się nawet zawiesić na statku polskiej bandery (prom będzie pływał pod flagą Cypru).

5. Autostrady

„Czechy mają dostęp do morza. Nie, to nie pomyłka. W poniedziałek trasa S3 połączyła całą zachodnią Polskę i Czechy z polskim Bałtykiem, polskimi portami. Zacząłem tę budowę w 2007 r. i trzeba było wygrać wybory, żeby w 2025 r. ją zakończyć" – przechwalał się Tusk w październiku.

Z tych słów ma wynikać, że w trakcie rządów PiS w ogóle nie budowano w Polsce nowych dróg. Dopiero gdy wrócił on – Tusk – sprawy natychmiast ruszyły do przodu. Łatwo to zweryfikować choćby na przykładzie wspomnianej przez premiera drogi ekspresowej S3. Rzeczywiście jej budowa ruszyła za Tuska, i to jeszcze w 2007 r., ale trzeba było rządów PiS, aby prace realnie przyspieszyły. Oddano wtedy do użytku dwujezdniową obwodnicę Gorzowa Wielkopolskiego, zbudowano nowe odcinki na Dolnym Śląsku i przede wszystkim wydłużono trasę do Świnoujścia wraz z tunelem na wyspę Uznam, którego budowa miała być jakoby zupełnie niepotrzebna. Za czasów PiS z impetem ruszyła także modernizacja dróg lokalnych oraz inwestycje na zaniedbanej dotąd ścianie wschodniej, gdzie zaczęto wreszcie dopinać drogę S19.

W tej chwili ponad 40 proc. dróg ekspresowych i autostrad, którymi jeżdżą polscy kierowcy, powstało za rządów PiS. Długość oddawanych odcinków – rocznie ok. 300 km – wkrótce jednak spadnie, bo rząd Tuska od tego roku zamierza ograniczyć liczbę nowych przetargów. Podobno siatka dróg jest już wystarczająca.

6. Energetyka

„Polska po dwóch latach naszych rządów wkracza na drogę dynamicznego rozwoju, a to oznacza: tani prąd, bezpieczne rodziny i ciepłe domy" – ogłosił w październiku Tusk podczas swojej wizyty na budowie pierwszej polskiej elektrowni jądrowej Lubiatowo-Kopalino.

Trudno jednak powiedzieć, kiedy doczekamy się tego taniego prądu. Rząd Morawieckiego, który opracował plan budowy nowych elektrowni jądrowych, zakładał uruchomienie pierwszego bloku siłowni w 2033 r. Zakładano też, że w 2032 r. miała się rozpocząć budowa drugiej elektrowni. Wygląda jednak na to, że nic z tego nie będzie. W lipcu 2024 r. „ministra" klimatu Paulina Hennig-Kloska zapowiedziała, że pierwsza elektrownia zostanie oddana do użytku w 2035 r., ale pełną gotowość operacyjną osiągnie dopiero w 2040 r.

Zamiast tego mają być farmy wiatrowe. Jak zapewnia Tusk, pierwsza taka farma na Bałtyku ma powstać do 2030 r. Tyle że to również nie jest projekt jego rządu. Plany budowy farm wiatrowych opracował wcześniej były prezes ORLENU Daniel Obajtek. Do budowy przymierzano się w 2023 r., a produkcja prądu miała ruszyć już w tym roku. Jednak do władzy doszedł Tusk i na tani prąd poczekamy jeszcze długo.

7. Modernizacja armii

„Zrobimy wszystko, aby ten wielki program modernizacji nie zatrzymał się ani na chwilę" – zadeklarował Donald Tusk podczas wrześniowej wizyty w bazie lotniczej w Łasku, gdzie trafią pierwsze polskie samoloty F-35. Nie dodał tylko, kto ten „wielki program modernizacji" wprowadził w życie, bo wówczas musiałby przyznać, że jest jedynie kontynuatorem – w dodatku niezbyt konsekwentnym – dawnych planów PiS.

„Ani Rosja, ani Białoruś nie posiadają maszyn o nawet zbliżonych parametrach. Ku chwale ojczyzny!" – piał z zachwytu wiceszef MON Cezary Tomczyk podczas prezentacji pierwszego F-35 w polskich barwach. Jednak gdy Mariusz Błaszczak podpisywał kontrakt na dostawę 32 samolotów, obecny minister nie był taki entuzjastyczny. „W imię propagandy przepłacamy [...] i nie wiemy do końca, co kupujemy" – narzekał w lutym 2020 r.

I choć wojna na Wschodzie nadciągała wielkimi krokami, politycy ówczesnej antypisowskiej opozycji krytykowali niemal wszystkie kontrakty zbrojeniowe, którymi dziś tak głośno się chwalą – począwszy od artylerii rakietowej i czołgów Abrams, kończąc na śmigłowcach Apache.

Podobnie było z zabezpieczaniem granicy z Białorusią. Tusk opowiada teraz o Tarczy Wschód, ale kilka lat temu kpił z zapory zbudowanej przez rząd Morawieckiego. „Niech zrobią płot, jeden, potem drugi i trzeci, niech jeszcze prąd podłączą" – szydził w apogeum kryzysu granicznego, a jego partia głosowała w Sejmie przeciwko budowie zapory. Teraz, stojąc przy tej samej zaporze, mówi: „Uzyskaliśmy blisko stuprocentową skuteczność w blokowaniu nielegalnych przekroczeń. Polska odzyskała kontrolę nad swoimi granicami!". Mamy uwierzyć, że to oczywiście jego zasługa.

* * *

Takie „zasługi" Tuska można by było wyliczać w nieskończoność. Jest przecież jeszcze cyfryzacja i program mObywatel, którego sukcesy zawłaszczyła obecna ekipa, był – zupełnie zmarnowany wizerunkowo – lot Polaka w kosmos i wiele innych.

To skądinąd dobrze, że wiele z tych projektów trwa – choć zwykle w okaleczonej formie. Jednak Tusk nigdy nie przyzna się do realizacji pomysłów PiS. Bo jeśli to zrobi, natychmiast wyjdzie na jaw, że sam nie ma nic do zaproponowania.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a114821b69

Wbrew obiegowej opinii w PiS jest wielu młodych, zdolnych polityków. Jeżeli prezes Jarosław Kaczyński uzna, że trzeba wyznaczyć kandydata na premiera już w tym roku, wówczas zakomunikujemy tę decyzję i z konkretnym kandydatem będziemy walczyć o zwycięstwo w wyborach

Zagrywka Braunem

Z Tobiaszem Bocheńskim, europosłem Prawa i Sprawiedliwości, rozmawia Dorota Łosiewicz

Europarlament zagłosował za skierowaniem umowy z Mercosur do TSUE, ale Komisja Europejska czy kanclerz Niemiec twierdzą, że umowa tymczasowo obowiązuje. Co dalej z tym porozumieniem?

Tobiasz Bocheński: Taki wynik głosowania to powód do satysfakcji, ponieważ UE musi ponownie ustalić tymczasowe zasady eksportu i importu. To powoduje, że polski rząd – jeśli będzie chciał – ma prawo walczyć o polskich rolników i zablokowanie wjazdu różnych produktów z krajów Mercosur. Stąd wypowiedź kanclerza Niemiec, który żąda tymczasowych regulacji. Druga sprawa to fakt, że ta umowa może zostać uznana przez TSUE za nielegalną. Wreszcie – dokument wciąż nie został zaakceptowany przez Parlament Europejski i europosłowie mają możliwość wyrzucenia jej do kosza. PE został pominięty w procedowaniu umowy, co jest złamaniem traktatów, ale nie zmienia to faktu, że na którymś etapie parlament będzie się musiał wypowiedzieć.

Czy polski rząd powinien wystosować własny wniosek do TSUE?

Oczywiście, że powinien, bo podstawowa inicjatywa należy do rządu. Nie może być tak, że europosłowie wyręczają polskie władze, które mają narzędzia i możliwości, by naciskać na Komisję Europejską. Jeżeli polski rząd nie złoży takiego wniosku, będzie to kolejna odsłona zdrady polskiego rolnictwa.

PiS chce uchwały Sejmu zobowiązującej polski rząd do skierowania skargi do TSUE, jednocześnie politycy PSL oskarżają PiS, że to wasza wina, iż umowa w ogóle była procedowana.

Politycy PSL wbili rolnikom nóż w plecy i zdradzili własny elektorat. Teraz próbują się tylko wybielić. Pomysł uchwały sejmowej jest bardzo dobry – dlatego, że ten rząd z własnej inicjatywy nie robi nic w tej sprawie. Nie prowadził żadnych poważnych negocjacji. Podczas polskiej prezydencji w UE zbagatelizowano temat i nic nie zrobiono. Jeśli nie będziemy wywierać na nich presji, rolnicy nie będą wywierać presji, jeżeli Polacy nie będą tego robić, to ten rząd sprzeda nas w zamian za eksport niemieckich produktów do krajów bloku Mercosur. To bardzo ważne, żeby dociskać obecną koalicję, bo jeśli pozwoli im się działać wedle ich woli, to polskie rolnictwo zniknie w ciągu dekady.

A czy nie jest porażką negocjacyjną rządu, że w ramach tej umowy chronione są – np. przed podrobieniem – tylko dwa produkty regionalne: Polska Wódka i Żubrówka, podczas gdy w całej UE jest ich niemal

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a114821b69

350? Włosi czy Francuzi chcą chronić swój nabiał, wędliny, oliwę czy wina.

Brak mi nawet słów, żeby skomentować tę indolencję. To jest kpina i dowód na to, że minister Stefan Krajewski faktycznie nie przeczytał tej umowy i nikt kompetentny się tym nie zajmował lub jest to celowe działanie na szkodę polskich rolników. A przecież mamy bardzo dużo ciekawych produktów regionalnych, które powinniśmy chronić przed zalewem tańszej i niezdrowej żywności z krajów Mercosur. KE już w listopadzie i grudniu przygotowała tymczasowe przepisy dotyczące importu na teren Unii jaj i mięsa drobiowego z Brazylii. Jako Polska mamy komisarza Piotra Serafina, nominata Donalda Tuska, i nikt o tym nie został poinformowany. A mówimy o zagrożeniu ze strony wielkich brazylijskich korporacji, które obracają miliardami dolarów i produkują kilka miliardów jaj rocznie. Polski rolnik ma się mierzyć z taką konkurencją? Nikt z polskiego rządu nie poinformował o tym opinii publicznej. To, że KE milczała, jest zrozumiałe, bo ona chce przepchnąć tę umowę w niemieckim interesie.

Zostawmy na chwilę polski rząd. Pasuje pan do opisu prezesa PiS. Młody, poniżej 50. roku życia. Będzie pan kandydatem PiS na premiera?

Wielu posłów i posłanek pasuje do tego opisu. Wbrew obiegowej opinii w PiS jest wielu młodych, zdolnych polityków. W tym momencie jesteśmy skoncentrowani na sprawach programowych i walce ze złym rządem, a nie na personaliach. Jeżeli prezes Jarosław Kaczyński w ramach strategii przygotowanej na wybory uzna, że trzeba wyznaczyć kandydata na premiera już w tym roku, wówczas zakomunikujemy tę decyzję i z konkretnym kandydatem będziemy walczyć o zwycięstwo w wyborach.

Sprytny unik. A czy jest pan gotów przyjąć takie wyzwanie i zostać kandydatem PiS na premiera? Pana nazwisko często pada na giełdzie.

Bardzo mi to schlebia, ale najważniejsze, że jesteśmy biało-czerwoną drużyną i nie chciałbym teraz spekulować.

Mówi pan o drużynie, ale w mediach jest głośno o konflikcie w PiS dwóch frakcji. Chodzi o „harcerzy", skupionych wokół Mateusza Morawieckiego, do której należeć mają m.in.: Michał Dworczyk, Piotr Müller, Waldemar Buda i Marcin Horała, oraz o „maślarzy", która ma być sojuszem Przemysława Czarnka, Patryka Jakiego, Jacka Sasina i pana. To realny konflikt?

To jest konflikt medialny. Prezes Jarosław Kaczyński zabrał głos w tej sprawie, wszyscy wiceprezesi partii potwierdzili jedność PiS. Mam jednego lidera i to on wytycza kierunki działań. Jesteśmy oczywiście bardzo dużym środowiskiem, które różni się w pewnych detalach. Te różnice czasem działają na plus, czasem na minus. Ale okres niepotrzebnych, wewnętrznych dyskusji został już zamknięty.

> Grzegorz Braun serwuje wyborcom różne informacje, ale zapomina powiedzieć np. o tym, że jest autorem listu do Siergieja Ławrowa, w którym nawołuje do normalizacji stosunków polsko-rosyjskich, co jest niezgodne z polską racją stanu

Ta różnica zdań musiała być na tyle głęboka i ważna, że przedstawiciel jednej z frakcji, był gotów udzielić wywiadu w saunie, by trafić z przekazem do opinii publicznej.

Nie miałem przyjemności oglądać tego wywiadu, choć wiem, o czym pani mówi. Prezes Kaczyński jasno powiedział, jaki jest plan naszych działań politycznych. Każdy, kto się z niego wyłamie lub wyłamie się z jedności w PiS, będzie postępował wbrew prezesowi Prawa i Sprawiedliwości.

Jakie propozycje programowe położycie na stole?

Położymy propozycje w każdym aspekcie życia ważnym dla Polaków. Mamy bardzo wiele zespołów programowych, które pracują nad ochroną zdrowia, rolnictwem, bezpieczeństwem, edukacją. Podejmiemy wszystkie istotne pola tematyczne, żeby Polacy mieli świadomość, że po najbliższych wyborach parlamentarnych czeka ich pomyślna i bezpieczna przyszłość.

2026 będzie rokiem, w którym prawica będzie musiała się ze sobą poukładać i dogadać. Ktokolwiek zostanie premierem rządu – o ile będzie to rząd prawicowy –musi pamiętać, że będzie to rząd z Konfederacją. Przynajmniej na to wskazują wszystkie sondaże. Czy dojdzie do zawieszenia broni z tym ugrupowaniem? Ten konflikt wzmacnia Konfederację Korony Polskiej Grzegorza Brauna, a koalicję z nim wykluczył prezes PiS.

Mamy konfederację Sławomira Mentzena i konfederację Krzysztofa Bosaka oraz trzecią konfederację – Grzegorza Brauna. Dziś nie mówimy o żadnych koalicjach, ponieważ chcemy przedstawić nasz program i naszą wizję rozwoju Polski. Nigdy nie wejdziemy w koalicję z Donaldem Tuskiem. Nigdy nie zapiszemy się do obozu, w którym są takie postacie jak Waldemar Żurek. Jesteśmy wierni naszemu *credo* programowemu. Uważamy, że nasz program i nasza wizja rozwoju Polski jest najlepsza. Co będzie po wyborach – to się okaże. Uważam, że partia Grzegorza Brauna i on sam zwodzą wyborców, którzy są głęboko przywiązani do polskiej suwerenności, tożsamości i wiary katolickiej. Braun serwuje im różne informacje, ale zapomina powiedzieć np. o tym, że jest autorem listu do Siergieja Ławrowa, w którym nawołuje do normalizacji stosunków polsko-rosyjskich, co jest niezgodne z polską racją stanu. Grzegorz Braun chce, żeby Polska pokłóciła się ze wszystkimi swoimi sojusznikami na Zachodzie, co by nas

eprasa.pl a114821b69

osłabiło i spowodowało, że stanęlibyśmy sami naprzeciw Rosji, a to nie leży w naszym interesie. Mądrość Polaków zwycięży w wyborach.

Mówi pan o konfederacjach Mentzena i Bosaka. Na jakich ministerialnych stanowiskach by ich pan widział? W debacie prezydenckiej Sławomir Mentzen wyraził chęć objęcia teki ministra finansów.

Konfederacja odmówiła rozmów o stworzeniu rządu technicznego w tej kadencji po to, by odsunąć Donalda Tuska od władzy. Dlatego tego typu debata jest teraz zbyt abstrakcyjna.

Nie do końca, bo z wielu sondaży wynika, że to partie prawicowe mogą przejąć władzę.

Sondaże pokazywały, że wybory prezydenckie wygra Rafał Trzaskowski. Niektórzy wierzyli w to nawet jeszcze przez dwie godziny po pierwszym badaniu exit poll, a potem się okazało, że prezydentem został Karol Nawrocki. Nie przywiązujmy się więc do sondaży. Tym bardziej że osobą, której najbardziej zależy na wysokich notowaniach Grzegorza Brauna, jest Donald Tusk.

A jak idzie budowanie paktu senackiego? Jest dużo chętnych: Konfederacja, Wolni Republikanie, Niezależni Samorządowcy.

Proszę to na razie pozostawić naszej pracy politycznej i warsztatowej. Gdy będziemy mieli ciekawe informacje, to prezes Kaczyński je zaprezentuje.

A może są prowadzone jakieś rozmowy z Polską 2050? Czy scenariusz rozpadu partii i koalicji wydaje się panu realny? Szymon Hołownia ma rozważać wyjście z rządowego układu.

Gdyby Szymon Hołownia zdobył się na taki odważny gest, byłoby to bardzo ważne dla Polski – dlatego, że ten rząd niszczy nasze możliwości rozwojowe i wpycha nas w niedobre geopolitycznie miejsce. Gdyby znaleźli się odważni ludzie, którzy naprawdę chcieliby zostać trzecią drogą, a nie „trzecią nogą", byłaby to bardzo dobra wiadomość dla Polski w pierwszym kwartale br. Czy tak się stanie? W tej chwili nie wiem.

Czy prezydent Karol Nawrocki powinien przyjąć zaproszenie do Rady Pokoju Donalda Trumpa?

To suwerenna decyzja prezydenta, który zna dokładną treść tej oferty. Ja nie znam jej szczegółów. Powinniśmy podchodzić do tego ze spokojem, zwłaszcza że dzisiejsza sytuacja międzynarodowa jest wybitnie napięta. Pamiętajmy, że Donald Trump stara się zbudować ciało, które będzie w jakiś sposób decyzyjne, dzisiejsza ONZ nie odgrywa bowiem swojej roli. Także dyskusji na temat Grenlandii powinniśmy się na razie przyglądać chłodnym okiem, nie wykonywać pochopnych ruchów ani nie wypowiadać niepotrzebnych słów. Widzimy dużo napięcia zarówno ze strony prezydenta Trumpa, jak i rządu duńskiego oraz innych przywódców europejskich. W tej chwili wygląda na to, że konstruktywne rozmowy zadowolą wszystkie strony, a jedność NATO zostanie utrzymana i sytuacja się uspokoi. Powinniśmy się skoncentrować na walce z państwami, które popierają Putina i czymś, co kiedyś nazywano „osią zła" – z takimi państwami jak Wenezuela czy Iran. Choć leżą one daleko od nas, ich działania wpływają także na nasze bezpieczeństwo.

Jeśli PiS przejmie władzę, to czy cofnie rozporządzenie wicepremiera Krzysztofa Gawkowskiego, które tak zmienia dokumenty USC, by umożliwić małżeństwom jednopłciowym zawartym za granicą wpis takiego związku do rejestru w Polsce? W dokumentach ma się pojawić „małżonek 1" i „małżonek 2".

To nie ulega wątpliwości. Moja żona nie jest „małżonkiem 2", tylko moją żoną. W naszym środowisku nie ma akceptacji, aby boczną furtką wprowadzać ukrytą i podstępną rewolucję światopoglądową.

Działacz opozycji antykomunistycznej w PRL Adam Borowski został skazany na bezwzględne więzienie za zniesławienie Romana Giertycha. Jak pan interpretuje ten wyrok?

To jest absolutny skandal, który pokazuje, że mamy dziś do czynienia z państwem Silnych Razem. To niewyobrażalne, że 70-letni opozycjonista, legenda, człowiek niezwykle zasłużony i odważny ma iść do więzienia za krytykę Romana Giertycha. Jeszcze nie tak dawno, za czasów rządów PiS, sądy orzekały, że prezydenta można nazywać „debilem" i była to dopuszczalna forma dyskusji publicznej. Ekipa Tuska, która tyle mówiła o praworządności, wcale nie miała jej na myśli. Chciała utrzymać swoje wpływy i przywileje po to, by niszczyć oponentów politycznych. Nikt mnie nie przekona, że ludzie prawicy są traktowani w tego typu sprawach w sposób równy. Porównajmy to z wyrokami dotyczącymi działaczy KOD czy innych politycznych watażków. Spójrzmy na sprawę Marcina Romanowskiego i odsunięcie od orzekania w sprawie ENA sędziego Łubowskiego, który nazwał rząd „kryptodyktaturą". Mamy tu skasowanie losowania sędziów i ich ręczne wyznaczanie, w dodatku w szemranej procedurze. Tak się dzieje w głośnych i medialnych sprawach dotyczących prawicowych polityków. Tak wychodzi, że przypisywani są do nich sędziowie należący do upolitycznionej Iustitii. Nikt nie poniósł odpowiedzialności za obrażanie Straży Granicznej, gdy trwał hybrydowy atak na polską granicę. Każdy Polak widzi, że w sądach nie ma zasady równości ani sprawiedliwości. To musi się zmienić i nie odstępujemy od naszych planów zreformowania wymiaru sprawiedliwości, bo on ma służyć Polakom i wszyscy mają być traktowani równo i sprawnie. Dobrze, że w sprawie ks. Michała Olszewskiego obrońcy podnosili braki formalne i złamanie prawa, jeśli chodzi o skład orzekający. To są bulwersujące sytuacje, ale po to na czele resortu sprawiedliwości stanął Waldemar Żurek, by trwał rozkład w polskim sądownictwie.

W tym kontekście widzi pan także wejście prokuratorów z policją do KRS i wyniesienie dokumentów z postępowań rzeczników dyscyplinarnych sędziów sądów powszechnych?

To zamach na instytucję konstytucyjną. To kolejne siłowe wejście, użycie aparatu przymusu państwowego po to, by naruszać niezależność instytucji konstytucyjnej. Mamy po prostu państwo przemocowe, obliczone na bezkarność, bo poparcie dla Tuska płynie z Brukseli i Berlina – stąd przekonanie tej ekipy, że jest ponad prawem.

eprasa.pl a114821b69

Paulina Hennig-Kloska

Polska 2050

Istotą problemów Polski 2050 jest próba przejęcia partii przez Donalda Tuska, a rozwiązaniem – wyjście z koalicji rządzącej

STANISŁAW JANECKI

Problemy partii Polska 2050 z wyłonieniem nowego przewodniczącego wynikają przede wszystkim z tego, że o tym, kto nim będzie – czy raczej powinien być – chce zdecydować szef innej partii, czyli Donald Tusk. Wśród pięciu kandydatów startujących w pierwszej turze partyjnych wyborów Tusk miał troje „swoich" ludzi: Paulinę Hennig-Kloskę, Ryszarda Petru i Rafała Kasprzyka. W opozycji do premiera była tylko Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, a Joanna Mucha oficjalnie nie odcięła się od Tuska, ale pozostała neutralna wobec niego.

Problemy podczas głosowania w II turze, w wyniku których wybory unieważniono, były nie tyle „techniczne", ile wynikały z zachowania 656 głosujących. Serwis internetowy, który był odpowiedzialny za przeprowadzenie głosowania, twierdzi, że nie doszło do „ataku ani wpływu osób trzecich", gdyż w trakcie elekcji do wyników doliczano wyłącznie głosy ważne, pochodzące z autoryzowanych zaproszeń e-mail. Konto, w ramach którego realizowano głosowanie, zostało zablokowane automatycznie z powodu bardzo dużej liczby żądań dostępu do formularza w krótkim czasie. Mogło to wynikać z „udostępnienia linku do głosowania w mediach społecznościowych, co spowodowało gwałtowny wzrost ruchu", ale wcale nie musiało być przypadkowe. Wiceminister cyfryzacji i polityk Polski 2050 Michał Gramatyka mówił o „systemowych e-mailach potwierdzających oddanie 750, 900, 1000 głosów" oraz „zrzucie ekranu z liczbą głosów przekraczającą 26 tys.". Najwyraźniej ktoś chciał, żeby zapanował chaos i by system aktywował blokadę ze względów bezpieczeństwa. A ten ktoś i to działanie – to już tylko polityka.

W jej ramach przede wszystkim chodziło o to, by nie dopuścić do wygranej Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz. Najlepszym sposobem odroczenia wyboru były „kłopoty techniczne", bo odwracały uwagę od tego politycznego kontekstu, który jednocześnie można nazwać spiskowym. Przecież sprzymierzeńcem Donalda Tuska – po spotkaniu z nim – stał się Michał Kobosko, który miał obiecać premierowi wycofanie się z kandydowania, żeby nie utrudniać walki o wygraną Paulinie Hennig-Klosce. I wycofał się. Dlatego Szymon Hołownia mówił potem o „zdradzie". A istotą całego zamieszania jest utrzymanie przez KO większości w Sejmie, bo to było w tym wszystkim najważniejsze.

SPISKOWCY

W ciągu ostatnich kilku tygodni przed wyborami w Polsce 2050 Donald Tusk rozmawiał z Michałem Koboską, a także z Pauliną Hennig-Kloską i Ryszardem Petru o tym, jak zapobiec najpierw podzieleniu się formacji, a potem wyjściu większej części posłów klubu tej partii z rządzącej koalicji. O chęć realizacji takiego scenariusza premier oskarżył Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz. I Szymona Hołownię, skoro ten zdecydował się wrócić do gry. Dlatego Petru mówił potem, że jego najważniejszym zadaniem – gdyby został przewodniczącym partii – jest utrzymanie w koalicji klubu poselskiego, i to bez strat personalnych.

Obecnie rządząca koalicja ma 243 mandaty w Sejmie (licząc uciekinierów z Polski 2050), a Klub Polski 2050 dysponuje 31 mandatami. Wystarczy więc, żeby 14 posłów przestało popierać koalicję rządzącą, by ta straciła większość w Sejmie. W połowie stycznia 2026 r. chętnych do zrealizowania scenariusza wyjścia z koalicji było 12 posłów, a 2 się wahało. Utrata większości w Sejmie była więc bliska.

Paradoksalnie „spiskowcy" – czyli w istocie ludzie wykonujący plan Tuska – wcale nie pomogli Hennig-Klosce, tylko stworzyli szansę powrotu do gry Szymonowi Hołowni. Ale to zależało od Rady Krajowej Polski 2050, w której Hołownia nie miał większości, dlatego zdecydowano się powtórzyć tylko drugą turę. Donald Tusk miał przekazać Michałowi Kobosce, Paulinie Hennig-Klosce i Ryszardowi Petru, że Szymon Hołownia

Fot. Liudmyla Kazakova

eprasa.pl a114821b69

na zakręcie

i Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz grają na scenariusz wyjścia z rządzącej koalicji i trzeba zapobiec temu za wszelką cenę. Zdaniem premiera rozłamowcy zyskali posłuch, gdy zaczęli udowadniać, iż trwanie w koalicji przekreśla szanse na przekroczenie progu w wyborach parlamentarnych w 2027 r. Uważają, że Polska 2050 traci przede wszystkim na rzecz Koalicji Obywatelskiej, a w mniejszym stopniu – Nowej Lewicy. I mimo że nie popiera wszystkich decyzji rządu, jest bardziej „karana" za porażki i niedotrzymane obietnice niż KO. Dlatego poparcie sondażowe spadło poniżej 2 proc.

Hennig-Kloska, Petru i Kobosko rozmawiali z Tuskiem o przyszłości Polski 2050 jako części Koalicji Obywatelskiej, ale nie otrzymali gwarancji przyznania im dostatecznej liczby „biorących" miejsc na jej listach. Ale nawet bez takich gwarancji są ponoć zdecydowani na włączenie Polski 2050 do KO. W obozie Hołowni i Pełczyńskiej-Nałęcz panuje silne przekonanie, że to zwolennicy Tuska doprowadzili do tego, że wybory przewodniczącego partii w II turze zamieniły się w farsę.

Gra toczy się o istnienie Polski 2050 jako samodzielnego bytu politycznego oraz o to, czy to Donald Tusk ma być faktycznym szefem partii, a wybrany przewodniczący tylko słupem. Byłoby to oczywiste, gdyby wygrała Paulina Hennig-Kloska.

Ryszard Petru nie miałby już szans na przywództwo, nawet gdyby Rada Krajowa zdecydowała o powtórzeniu całych wyborów. A nawet miałby mniejsze szanse niż poprzednio, bo nie tylko Hołownia i Pełczyńska-Nałęcz, lecz także zwykli członkowie partii zaczęli go postrzegać jako „agenta Tuska".

NOWA ROLA HOŁOWNI

Gdy Szymon Hołownia napisał do członków partii, iż skłania się do „oddania w ręce Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz i Pauliny Hennig-Kloski pełnej odpowiedzialności za kolejne decyzje dotyczące partii", a „fundamentem" jego myślenia „jest i zawsze była spójność K15X oraz stałość i trwałość Klubu Parlamentarnego", bo „tak wiele przecież mamy jeszcze razem do zrobienia", uznał, że do konfrontacji Pełczyńskiej-Nałęcz i Hennig-Kloski doszło za wcześnie, co utrudnia ewentualne powiększenie grupy posłów skłonnych do opuszczenia rządzącej koalicji. Dlatego pisał wyłącznie o partii, a nie o koalicji.

Powszechna jest też świadomość – nie tylko w Polsce 2050, lecz także u dawnego koalicjanta w Trzeciej Drodze, czyli w Polskim Stronnictwie Ludowym – że Donald Tusk będzie chciał dokonać rozbioru Polski 2050, by w ten sposób zachować w Sejmie większość dla rządu oraz niejako ubiec Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz i coraz śmielej myślącego o opuszczeniu koalicji rządzącej Szymona Hołownię. Grając na czas Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz zaproponowała rywalce współprzewodniczenie partii, ale Paulina Hennig-Kloska odrzuciła ten pomysł – podobno po rozmowie z Tuskiem, a nie z Hołownią. Pełczyńska-Nałęcz potrzebuje czasu, żeby się zorientować, czy i jakie poparcie miałby scenariusz wyjścia z rządzącej koalicji. Dlatego napisała, że trzeba zwołać „najważniejszą instytucję naszej Partii – Zjazd Krajowy". Formalnie po to, by zdecydować, jak wyłonić szefa ugrupowania, a faktycznie, aby ustalić, czy partii opłaca się trwanie w koalicji, a jeśli nie, to co dalej.

Gdy Szymon Hołownia dowiedział się, że nie ma szans na powrót na fotel przewodniczącego Polski 2050, był wyraźnie rozczarowany, że partyjne „doły" nie wykazały entuzjazmu, gdy powiedział o możliwości ubiegania się o stanowisko szefa partii. Decyzja Rady Krajowej o powtórzeniu jedynie drugiej tury wyborów definitywnie zamknęła mu drogę do reelekcji jako przewodniczącego formacji. Ale ta decyzja oznacza również, że jeśli nie chce być trwale wyeliminowany z gry o najważniejsze stanowiska i o władzę, powinien się wymyślić na nowo. W pierwszej kolejności narzuca się rola lidera partyjnej opozycji wobec Donalda Tuska (obok Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz).

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz

Przeciwnicy Hołowni wdrukowują członkom i sympatykom Polski 2050 przekonanie, że formuła jego przywództwa się wyczerpała. Że coraz bardziej przypomina Ryszarda Petru i jego losy w Nowoczesnej. Różnica jest taka, że dotychczas nie było chętnych do zorganizowania wewnątrzpartyjnego puczu przeciw Hołowni, a w Nowoczesnej taki pucz przeprowadzono przeciw Ryszardowi Petru. Gdy twórca Nowoczesnej zakorzenił się już w Polsce 2050, chciał przynieść tę partię Donaldowi Tuskowi na tacy. W istocie takie same byłyby też konsekwencje wyboru Pauliny Hennig-Kloski na przewodniczącą partii, co oznacza, że z Polski 2050 szybko nic by nie zostało. Hołownia i Pełczyńska-Nałęcz tego nie chcą, dlatego „muszą" działać przeciw Tuskowi, a w konsekwencji – przeciw koalicji rządzącej.

Fot. Ludmyla Kazakova

eprasa.pl a114821b69

Co roku znika z Polski miasto wielkości Olsztyna

Liczba małżeństw spada, a rozwodów – rośnie. A to w trwałych związkach rodzi się więcej dzieci. Życie rodzinne nie gwarantuje sukcesu, ale pomaga w egzystencji, co potwierdzają wszystkie badania. Warto o tym przypominać młodym

Z Markiem Grabowskim, socjologiem, prezesem Fundacji Mamy i Taty, założycielem Pracowni Badawczej Social Changes, członkiem Rady Rodziny i Demografii przy Prezydencie RP, rozmawia Jerzy Szmit

Jakim spektakularnym faktem czy liczbą opisałby pan dramat demograficzny w Polsce?

Marek Grabowski: Najbardziej bolesna jest spadająca dzietność w Polsce, która obecnie wynosi poniżej 1,1. Oznacza, to że 10 kobiet ma 11 dzieci. By naród mógł przetrwać, 10 kobiet musiałoby mieć – według różnych ekspertów – 20–22 dzieci. Druga kwestia to ujemny przyrost. Co roku znika z Polski miasto wielkości Olsztyna. I ostatnia sprawa: liczba małżeństw spada, a rozwodów – rośnie. A to w trwałych związkach rodzi się więcej dzieci. Te fakty chyba najpełniej opisują głęboki kryzys dzietności i rodziny w Polsce.

Obserwując narastające ataki na chrześcijaństwo, Jan Paweł II nazwał to zjawisko cywilizacją śmierci. Czy to ją można obciążyć spadkiem urodzeń?

Cywilizacja śmierci stanowi zbiór nie tylko uwarunkowań ideologicznych, degeneracji społecznej, lecz także rozwoju technologii. Uderzają w nas formy marksizmu i neomarksizmu. Warto przeczytać „Manifest komunistyczny", który głosi, że największym zagrożeniem dla komunizmu jest Kościół i rodzina. Dlatego Marks był, a marksizm jest za demontażem struktur rodziny i laicyzacją. Obserwujemy to we wszystkich postmaksistowskich nurtach politycznych, ideologicznych i społecznych – również w Polsce. Promowane jest nastawienie przede wszystkim na siebie, wygodę i komfort życia tu i teraz. Natomiast rozwój technologii z jednej strony obiecuje bliższy kontakt z wieloma osobami, ale z drugiej – degraduje te relacje do funkcji telefoniczno-internetowych. Każdy z nas ma smartfona, media społecznościowe, ale tak naprawdę zatracamy kontakty międzyludzkie, a liczba realnych spotkań spada. Splot tych trzech czynników przyczynia się do tego, że finalnie czujemy się bardziej samotni. Więcej cierpimy, częściej sięgamy po używki, środki psychotropowe, jakieś formy terapii, które nie zaspokajają naszego bólu i samotności. Taki nastrój niszczy człowieka i zniechęca do życia.

Kilka lat temu Donald Tusk nazwał małżeństwo udręką. Takie słowa pozornie nie zmieniają rzeczywistości, ale czy wpływają na postawy społeczne?

Oczywiście, zwłaszcza gdy mówią to liderzy opinii. Niewątpliwie Donald Tusk jest istotną postacią w polskiej polityce. Wcześniej zasłynął stwierdzeniem, że polskość to nienormalność. On jest liderem opinii dla milionów Polaków. Jeżeli „kierownik" mówi, że małżeństwo jest udręką, to wie, co mówi. Bez wątpienia wpływa to na gorszą percepcję małżeństwa czy życia rodzinnego. Natomiast małżeństwo to nie udręka, a przede wszystkim dążenie do wspólnoty celów.

Jest pan socjologiem, badaczem nastrojów społecznych. Jak młodzi ludzie odpowiadają na pytanie: „Dlaczego nie chcecie mieć dzieci?".

Zadałem to pytanie grupie młodych ludzi. Usłyszałem w odpowiedzi: „Po co sprowadzać dzieciaki na taki zdewastowany świat?". Myślę, że to dobrze oddaje ich nastroje. Ze wszystkich stron słyszą o zagrożeniach, konfliktach, wojnach, katastrofach – Rosja, Ukraina, Trump, Putin, pandemia, wirusy. Nie ma nawet dokąd uciec. Trochę rozumiem młodych ludzi, którzy nie chcą obciążać się bagażem, jakim są dzieci. Jednocześnie jest to pułapka, bo brak rodziny powoduje, że w sytuacjach prawdziwego zagrożenia strach się zwielokrotnia. Na degradację społeczną ogromny wpływ miała także pandemia, którą najgorzej przeżyły osoby samotne i nieutrzymujące

eprasa.pl a114821b69

relacji. Te, które pozostawały singlami z wyboru. Dla nich to była katastrofa psychiczna i społeczna. Życie rodzinne nie gwarantuje sukcesu, ale pomaga w egzystencji, co potwierdzają wszystkie badania.

Środowiska lewicowe twierdzą, że odpowiedzią na problemy demograficzne jest otwarcie Polski na imigrantów z całego świata.

Czy migracja jest sposobem rozwiązywania problemu? Trochę tak, ale generuje kolejne problemy, co widzimy w krajach Zachodu. Patrząc społecznie, migracja na pewno wiąże się z wieloma zagrożeniami. Powstają zamknięte strefy szariatu, getta, wzrasta liczba morderstw, gwałtów, ataków nożowników. Mój brat mieszkający w Wielkiej Brytanii opowiada, że są miasta, w których strach wyjść wieczorem na ulicę. Tam system przestał zupełnie funkcjonować. Więc migracja nie jest rozwiązaniem, ale całkowite zamknięcie się na nią też nie jest możliwe – zwłaszcza teraz, gdy miliony ludzi nielegalnie i legalnie zalały Europę. Nie ma prostego rozwiązania. Najważniejsze, aby nie pogarszać sytuacji, ale stopniowo ją opanowywać. Może w tym pomóc rozwój automatyzacji i robotyzacja, by poprawić wydajność pracy oraz zmniejszyć zapotrzebowanie na pracowników.

Należy pan do tej grupy socjologów, którzy przyczyn zmniejszania liczby urodzeń upatrują w uwarunkowaniach kulturowych, a nie materialnych. Czyli nie pomogą dodatki, miejsca w przedszkolach, bonusy socjalne?

Nasze badania pokazują, że bonusy nie są decydujące w tych wyborach, choć nieco zmniejszają poziom obaw. Czyli jeżeli boimy się, że nie będzie nas stać na przysłowiowy wózek, to oczywiście zabezpieczenie finansowe zmniejszy te obawy, ale nie motywuje do posiadania dziecka. Nie powołujemy na świat dzieci, żeby dostać 1 tys. zł. Problem tkwi w szeroko rozumianej kulturze i w tym, czy w ogóle widzimy sens posiadania rodziny.

W socjologii istnieje pojęcie wartości autotelicznej – wartości samej dla siebie. Mamy rodzinę, bo uważamy, że jest ona wartością. Pielęgnujemy język polski i posługujemy się nim, chociaż moglibyśmy używać angielskiego, bo znamy go równie dobrze. Utrata tej wartości autotelicznej, poczucia, że coś po mnie zostanie, że nie żyję tylko tu i teraz, a gdy umrę, to nie zniknę bez śladu, daje poczucie spełnienia. Natomiast jeżeli uważamy, że jesteśmy tylko tu i teraz, jedynie dla siebie i znikamy bez śladu – wówczas posiadanie rodziny traci sens.

Fot. Andrzej Wiktor

Wspólnie z redaktorem Jackiem Karnowskim napisaliście „Dekalog Narodowego Przetrwania".

Bez woli politycznej – wziętej na poważnie – nic się nie wydarzy, a trzeba

eprasa.pl a114821b69

podjąć radykalne działania, ponieważ istnieje realne ryzyko wymarcia tysiącletniego narodu polskiego. Dlatego w „Dekalogu" zawarliśmy wiele pilnych działań, np. dodatkowe prawa wyborcze dla rodzin z dziećmi. W praktyce oznacza to, że rodzice mieliby prawo do dodatkowego głosu na każde dziecko czy pół głosu na jedno dziecko dla każdego rodzica. Technicznie to jest do zrobienia. Jakie to ma przełożenie? Dzisiaj większość wyborców biorących udział w głosowaniu to osoby starsze i emeryci. Programy polityczne partii przynajmniej głównego nurtu – takich jak PiS i PO – są ukierunkowane na wspieranie tej grupy wyborców. W sytuacji, w której rodziny posiadające dzieci do lat 18. otrzymałyby dodatkowe głosy, ciężar programów politycznych musiałby się przenieść na kwestie prorodzinne – zarówno ekonomiczne, jak i kulturowe. Rodziny z dziećmi najbardziej obawiają się takich destrukcyjnych zmian w edukacji jak program minister Barbary Nowackiej. Oni po prostu są temu przeciwni. Ale już ludzie, którzy mają odchowane dzieci, patrzą na to z innej perspektywy. Dlatego dodanie tych dodatkowych głosów dla rodziców z dziećmi może być istotne.

Jak poprawić dzietność? Jest jeden kraj, w którym jest ona wybitnie wysoka. To Izrael. Tam najwięcej dzieci mają Żydzi (niekoniecznie ortodoksyjni) – średnio ponad 3 (choć rodziny z 5–8 dziećmi nie są rzadkością), tuż za nimi są Arabowie, następnie Druzowie i na końcu chrześcijanie z przeciętnie 3 dzieci. Żyją w tym samym państwie, ale religia jest dla nich bardzo istotna. Nawet żydowscy ateiści przestrzegają wielu norm religijnych. Każdy pełnoletni obywatel Izraela – zarówno kobieta, jak i mężczyzna – odbywa obowiązkową służbę wojskową. Wyjątki stanowią niektóre – nieliczne – odłamy religijne. Po zakończeniu służby skok w dzietności jest potężny. Po 2–3 latach służby w wojsku mężczyźni są ogólnie „ogarnięci", ponieważ praktycznie cały czas byli zmobilizowani na froncie. Kobiety podlegają tej samej presji. Poza tym istnieje infrastruktura opiekuńcza, dobra służba zdrowia, wsparcie w wychowaniu dzieci, przedszkola. Opisaliśmy to w raporcie „Polska wymiera", dostępnym na stronie serwisrodzinny.pl. Kolejna sprawa to pozytywny przekaz medialny. Na stronach izraelskich mediów próbowaliśmy znaleźć materiały, które przypominałyby teksty na stronach polskojęzycznych: ciąża to choroba, wolę pieska niż dziecko, dzieci to udręka. Nie ma takich materiałów.

Kolejną sprawą są bardzo silne więzi rodzinne – oni po prostu wiedzą, że można liczyć przede wszystkim na swoją rodzinę i na swoich bliskich. I to buduje kapitał społeczny, bazujący na wielopokoleniowej i wielowiekowej tradycji. Dodatkowo po 2022 r. pojawiły się nowe fale imigrantów z Ukrainy i Rosji – tylko w 2024 r. przyjechało ich 200 tys. Mają wsparcie w postaci dotacji na mieszkania w zamian za to, że założą rodzinę. Pod tym względem Izrael jest dobrym przykładem tego, jak przez kulturę, aktywności państwowe i religię tworzyć silny naród.

> Nie powołujemy na świat dzieci, żeby dostać 1 tys. zł. Problem tkwi w szeroko rozumianej kulturze i w tym, czy w ogóle widzimy sens posiadania rodziny

W „Dekalogu" zwracacie również uwagę na wykorzystywanie zagrożeń geopolitycznych i zdrowotnych jako narzędzi destabilizacji społecznej.

Tak. Ciągle słyszymy i czytamy, że grożą nam różne nieszczęścia. Straszą nas, a przoduje w tym rynek medialny. Tworzone jest poczucie, że stale jesteśmy zagrożeni: śniegiem, deszczem, chłodem, ciepłem, spalinami, żywnością. Słyszymy komunikaty, aby nie wychodzić z domu. Rzeczywiście – odechciewa się żyć, kiedy taki przekaz stale do na dociera. Musimy się temu przeciwstawiać!

A czy emigracja na stałe z Polski może być dalej postrzegana jako neutralna?

W PRL wspierano wyjazdy, szczególnie w latach 80. wypychano tych, którzy byli niewygodni dla władzy. Ze względu na ówczesną niezłą dzietność komuniści się tym nie przejmowali. Na dodatek do PRL płynęły dewizy i to je traktowano jako zysk. Więc państwo wspierało tę migrację. W latach 90. na skutek polityki Balcerowicza wśród młodych utrzymywało się olbrzymie bezrobocie, sięgające 40 proc. Z Polski wyjechało wówczas ok. 2 mln młodych ludzi. Dzisiaj sytuacja się zmieniła, jednak w to miejsce pojawia się „benefit": „Jeśli nie podoba ci się w Polsce, to możesz zamieszkać gdzie indziej, później może wrócisz". Jednak kiedy człowiek gdzieś zamieszkał, ma pracę czy firmę, założył rodzinę (często mieszaną narodowościowo), utrzymuje relacje społeczne, to powrót jest trudny. Ciężko nagle rzucić wszystko i przyjechać, aby od nowa budować życie w Polsce.

Donald Trump po dojściu do władzy odciął finansowanie organizacjom proaborcyjnym, LGBT+ i grupom kreującym się jako obrońcy klimatu. Czy to może ograniczyć ich wpływy na politykę rodzinną także w Polsce?

Oczywiście, że ograniczy. W Polsce też odbiło się to echem, jednak te organizacje są bardzo utuczone. Mamy np. Fundację Batorego, założoną przez George'a Sorosa. Dysponuje wielkimi zasobami jak na Polskę – jej suma bilansowa za 2024 r. to 250 mln zł. Ta Fundacja oraz wiele innych organizacji hojnie wspieranych na różny sposób koncentruje się na walce politycznej i marginalnych problemach. Np. wsparciu społeczności LGBT+, która wcale nie potrzebuje aż takiej pomocy. Szkoda, że nie zajmują ich problemy najważniejsze dla naszego kraju. Może w destrukcji rodziny jest jakiś głębszy zamysł, ponieważ nie wszystkim zależy, aby Polska trwała.

eprasa.pl a114821b69

Strzały do Hallera

Nowy projekt infrastrukturalny PiS zawzięcie krytykują znani influencerzy, niezajmujący się na co dzień gospodarką morską. Kim są Adrian Furgalski i Jarosław Wolski?

ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

Ogłoszona w połowie stycznia idea budowy Portu Haller, czwartego polskiego pełnomorskiego portu na Bałtyku, została odczytana jako start programowej ofensywy Prawa i Sprawiedliwości. Partia chce wrócić do tego, w czym jest najmocniejsza: śmiałych propozycji, które przełamują rutynę „niedasizmu" i pozwalają myśleć o kruszeniu kolejnych barier stojących na drodze rozwoju Polski. Jedną z nich jest brak wyspecjalizowanego portu ro-ro, a więc miejsca przeznaczonego do przeładunku pojazdów kołowych: TIR-ów, maszyn budowlanych czy rolniczych, ale także – co ważne – sprzętu wojskowego.

Port Haller ma nam zapewnić dostęp do nowych, transkontynentalnych szlaków – bałtycko-czarnomorskiego i adriatycko-bałtyckiego. Tutaj mają też lądować sojusznicy ze swoimi czołgami, kiedy przyjdzie czas na pomoc w odparciu agresji ze Wschodu.

Autorzy projektu (pomysłodawcą jest poseł PiS Kacper Płażyński) chcą, by pierwszy po II wojnie światowej port pełnomorski powstał w okolicach Choczewa – tam, gdzie będzie budowana elektrownia atomowa.

NAGŁY I NIESPODZIEWANY

Mimo gorącego sezonu infrastrukturalny strzał PiS przebił się w infosferze. Było trochę politycznych ciosów (minister Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz zjechała projekt, choć – zdaje się – nie rozumie różnicy między terminalem kontenerowym a portem ro-ro), garść merytorycznych uwag branżowych ekspertów (np. niespodziewanie pochlebna opinia dyrektora ds. strategii i rozwoju państwowego – bądź co bądź – Portu Gdańsk), a także – co w tej chwili dla PiS najważniejsze – pozytywny odzew wyborców partii.

Wnikliwi obserwatorzy dostrzegli jednak coś jeszcze: nagły, niespodziewanie ostry atak na Port Haller przypuszczony przez osoby, które komentowaniem gospodarki morskiej na co dzień raczej się nie zajmują. Są za to emblematycznymi przykładami pewnego sznytu w polskiej debacie publicznej; mistrzami metody sprawiającej, że o wielu sprawach w naszym kraju po prostu nie da się normalnie rozmawiać. W ich świecie zacierają się granice. Media przestają być mediami, a branie pieniędzy od biznesu nie przeszkadza byciu „niezależnym ekspertem". To sfera, w której nie sposób się skompromitować, nawet największym błędem, najgłupszą opinią i najmniej trafną prognozą. Najmądrzejsi, najwspanialsi, najbardziej błyskotliwi. Przyjrzyjmy się im.

Fot. Porthaller.pl

eprasa.pl a114821b69

„W biznesie ktoś, kto rzuciłby taki pomysł bez kosztów i biznesplanu, zostałby potraktowany niepoważnie" – powiedział bulwarówce „Fakt" prezes Zespołu Doradców Gospodarczych TOR Adrian Furgalski. Jego firma zajmuje się doradztwem, zarabiając na kontraktach z firmami z branży, którą jednocześnie ocenia. Dla Furgalskiego Port Haller to „projekt godnościowy", a więc bez sensu. Obecny na ekranach telewizorów i łamach gazet od co najmniej dwóch dekad ekspert ukuł też na poczekaniu teorię wyjawiającą prawdziwy powód powstania koncepcji Portu Haller. Chodzi o odwrócenie uwagi od afery z wykupem działek pod CPK. „Trzeba było wymyślić coś innego" – stwierdził Furgalski.

„PRODUKT AUTOKREACJI I AUTOPROMOCJI"

Adrian Furgalski ukończył Wydział Prawa i Administracji UJ. Działał w Unii Wolności, w latach 1998–2000 był asystentem ministra transportu Tadeusza Syryjczyka, a kiedy powstała Platforma, zaczął jej doradzać.

Za czasów panowania w Ministerstwie Transportu, Budownictwa i Gospodarki Morskiej Sławomira Nowaka Furgalskiego nazywano „ustami" złotego chłopca Platformy. Minister zawsze mógł liczyć na dobre słowo ze strony niezależnego eksperta. „Musielibyśmy mieć wielki magazyn z drogami i nowymi wagonami, żeby minister transportu stał się ulubionym członkiem rządu" – żartował Furgalski, kiedy koalicja PO–PSL musiała bronić Nowaka przed wotum nieufności.

W 2009 r. mówiło się, że ekspert ZDG TOR wejdzie do rządu Donalda Tuska. Tak się nie stało. Zdaniem części działaczy PO Furgalski mścił się za to, krytykując działania Ministerstwa Infrastruktury pod wodzą Cezarego Grabarczyka. Partia odpowiedziała, rozjeżdżając eksperta w swoim piśmie „POgłos".

„To typowy produkt autokracji i autopromocji" – charakteryzował Furgalskiego prof. Juliusz Engelhard, ówczesny zastępca Grabarczyka.

„Ignorancja to niejedyny zarzut sformułowany na łamach »Pogłosu«. Rachtan [Piotr Rachtan – przyp. red.] z Engelhardtem zarzucają też Furgalskiemu konflikt interesów. Jako wiceszef rady nadzorczej ZNTK Łapy (właśnie upadła) miał krytykować PKP Cargo za rezygnację z naprawy taboru w tej spółce. Zdaniem resortu był to nielegalny lobbing" – opisywał sprawę „Dziennik".

Pewne pomieszanie ról można dostrzec także w dzisiejszych poczynaniach Furgalskiego. Chodzi m.in. o portal rynek-kolejowy.pl. Teoretycznie jest to branżowe medium, opisujące wydarzenia i trendy na rynku kolejowym. Jego wydawcą jest ZDG TOR, którego prezesem jest Furgalski. Ten sam Furgalski występuje tam jako ekspert i komentator.

„Z całą pewnością proces uzgadniania zmian personalnych trwa już zbyt długo, zważywszy na ogrom problemów do rozwiązania chociażby w staczającym się coraz szybciej PKP Cargo" – narzekał wiosną 2024 r. na zbyt wolne obroty karuzeli kadrowej w spółkach, czyszczonych z ludzi związanych z PiS. Ta wkrótce ruszyła z kopyta, wyczekiwane rzekomo przez branżę zmiany nastąpiły. Późno, bo późno, ale doceniono też doświadczonych ekspertów – od sierpnia 2025 r. Adrian Furgalski zasiada w radzie nadzorczej należącej do państwowej Agencji Rozwoju Przemysłu spółki Polski Tabor Szynowy – Wagon z siedzibą w Ostrowie Wielkopolskim.

NIEDASISTA I GENERAŁ

Krytycy „pięknego Adriana" zarzucają mu promowanie „niedasizmu" i rozkochanie w kategorycznych sądach, których wartość jest brutalnie weryfikowana przez rzeczywistość. W apogeum wyśmiewania słynnego peronu we Włoszczowie ekspert dołączył do powszechnego rechotu, nazywając inwestycję „niedopuszczalną" i przekonując, że „w tak niedużym mieście jak Włoszczowa najwyżej kilka osób będzie wsiadać do pociągu" (pomylił się o jakieś 100 razy). Nierentowne połączenia kolejowe? Trzeba niestety zlikwidować. Ratowanie LOT, który za poprzedniego rządu PO znalazł się w złej sytuacji finansowej? Bez sensu. „LOT musi upaść", spółki „nic już nie uratuje" – obwieszczał w 2012 r. ekspert.

Rzecz jasna Furgalski był też przeciwnikiem budowy CPK. Przestrzegał, że bez Okęcia Warszawa „straci stołeczność" i przekonywał, że lepszym rozwiązaniem jest duoport Okęcie–Modlin. Powtarzał znane wszystkim komunały o ekonomicznym bezsensie, gigantomanii, „pilnowaniu pola". Za próbkę tego stylu – a także być może za poszlakę na temat pojmowania przez Furgalskiego roli ekspertów i ich relacji z biznesem czy instytucjami – niech posłuży głośna wypowiedź szefa ZDG TOR z kwietnia 2022 r., kiedy zarzucił on ówczesnym menadżerom CPK, że dali pieniądze amerykańskiemu generałowi Benowi Hodgesowi za pozytywne wypowiedzi o projekcie.

„Ciekawe, ile CPK zapłacił mu za tę wypowiedź. CPK ma dużo pieniędzy. Te pieniądze starczyłyby zupełnie na to, żeby spełnić kontrolerskie żądania płacowe [trwał wówczas protest kontrolerów lotu – przyp. red.]" – mówił Furgalski w rozmowie z Beatą Lubecką w Radiu ZET. Dopytywany niby wycofał się z zarzutu, ale tak naprawdę kontynuował narrację.

„Jak zamarł ruch pasażerski, to nagle CPK powiedział, że będzie wielkim hubem cargo. Teraz, jak trzeba jakoś oswoić opinię publiczną z tymi pieniędzmi wydawanymi na pilnowanie łąki i oczywiście w 2027 r. pierwszy samolot tam być może wystartuje, to próbuje się kupić opinię publiczną tym, że ze względu na wojnę musimy mieć takie duże lotnisko. Bo jak jest duże [...] to duże samoloty wojskowe będą tam lądować. Jest to bzdura, wystarczy popatrzyć na fakty" – mówił.

Rok później Furgalski przeprosił za „krzywdzącą, niepopartą żadnymi dowodami opinię, że spółka Centralny Port Komunikacyjny zapłaciła gen. Benowi Hodgesowi, byłemu dowódcy amerykańskich wojsk lądowych w Europie, za wygłoszenie pozytywnej opinii na temat CPK".

OSINT-POLO

O ile Adrian Furgalski jest przedstawicielem starych, „merytokratycznych" elit (bywały na salonach, przyjaźni się z gwiazdami telewizji i tak dalej), o tyle drugi z zagorzałych krytyków Portu Haller – Jarosław Wolski – wyszedł z ludu. Internetowego ludu. Mało komu znany politolog, który pracował m.in. w branży medycznej i publikował artykuły w niszowych pismach branży wojskowej, został gwiazdą w ciągu kilku tygodni. Wszystko za sprawą publikowa-

eprasa.pl a114821b69

nych na platformie X informacji i analiz dotyczących napaści Rosji na Ukrainę. Był sprawny, szybki, potrafił ciekawie przedstawić sytuację na froncie. Zasięgi rosły, by osiągnąć niebotyczne poziomy. Dzisiaj Wolskiego obserwuje na platformie X ponad 300 tys. użytkowników, a kanał „Wolski o Wojnie" na YouTube subskrybuje 320 tys. osób. Ekspert ma też swój kącik na „Kanale Zero", regularnie występuje w dużych mediach.

Internetowy lud kocha Wolskiego, ale część komentariatu wytyka mu wpadki, często dotyczące spraw fundamentalnych. Nie pomaga tu fakt, że człowiek, który wypłynął na analizach OSINT (Open Source Intelligence, biały wywiad) podaje niesprawdzone informacje jako pewnik. Tak było już u progu jego wielkiej kariery, kiedy Wolski puścił na platformie X fałszywy film przedstawiający rzekomą egzekucję Rosjan przez Ukraińców (skasował go, gdy okazał się fejkiem). Inny przykład? Ogłoszona przez Wolskiego informacja o śmierci dowódcy rosyjskich Sił Powietrznych gen. Siergieja Kobylasza. Okazało się, że źródłem jest wpis w mediach społecznościowych mieszkającego we Francji rosyjskiego imigranta. Żadne poważne medium nie potwierdziło wiadomości o śmierci Kobylasza. Najprawdopodobniej (to jednak Rosja) żyje on do dziś, co zdaje się potwierdzać fakt, że za zbrodnie wojenne wciąż poszukuje go trybunał w Hadze.

„OSINT-polo – tak nazywają twórczość Wolskiego i kilku innych blogerów krytycznie nastawieni komentatorzy.

„»OSINT-polo« przerzucił się na Grenlandię? Ukraina już wam nie żre? Nie monetyzuje się? Czy nowe wytyczne od sponsorów z DE, FR itp.?" – pytał niedawno na X dziennikarz i autor książek o współczesnej Rosji Grzegorz Kuczyński.

Wiarygodności Wolskiego z pewnością nie podbijają jego polityczne wyznania (np. takie, że „bardzo lubi" Romana Giertycha). Cieniem na jego działalności kładzie się udział w aferze (według opozycji: operacji) wokół pozbawienia przez SKW dostępu do informacji niejawnych twórcy Żelaznej Dywizji gen. Jarosława Gromadzińskiego. Dowódca – wcześniej pilnie odwołany ze stanowiska szefa Eurokorpusu – nie został poinformowany o przyczynach decyzji służb specjalnych.

„Choć sam nigdy nie poznałem powodów działania SKW wobec mnie, to w mediach społecznościowych ruszyła lawina spekulacji. Wylał się wtedy na mnie straszliwy hejt" – mówił w rozmowie z Onetem gen. Gromadziński. Wojskowy wskazywał przy tym m.in. na Jarosława Wolskiego, który na platformie X sugerował, że sprawa ma związek z fałszowaniem stanów gotowości w 18. Dywizji Zmechanizowanej.

„To był absurdalny zarzut. Ten człowiek nawet nie wie, jak się pisze meldunki o gotowości bojowej w dywizji. Ale od tego się zaczęło" – mówił gen. Gromadziński.

> Autorzy projektu (pomysłodawcą jest poseł PiS Kacper Płażyński) chcą, by pierwszy po II wojnie światowej port pełnomorski powstał w okolicach Choczewa – tam, gdzie będzie budowana elektrownia atomowa

„NIE LOBBUJĘ"

Kontrowersje budują jednak zasięgi, te zaś pozwalają na monetyzację talentu. Wśród firm, z którymi współpracował bądź współpracuje na komercyjnych zasadach Jarosław Wolski, są: Polska Grupa Zbrojeniowa, Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne, Defencebay czy Hubertus Pro Hunting – wszystkie działają w branży, którą Wolski codziennie komentuje. Poza polskimi firmami wspierał też ubiegającą się o zamówienia w ramach programu „Orka" koreańską firmę Hanwha Ocean. Współpracę promocyjną zaproponowała mu nawet Komisja Europejska, dzięki czemu ekspert mógł zachwalać zbrojeniową „Białą Księgę" Brukseli.

„Nie lobbuję. Proszę sprawdzić definicje słowa lobbysta i jakie formalne wymogi musi spełniać" – odpowiedział ekspert na zarzuty jednego z internautów.

Rzeczywiście – żeby być lobbystą w Polsce, należy się wpisać na specjalną listę MSWiA. Żeby wyczerpać słownikowe znaczenie lobbingu („wywieranie wpływu na organy władzy państwowej w interesie określonych grup politycznych, gospodarczych lub społecznych") – już nie. Jarosław Wolski nie łamie więc żadnych przepisów, jednocześnie zachwalając ofertę swoich klientów, oceniając ich konkurencję i optując lub sprzeciwiając się działaniom państwa, które mogą mieć wpływ na biznes zleceniodawców.

„Co przemawia za budową w Choczewie?" – takie pytanie postawił niedługo po prezentacji Portu Haller bloger-ekspert. Według Wolskiego odpowiedź jest oczywista: nic. Mamy rozbudowywane porty w Gdyni, Gdańsku i Świnoujściu, nowego nie trzeba. Chodzi o port ro-ro, a nie terminale kontenerowe? Rynek ro-ro się kurczy! Nie kurczy się, tylko rośnie? Nie umiecie czytać danych! Znaczenie wojskowe? Nie trzyma się logiki i faktów, bo NATO zakłada „wywalczenie lokalnego panowania na Bałtyku". „Na smutny porcik ro-ro w Choczewie nikt by nie spojrzał, nawet, gdyby powstał" – puentował Wolski jedną z wielu diatryb przeciwko Hallerowi na platformie X.

POLACY „ZA"

W miniony czwartek dziennik „Rzeczpospolita" opublikował pierwszy sondaż, w którym pytano o Port Haller. 35,9 proc. respondentów popiera budowę, przeciw jest 28,6 proc, 35,5 proc. nie ma zdania.

„Budowa Portu Haller, nowego projektu infrastrukturalnego zaproponowanego przez PiS, ma więcej zwolenników niż przeciwników, ale dla dużej części wyborców pozostaje inicjatywą nierozpoznawalną" – komentowała wyniki „Rz".

Kto doinformuje Polaków o Porcie Haller? Eksperci czy politycy? A może lobbyści? Od tego zależy przyszłość nie tylko tego projektu.

eprasa.pl a114821b69

Człowiek z dachu

Mieszkańcy Krakowa idą na wojnę z prezydentem Aleksandrem Miszalskim – referendum w sprawie odwołania polityka z PO chce zdecydowana większość Krakowian. A już w najbliższy wtorek o 20.05 na antenie telewizji wPolsce24 zostanie wyemitowany wstrząsający, przedstawiający kulisy politycznej drogi Miszalskiego film Mariusza Pilisa „Człowiek z dachu". Wybitny dokumentalista specjalnie dla tygodnika „Sieci" pisze, co naprawdę dzieje się pod Wawelem

21 stycznia w przestrzeni publicznej pojawiła się elektryzująca informacja. Niby dyskusja nad tą kwestią zaprząta mieszkańców Krakowa od dawna, ale jednak mówić, dyskutować a zobaczyć, jakie są w tej żywotnej dla Krakowian kwestii wyniki badań, to dwie różne sprawy.

„Czy poparłby Pan/Pani referendum w sprawie odwołania Aleksandra Miszalskiego (PO) z funkcji prezydenta Krakowa?" – tak brzmi pytanie w sondażu. Wyniki zaskakują. Do tej pory pod Wawelem uważało się, że mieszkańcy są raczej niechętni zmianom, a potencjalnym inicjatorom takiej akcji nie uda się nawet zebrać podpisów pod wnioskiem. A tu sensacja. Bo jednak dla wielu jest pewnym zaskoczeniem, że przekonanych o konieczności odwołania Aleksandra Miszalskiego jest aż 48,4 proc. badanych, a tylko 37,5 proc. chce dotychczasowego układu w mieście w zakonserwowanej formie.

Co jeszcze wiemy? Że 64,2 proc. ankietowanych deklaruje chęć wzięcia udziału w referendum. Do urn nie planuje pójść mniej niż 29 proc. badanych. Wygląda na to, że potencjalne referendum w sprawie odwołania obecnego prezydenta miasta miałoby szansę przyciągnąć więcej wyborców niż głosowanie, które zdecydowało o obsadzie urzędu prezydenta!

IDEA ZMATERIALIZOWANA

Idea pozbawienia Aleksandra Miszalskiego fotela prezydenta Krakowa jest dziś bardziej niż realna. Przepisy mówią, że głosowanie będzie ważne tylko wtedy, gdy weźmie w nim udział co najmniej trzy piąte liczby osób, które głosowały w ostatnich wyborach – tych które obecny prezydent wygrał. W Krakowie w drugiej turze ostatnich wyborów prezydenckich oddano 264 257 ważnych głosów, więc próg ważności potencjalnego referendum to ok. 158,5 tys. głosujących. Deklarowana w sondażu frekwencja rodzi realną szansę osiągnięcie tego pułapu.

Prezydent Krakowa Aleksander Miszalski

Pomysł referendum, do tej pory wyszydzany i atakowany przez zwolenników obecnego prezydenta Krakowa Aleksandra Miszalskiego, materializuje się na naszych oczach. Sytuacja staje się więc dla niego groźna. Jeszcze niedawno w reakcji na referendum w sprawie odwołania prezydenta Zabrza (maj 2025 r.) i w konsekwencji zmianę na tym stanowisku w wyniku przedterminowych wyborów uspokajał on siebie i krakowską opinię publiczną na falach Polskiego Radia Kraków w likwidacji.

„Nie wydaje mi się, żeby w Krakowie były nastroje sprzyjające takiemu rozwiązaniu. Pytanie jednak, jaki miałby być powód. Wiem, że zdarzają się błędy, że nie wszystko idzie po mojej myśli, ale nie ma konkretnego powodu, dla którego można by odwołać prezydenta Krakowa" – mówił Miszalski.

Jednego powodu nie ma, to fakt. Istnieje ich wiele. Jaka jest lista publicznych zarzutów wobec prezydenta z Platformy?

STREFA I NEPOTYZM

Zacznijmy od najważniejszego dzisiaj konfliktu w sprawie wprowadzonej na początku stycznia 2026 r. Strefy

Fot. Shutterstock

eprasa.pl a114821b69

Czystego Transportu. Z grubsza rzecz ujmując, protestujący wskazują na nierówne traktowanie mieszkańców i absurdy życia codziennego, które od samego początku generuje wprowadzenie opłat za wjazd do całego miasta niektórymi kategoriami samochodów. To największy protest od lat, który wstrząsa Krakowem. Ludzie wyszli na ulice, a nocami, niewiele sobie robiąc z ostrzeżeń policji i miasta, demontują znaki informujące o wjeździe do SCT. Władze ostrzegają, że to nielegalne i zapowiadają wyciąganie konsekwencji wobec osób biorących udział w wojnie o znaki. Co o tym wszystkim myśli i co mówi o SCT prezydent Miszalski? Podkreśla, że nie cofnie się ani na krok.

„Kto ma zdjęcie z Miszalskim, ma u niego pracę" – taki slogan towarzyszy obecnemu prezydentowi z Platformy praktycznie od początku urzędowania. Przez miasto przechodzi obecnie fala happeningów organizowanych przez kilku blogerów i działaczy miejskich pod hasłem: „Epidemia kolesiostwa". Twórcy akcji ujawnili i wciąż ujawniają nazwiska ludzi związanych blisko albo z PO, albo z kampanią Miszalskiego, którzy znaleźli zatrudnienie na wysokich stanowiskach w spółkach miejskich lub są obdzielani nadzwyczajnymi przywilejami. Oczywiście wszystko za pieniądze miasta. Faworyzowanie znajomych i działaczy PO budzi sprzeciw działaczy miejskich, którzy w humorystyczny i kreatywny sposób piętnują to zjawisko: rozklejają w Krakowie plakaty, informacje, tworzą filmy w internecie, prowokują akcje uliczne. Władza Miszalskiego ich za to ściga, ciąga po sądach, oczernia na forach internetowych. Co jest skutkiem akcji „Epidemia kolesiostwa"? Ponad 40 ujawnionych osób i bezlik sposobów, dzięki którym znaleźli się tam, gdzie obecnie są. Do miejskich anegdot – choć sama sprawa jest przykra i zasmucająca – należy sprawa pewnej pani, która bez żadnego doświadczenia wygrała w konkursie z ludźmi o 26-letnim stażu w branży i mającymi niekwestionowane kompetencje. Jedynym powodem, dla którego znalazła się na tym stanowisku, jest jej zdjęcie z kampanii wyborczej z obecnym prezydentem Krakowa – kpi miasto.

MARNOTRAWSTWO I DŁUGI

Kraków tonie w długach. Co o tej sytuacji mówią jego władze? Że dług jest „pod kontrolą", a odziedziczono go po poprzednim prezydencie Jacku Majchrowskim. Co na to opozycja? Że to „strukturalny kryzys", rekordowy deficyt, dalszy wzrost długu (także spółek miejskich), efekt nastawienia na turystykę i deweloperów kosztem mieszkańców, a także braku realnych oszczędności. Radni PiS i opozycja w RMK powtarzają: „Majchrowski przez 21 lat zadłużył nas na 6 mld złotych. Miszalski w 1,5–2 lata osiągnął już połowę tego wyniku, powodując wzrost długu o dodatkowe ok. 2–3 mld". Przy czym są to wyliczenia bardzo ostrożne, bo nie uwzględniają długów spółek miejskich. Jeden z naszych rozmówców w radzie miasta Krakowa nazywa sprawę wprost.

> Aleksander Miszalski wygrał wyścig o fotel prezydenta Krakowa w 2024 r. m.in. dzięki potężnemu hejtowi inspirowanemu przez struktury i akolitów PO

– Przekroczyliśmy już wszelkie granice. Jeśli traktowałoby się prawo takim, jakim jest, a nie jak oni je rozumieją, to w Krakowie już dawno powinien być wyznaczony zarządca komisaryczny – mówi nam rajca.

W mieście zaniechano ważnych inwestycji (basen olimpijski, stadion Wieczystej, Planeta Lem). Miszalski zdecydował za to o rozpoczęciu budowy kładki pieszo-rowerowej na Kazimierzu za 130 mln zł. Problem jest taki, że powstaje ona wbrew opinii UNESCO (bo niszczy krajobraz w ścisłym centrum zabytkowej dzielnicy Krakowa) i zagraża mieszkańcom, tworząc ze spokojnej do tej pory części tej dzielnicy strefę hostelowo-barową, służącą turystom i biznesowi. Ten i wiele innych „grzechów" Miszalskiego sprawia, że coraz częściej w przestrzeni dyskusji w Krakowie pojawia się opinia, że prezydent kontynuuje degradację miasta. To prowadzi do szybkiego spadku zaufania do lokalnej władzy. Nie dziwi zatem wynik obecnego sondażu.

Aleksander Miszalski wygrał wyścig o fotel prezydenta Krakowa w 2024 r. m.in. dzięki potężnemu hejtowi inspirowanemu przez struktury i akolitów Platformy Obywatelskiej. Podczas kampanii użyto nielegalnych, anonimowych plakatów, ulotek i kont w mediach społecznościowych, w tym słynnego hejterskiego profilu SokzBuraka. Kampania eliminowania kontrkandydata, którym był Łukasz Gibała, nosiła wręcz gangsterski charakter. Było włamanie do mieszkania ojca Gibały, kradzież dokumentów oraz film w internecie z pomówieniami o śmierć człowieka, rzekomo z winy ojca kontrkandydata Miszalskiego. Notabene później wyszło na jaw, że nakręcił go człowiek skazany za udział w zorganizowanej przestępczości. Prawo było naruszane choćby poprzez nielegalne finansowanie czarnego PR przez deweloperów, blisko związanych z ustępującym prezydentem Krakowa Jackiem Majchrowskim. Ten zawarł nieformalne porozumienie z Platformą, co znacznie poprawiło pozycję Miszalskiego.

W lecie 2025 r. ukazała się książka dziennikarzy Andrzeja Gajcego i Wojciecha Muchy „Kampania. Jak wygrać wybory i nie dać się złapać". To akt publicznego oskarżenia, świadectwo tego, jak człowiek, którego jedynym wymiernym efektem sprawowanych od dwóch lat rządów w Krakowie jest wyprodukowanie ok. setki filmików do internetu, zwyciężył w wyborach, kradnąc mieszkańcom miasta nadzieje na zmiany.

W wyborach samorządowych w Krakowie w 2024 r. głosowało prawie 262 tys. osób. Różnica głosów pomiędzy zwycięskim Miszalskim a Gibałą wyniosła tylko 5,5 tys. głosów. Prezydent z Platformy Obywatelskiej naprawdę ma się czego bać.

Mariusz Pilis

eprasa.pl a114821b69

Patriotyczna pobudka

Dlaczego rano warto przełączyć się na telewizję wPolsce24? Bo tu stawia się na prawdę

W telewizji informacyjnej poranek jest sprawdzianem ambicji redakcji. To wtedy zapadają decyzje, czy stacja chce jedynie odczytać nagłówki, czy spróbować uporządkować rzeczywistość i zaproponować widzowi coś więcej niż strumień newsów.

Telewizja wPolsce24 od początku konsekwentnie wybiera tę drugą drogę. Jej poranne pasmo nie jest zbiorem przypadkowych formatów, lecz przemyślaną całością – opowieścią o Polsce i świecie, opartą na faktach, rozmowie i komentarzu.

To propozycja dla tych, którzy dzień chcą zaczynać świadomie. Bez histerii, bez propagandowych klisz, bez udawanej neutralności, która często okazuje się jedynie zasłoną dla ideologii. Widzowie wPolsce24 od rana dostają jasny sygnał: tu chodzi o zrozumienie mechanizmów, a nie rozmywanie przekazu. Poranek nie jest w tej stacji czasem rozgrzewki – jest pełnoprawnym polem debaty.

INFORMACJA MA WARTOŚĆ

Podczas gdy liberalno-lewicowe media głównego nurtu wciąż serwują widzom lukrowaną rzeczywistość lub ideologiczne połajanki, telewizja wPolsce24 stawia na prawdę już od pierwszej minuty nadawania.

Poranne pasmo stacji to nie tylko zestaw aktualnych informacji, lecz przede wszystkim potężna dawka energii, rzetelnej analizy i komentarzy, które nie unikają trudnych pytań. To tutaj, w nowoczesnych studiach zbudowanych dzięki bezprecedensowemu wsparciu Polaków, wykuwa się programowa alternatywa dla tych, którzy od telewizji oczekują czegoś więcej niż tylko rozrywki „w wersji light".

Flagowy program poranny „Budzimy się" (start od poniedziałku do piątku o 7.00, a w sobotę i niedzielę o 7.10) to nowa jakość w polskim krajobrazie śniadaniowym. Tutaj nie ma miejsca na jałowe dyskusje, gdy ważą się losy polskiej suwerenności.

„Budzimy się" to swoisty rozruch informacyjny widza, który od pierwszych minut dnia chce wiedzieć, w którą stronę skręca polityka i co w praktyce oznaczają kolejne decyzje rządu Donalda Tuska dla jego portfela, bezpieczeństwa i poczucia sprawiedliwości.

Istotnym wyróżnikiem programu „Budzimy się" jest język, którym prowadzący porozumiewają się z widzem. Nie ma tu miejsca na nadętą, oderwaną od codzienności nowomowę, tak charakterystyczną dla części liberalnych mediów. Zamiast niej jest normalna, momentami potoczna polszczyzna, dzięki której polityka przestaje być hermetycznym „sportem dla wtajemniczonych". Widz otrzymuje klarowny przekaz: nie jesteś petentem wobec państwa, ale obywatelem, który ma prawo rozumieć mechanizmy władzy i oceniać je z własnej perspektywy, bez pośrednictwa „uprzejmych" filtrów poprawności politycznej. Ta zmiana optyki – z widza biernego na widza współuczestniczącego – jest jednym z kluczowych powodów, dla których poranne pasmo wPolsce24 tak wyraźnie pracuje na wzrost rozpoznawalności stacji.

Program jest niezwykle dynamiczny. Łączenia na żywo z reporterami z całej Polski, relacjonującymi wydarzenia, o których inne stacje często milczą, to znak rozpoznawczy tego formatu. Widzowie cenią „Budzimy się" za odwagę w podejmowaniu tematów trudnych: od ideologicznej ofensywy w szkołach, poprzez skandale w prokuraturze aż po walkę o wielkie inwestycje rozwojowe, takie jak CPK czy Port Haller. To tutaj przy porannej kawie omawiane są realne problemy, z jakimi borykają się Polacy pod rządami koalicji 13 grudnia. Ciepły humor prowadzących, znany z innych formatów stacji, pozwala jednak przejść przez te często gorzkie tematy z poczuciem nadziei i wspólnoty.

KAWA I WIKŁO

Jeżeli ktoś szuka kwintesencji dziennikarskiego rzemiosła i dociekliwości,

Autopromocja

eprasa.pl a114821b69

o 8.15 musi włączyć telewizję wPolsce24 w czasie „Rozmowy Wikły". To tu prowadzone są najważniejsze dialogi poranka. Marcin Wikło – znany z tego, że „nie gryzie się w język" i zawsze sięga sedna sprawy – zaprasza do studia polityków, ekspertów i ludzi kształtujących polskie życie publiczne.

Styl Marcina Wikły to połączenie spokoju z zabójczą precyzją. Jego pytania często obnażają hipokryzję władzy, co sprawia, że politycy koalicji rządzącej rzadko decydują się na przyjęcie zaproszenia, wybierając bezpieczne studia zaprzyjaźnionych stacji. Jednak dla polityków opozycji oraz niezależnych ekspertów jest to miejsce merytorycznej debaty o przyszłości Polski. To w „Rozmowie Wikły" padają kluczowe deklaracje dotyczące obrony polskiej tożsamości, suwerenności energetycznej czy walki z „antyprezydenckim hejtem", przed którym przestrzegają najbliżsi współpracownicy głowy państwa. Program ten, nadawany w ramach bloku porannego, stanowi intelektualny fundament dnia tysięcy Polaków, którzy nie zgadzają się na bycie „parobkami" we własnym kraju.

Prawdziwym strzałem w dziesiątkę na początku 2026 r. okazał się format „Kawa i Wikło" (emisja od poniedziałku do piątku o 9.00). To program, który idealnie łączy lekkość porannego magazynu z drapieżnością najlepszej publicystyki. Duet, który tworzą Marzena Kawa i Marcin Wikło, błyskawicznie zdobył serca widzów, co znajduje odzwierciedlenie w oszałamiających wzrostach oglądalności, o których wspominał redaktor naczelny Jacek Karnowski.

> Flagowy poranny program „Budzimy się" (start od poniedziałku do piątku o 7.00, a w sobotę i niedzielę o 7.10) to nowa jakość w polskim krajobrazie śniadaniowym. Tutaj nie ma miejsca na jałowe dyskusje

Marzena Kawa wnosi do studia elegancję, spokój i wieloletnie doświadczenie dziennikarskie, z kolei Marcin Wikło – jeden z filarów tygodnika „Sieci" – to gwarancja bezkompromisowego spojrzenia na fakty. W „Kawa i Wikło" analizuje się nagłówki gazet i portali, wyłapując z nich manipulacje i „informacyjny szum". To właśnie w tym programie widzowie mogą się dowiedzieć, jaki jest prawdziwy kontekst berlińskich wypraw polityków obecnej władzy czy kolejnych hucznie ogłaszanych sukcesów, za którymi nie stoją realne wyniki. Program udowadnia, że o polityce można mówić inteligentnie, żartując, ale nigdy nie tracąc z oczu interesu narodowego. „To się po prostu świetnie ogląda" – piszą widzowie w mediach społecznościowych, a liczby nie kłamią: format ten zyskuje liczącą się pozycję w swoim paśmie wśród stacji informacyjnych.

SUKCES NAPĘDZA

Rozwój porannego pasma telewizji wPolsce24 to nie przypadek – to efekt ciężkiej pracy zespołu redakcyjnego. Strategia stacji, bazująca na uczciwości, patriotyzmie i szacunku do widza, przynosi bezprecedensowy sukces. Ogromny wzrost oglądalności rok do roku to jasny sygnał: Polacy są głodni rzetelnej informacji, podanej z ich punktu widzenia. Poranne pasma dają widzowi wiedzę, którą może on zweryfikować już o 10.00 (od poniedziałku do piątku i w niedzielę), kiedy zaczyna się słynna „Kontra" Tadeusza Płużańskiego z licznymi gośćmi reprezentującymi wszystkie strony sceny politycznej.

Telewizja wPolsce24 buduje swoją siłę na autentycznej więzi z odbiorcą. Jak podkreśla redaktor naczelny Jacek Karnowski, stacja służy sprawie polskiej wolności, a ta nie istnieje bez niezależnych mediów. Telewizja wPolsce24 to jeden z bastionów tej wolności. Od samego świtu!

(AT)

eprasa.pl a114821b69

Holokaust jako broń polityczna

„Obciążenie Polaków odpowiedzialnością za Holokaust trwa od kilkudziesięciu lat i ma znaczenie polityczne. Ponurą rolę odgrywają w tym tacy ludzie jak Jan Grabowski. Polskie instytucje muszą wyświetlić trudne sprawy, by rozmaitym oszustom historycznym zablokować instrumentalne wykorzystywanie historii" – mówi pisarz i publicysta ***Bronisław Wildstein*** w rozmowie z Maciejem Walaszczykiem

Zeznawał pan w procesie cywilnym, który Jan Grabowski wytoczył panu, zarzucając naruszenie jego dóbr osobistych. Zażądał on publicznych przeprosin za nazwanie go „pseudobadaczem" i wpłaty 50 tys. zł na rzecz jednego ze stowarzyszeń zrzeszających ocalałych z Holokaustu. O co chodzi?

Bronisław Wildstein: O wywiad, którego udzieliłem nieistniejącemu już internetowemu „Tygodnikowi TVP" po tym, jak zostałem włączony do Rady Programowej Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Mówiłem w nim o zadaniach, które powinny być podjęte przez tę instytucję w tym o problemie relacji polsko-żydowskich w czasie ostatniej wojny.

Dlatego to takie ważne?

Bo rola, jaką odegrali Polacy w czasie Holokaustu, istotnie wpływa i kształtuje wizerunek naszego kraju na świecie. Holokaust – zresztą słusznie – traktowany jest bardzo poważnie, a wiedza o nim stała się probierzem oceny danego narodu. Mówi o jego etosie i zachowaniu w momencie próby, której został poddany. Przekłada się na tzw. soft power, a więc możliwości oddziaływania w sferze symbolicznej. Mówiłem o nowej szkole opowiadania na temat Holokaustu, która przypisuje Polakom współodpowiedzialność.

Jaka jest w tym rola takich ludzi jak m.in. Jan Grabowski?

Praca tych „pseudobadaczy" rozmija się ze standardami i metodami stanowiącymi fundament pracy historyka, a więc bezstronnego podejścia do problemu w celu wyświetlenia prawdy. Powinno chodzić o wnikliwą analizę wszelkich dostępnych źródeł, dokumentów, świadectw oraz odniesienia ich do kontekstu zdarzeń. Tymczasem ta nowa szkoła z założenia stara się przeforsować określoną tezę, co kwestionuje metodę historycznego badania. I na pytanie, kto jest przykładem takiego historyka, wymieniłem Jana Grabowskiego, który nie tylko wpisuje się w ten obraz, lecz także jest powodowany nienawiścią do Polski. I o to wytoczył mi proces.

Wcześniej rząd Mateusza Morawieckiego podjął próbę przeciwdziałania tym praktykom. Przypomnijmy, na czym to polegało.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a114821b69

W 2018 r. Sejm przyjął nowelizację ustawy o IPN, która penalizowała oszczerstwa zawarte w publikacjach przypisujących Polakom współodpowiedzialność za Holokaust lub posługujących się sformułowaniem „polskie obozy koncentracyjne". Nie obejmowała ona jednak prac naukowych czy aktywności artystycznej. Zapisy te powielały propozycje zawarte w nowelizacji z 2006 r., które wtedy zostały utrącone przez Trybunał Konstytucyjny, ale nie wywoływały żadnej reakcji w Polsce i za granicą. Ale już w 2018 r. wokół nowelizacji rozpętano histerię, przedstawiając ją jako próbę blokowania badań naukowych.

Mówiono, że Polska usiłuje wybielać historię okresu wojny poprzez gloryfikację postawy swojego społeczeństwa wobec Żydów.

I choć atak płynął w ogromnej mierze z zagranicy, np. z Izraela, to atakujący odwoływali się do nieprawdziwych zarzutów, podsuwanych im przez mieszkających w Polsce wrogów ówczesnego rządu. Dlatego premier powołał specjalny zespół ds. dialogu prawno-historycznego, w składzie którego się znalazłem. Miał on wyjaśnić w Izraelu rację strony polskiej.

Chodziło również o wspólny, polsko-izraelski projekt badań nad Holokaustem, w którym mogliby pracować historycy w Yad Vashem i którejś z polskich instytucji?

Tak, ale by działać wspólnie w imię prawdy historycznej, a nie wybielać kogokolwiek. Chodziło o to, aby wspólnie z polskimi instytucjami poddać Holokaust rzetelnym badaniom, odsłonić wszystko, co jest do odsłonięcia na temat tych czasów, po to, by w przyszłości uniemożliwić działania rozmaitym oszustom historycznym, dążącym do instrumentalnego wykorzystywania historii. Tak jak robi to np. Grabowski.

Trudny temat i bardzo skomplikowane historie.

Uważam, że Polacy mają powody do szczycenia się tym, w jaki sposób zachowywali się podczas okupacji. Tym bardziej że w porównaniu z innymi krajami niemiecka polityka w Polsce była naprawdę okrutna. I choć oczywiście istniał spory margines przestępczy i zdarzały się rzeczy straszne – co niestety jest oczywiste w takich nieludzkich czasach– to wszystko należy pokazać w odpowiedniej skali i proporcjach. Karą śmierci wykonywaną bez sądu zagrożone było nie tylko ukrywanie Żydów, lecz także – od 1942 r. – nieujawnianie jakichkolwiek informacji na ich temat. Ta „nowa szkoła" fałszuje również problem formacji, które okupanci rekrutowali z ludności polskiej. Np. początkowo policjanci II RP zmuszani byli pod groźbą kary do powrotu do służby jako granatowa policja. Dopiero potem włączali się do niej ochotnicy, w tym różni przestępcy. Uformowane z Polaków instytucje nie posiadały żadnej autonomii. Tymczasem niedawno ukazała się książka Grzegorza Rossolińskiego-Liebe o polskich burmistrzach i Holokauście, której recenzentem był właśnie Jan Grabowski. Publikacja ta jest kolejnym kuriozum, gdyż opisuje administrację Generalnej Guberni pod zarządem Hansa Franka jako „rząd krakowski", niczym kolaboracyjny rząd w stylu Vichy. Ten ciąg deformacji rzeczywistości nie prowadzi do rozpoznania prawdy, ale czegoś odwrotnego, i Jan Grabowski jest koryfeuszem takiej metody.

Ale ta działalność wpisuje się w kontekst polityczny, gdyż polityka historyczna jest używana do wywierania nacisku, budowania prestiżu lub deprecjonowania. Robią to USA, Izrael, Niemcy, Rosja, a prawda jest drugorzędna. To, co mówi Grabowski, uderza w naszą rację stanu?

Próba obciążenia Polaków odpowiedzialnością za Holokaust trwa już od kilkudziesięciu lat. Punktem przełomowym była tzw. sprawa Jedwabnego – bardzo dwuznaczna, do dziś niewyjaśniona, gdyż nie przeprowadzono tam ekshumacji. Wizerunek Polski jako ofiary brutalnej polityki III Rzeszy od tego czasu zmienił się niemal do roli jej wspólnika. Wszystko to dzieje się w sytuacji, gdy większość opinii światowej w centrum wydarzeń ostatniej wojny stawia sprawę zagłady europejskich Żydów, a jednocześnie nie ma pojęcia, na czym polegała okupacja w Polsce. Tymczasem niemieckie zbrodnie dotykały nie tylko ludności żydowskiej, lecz także etnicznych Polaków, a celem Niemców była redukcja ich do roli niewolników oraz eksterminacja polskiej elity.

Kto jest za to odpowiedzialny?

Różnego rodzaju siły, które powodują, że kampania ta odnosi skutek. Po pierwsze, Niemcy, którzy pragną odsunąć od siebie odium odpowiedzialności za zbrodnie i tragedię II wojny światowej. Nie robią tego ostentacyjnie, ale stopniowo, dzieląc się z Polakami odpowiedzialnością i próbując ją zdenacjonalizować. Zgodnie z tą interpretacją narodowy socjalizm miał być elementem szerszego ponadnarodowego zjawiska europejskiego faszyzmu. Sekundują temu najsilniejsze i najbardziej wpływowe lewicowo-liberalne ośrodki zwalczające narodowe tożsamości i tradycje. Dla nich polska tożsamość jest szczególnie wroga ze względu na nasz stosunkowo żywy patriotyzm i katolicyzm. Również one lansowały światu wyobrażenia o naszej rzeczywistości politycznej, odmalowując rządy prawicy jako reżim nacjonalistów, właściwie faszystów. Podczas procesu Jan Grabowski mówił np., że był przez takich ludzi jak ja – a miałem być związany z rządem – zaszczuwany i poddawany kampanii nienawiści. To wszystko jest absurdalne. Wielka i zmanipulowana (sfinansowana przez państwo) praca „Dalej jest noc", której redaktorem aukowym był Grabowski, ukazała się w czasie rządów PiS i jakoś nikt nie zablokował jej wydania ani nie skierował jej na przemiał.

W Moskwie również interesują się polityką historyczną.

Ma ona tam szczególne znaczenie, bo pokonanie nazistowskich Niemiec przez Sowietów jest dla Moskwy mitem fundującym nowoczesną tożsamość państwa. Pierwotna współpraca z Hitlerem, wspólne wywołanie wojny i rozbiór Polski zostają z tej opowieści wyparte, a wojna zaczyna się dopiero

eprasa.pl a114821b69

w czerwcu 1941 r. Jeśli więc Polaków przedstawi się jako współsprawców Holokaustu, zbiorowość napędzaną antysemityzmem i nacjonalizmem, to „wkroczenie" Armii Czerwonej 17 września 1939 r. okazuje się usprawiedliwione koniecznością obrony ludności Kresów – w tym żydowskiej – przed Niemcami i Polakami. Pamiętajmy też, że Polska pozostaje zaporą dla rosyjskiego imperializmu, więc oskarżenia pod jej adresem są użytecznym narzędziem jej deprecjacji w oczach światowej opinii publicznej.

No i oczywiście państwo Izrael, którego tożsamość i racja istnienia oparta jest na wyjątkowości statusu ofiary.

Niestety opinie na temat polskiego współsprawstwa w ostatnich latach zaczynają tam dominować, choć kiedyś wcale tak nie było. Wpływ na to miała ogromna migracja rosyjskich Żydów na początku lat 90. XX w. Ze Związku Sowieckiego wynieśli przekonanie, że ratował on Żydów zarówno przez Niemcami, jak i przed Polakami. Pierwsze pokolenie mieszkańców Izraela zachowywało często dobrą pamięć o Polsce i Polakach. Jednak gdy odeszło, pozostał zbiorowy przekaz o Polsce jako ziemi, na której dokonany został Holkaust, co jest prawdą, ale prowadziło to do wyobrażenia jej jako ziemi przeklętej, dodatkowo utrwalane przez historyków w typie Grabowskiego czy Grossa. Do tego pamięć tych, którzy przetrwali, jest często straumatyzowana, a więc wybiórcza. Niestety ich świadectwa są traktowane jako bezdyskusyjny element świętej historii. Także nieprzebadanym wątkiem jest rola w okupowanej Polsce bardzo licznej mniejszości Niemców. Wielu z nich – mówiących po polsku jak Polacy, a więc nieodróżnialnych od nich dla Żydów – współpracowało gorliwie z okupantem.

Jak wyglądały rozmowy, które prowadziliście z Yad Vashem i czy rokowało to poważną współpracę?

Wtedy nie wyglądało to aż tak źle. Choć gdy zaczynaliśmy rozmawiać z pracownikami Yad Vashem, okazywało się, że o wielu sprawach nie mieli pojęcia. A wszystko, co wiedzieli, pochodziło od ich „przyjaciół z Polski", którzy suflowali im różne rzeczy. Z drugiej strony, choć Ja'ir Lapid atakował nasz kraj, to premier Binjamin Netanjahu wykazywał w tej kwestii dużą powściągliwość. W końcu podpisał z premierem Mazowieckim znaczącą, choć na pewno za mało wyeksponowaną deklarację przypominającą, że odpowiedzialność za Holokaust ponoszą Niemcy, oraz potępiającą zarówno antysemityzm, jak i antypolonizm. To jest kontekst międzynarodowy, ale najgorsze jest to, że rządy i establishment III RP nie próbowały się przeciwstawić tej antypolskiej narracji. Nawet prawica nie robiła tego wystarczająco konsekwentnie. Swego czasu ukułem pojęcie „pedagogiki wstydu", w które wpisuje się właśnie obciążanie Polaków winą za Holokaust. Elementem tej praktyki jest oddawanie kontroli nad takimi instytucjami jak Centrum Badań nad Zagładą Żydów PAN osobom mającym niechętny stosunek do polskości. Książka „Dalej jest noc", pełna manipulacji i kłamstw, to przecież dowód na ich szkodliwą działalność. Najbardziej uderzające było wywiedzione w niej stwierdzenie, że Polacy zamordowali 200 tys. Żydów.

> Niesprawiedliwe oskarżenia o antysemityzm wyzwalają antysemityzm realny. Choćby to, co robi w ostatnim czasie Grzegorz Braun

Grabowski mówił o „przyczynieniu się do śmierci".

Dopiero później złagodził w ten sposób swoje stanowisko. Wcześniej powoływał się na ustalenia Szymona Datnera, co nie było zgodne z prawdą. Obecnie przyjmuje, że liczba ta wynika z jego własnych badań prowadzonych na małą skalę, które potem ekstrapolował na całość zjawiska okupacji w Polsce. To niepoważne. Grabowski potrafił – powołując się na jednego niewiarygodnego świadka – głosić tezę, że po zamordowaniu rodziny Ulmów mieszkańcy Markowej ze strachu zamordowali wszystkich ukrywanych Żydów. Właściwie nigdy tego nie odwołał. W rzeczywistości ukrywali ich oni do końca wojny.

Czy sytuacja ulega zmianie?

Od pewnego czasu IPN prowadzi własne badania na temat Holokaustu, które publikuje w „Polish-Jewish Studies" w języku angielskim. Jednak zarówno IPN, jak i jego historycy atakowani są jako „polscy nacjonaliści" fałszujący historię.

Jan Grabowski rzeczywiście posługuje się brutalnym językiem. Działania rządu prawicy określał jako „koślawo pojętą polską rację stanu" czy „próbę fałszowania historii Zagłady przez polskich nacjonalistów".

Do tego uderzające jest np. traktowanie świadków i ich wiarygodności przez Grabowskiego. Jeśli któryś z nich mówi o podłym zachowaniu Polaków, jest wiarygodny, jeśli o szlachetnym – jest niewiarygodny, jeśli Niemiec zaangażowany w organizowanie zbrodni mówi o współudziale Polaków – jest wiarygodny. To wszystko ma również destrukcyjny wpływ na to, co dzieje się w Polsce.

W jaki sposób?

Niesprawiedliwe oskarżenia o antysemityzm wyzwalają antysemityzm realny. Choćby to, co robi w ostatnim czasie Grzegorz Braun.

Martyrologia Żydów jest wykorzystywana jako instrument w walce polityczno-ideologicznej. Jakiej polityki potrzebujemy?

Odpowiedzialnej, bo, jak powiedział Faulkner: „Przeszłość nigdy nie jest martwa. Nawet nie jest przeszłością".

Reklama | 01/0126/F/ZAL

eprasa.pl a114821b69

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Dbamy o to, co się liczy.

Ubezpieczenie mieszkań i domów jednorodzinnych SALTUS – Mój DOM

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

Oferta dostępna w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

asset_id: 6921b69

Mercosur, czyli europ

Porozumienie z państwami Mercosur to coś więcej niż traktat o wolnym handlu. Jest ono bowiem narzędziem w rozgrywce Europy o przyszłość modelu liberalnego i o to, jak ułożą się relacje atlantyckie

„Czas na miłe słowa się skończył i nadszedł moment, by przeciwstawić się Trumpowi" – powiedział w rozmowie z BBC Anders Fogh Rasmussen, były sekretarz generalny NATO i były premier Danii. „Politico", wydawane przez niemiecko-szwajcarski koncern Axel Springer, informuje z kolei, że po ostatnim kryzysie wokół Grenlandii rządy europejskie „doszły do wniosku, że teraz to Amerykanie są tymi złymi".

Te nastroje można było odczuć w czasie przemówienia w Davos Howarda Lutnicka, amerykańskiego sekretarza handlu, kiedy rozlegały się gwizdy i wrogie okrzyki, a Christine Legarde, szefowa Europejskiego Banku Centralnego – o której media jeszcze niedawno pisały, że otrzymuje dwa razy większe wynagrodzenie, niż sądzono, bo ma też tajną pensję – demonstracyjnie opuściła salę obrad.

Fetowano za to Marka Carneya, premiera Kanady, który powiedział, że „średnie państwa muszą działać razem, bo jeśli nie ma nas przy stole, to jesteśmy w menu". W tym przemówieniu o jednoznacznie antyamerykańskim wydźwięku kanadyjski premier zaapelował też o zawarcie porozumień handlowych, których funkcjonowanie gwarantowałoby przetrwanie nie tylko wolnego handlu, lecz także liberalnego ładu globalnego, zagrożonego zmianą polityki Waszyngtonu. Według Carneya Stany Zjednoczone przestają być gwarantem światowego porządku i „eksporterem bezpieczeństwa", a stają się groźnym rywalem, mocarstwem, które dba wyłącznie o własne, egoistycznie rozumiane interesy. Nikogo w Davos nie zdziwiły zapewne doniesienia kanadyjskich mediów, że armia tego kraju zaczęła się przygotowywać do odparcia ewentualnej agresji południowego sąsiada. Dziennik „The Globe and Mail" poinformował, że „po raz pierwszy od 100 lat" kanadyjskie siły zbrojne przeprowadziły gry wojenne, w których agresorem są Amerykanie, analizowały model oporu asymetrycznego w tego rodzaju sytuacji oraz testowały, czy Europejczycy są w stanie przyjść im z pomocą.

MAREK BUDZISZ

Deklaracje duńskich polityków przypominających o obowiązujących regulacjach, w świetle których siły zbrojne tego niewielkiego królestwa będą walczyć z agresorem (niezależnie od tego, jaki mundur będzie nosił) z bronią w ręku – nawet jeśli polem starcia miałaby być arktyczna Grenlandia – nie są zatem jedynym świadectwem tego, że w NATO zaczyna się myśleć o wojnie – ale nie z Rosją czy Chinami, lecz z dotychczasowym sojusznikiem. Nawet jeśli uznamy tego rodzaju scenariusz za zupełnie nierealistyczny, a wypowiedzi polityków i podjęte działania za rodzaj teatru, to zmiana nastrojów jest widoczna i wyczuwalna, a w przyszłości ten zwrot będzie miał swoje konsekwencje.

ZWROT W KIERUNKU CHIN?

Tym bardziej że Mark Carney był niedawno w Chinach, gdzie osiągnął porozumienie w sprawie zmniejszenia ograniczeń we wzajemnym handlu i zaczął mówić o „partnerstwie strategicznym" między obydwoma krajami. W czasie kryzysu wokół Grenlandii w podobnym tonie wypowiadał się Emmanuel Macron, sygnalizując w ten sposób, że „Europa ma alternatywę", nie jest zdana na współpracę z Amerykanami i może wykonać zwrot geostrategiczny w stronę Państwa Środka. „Chińczycy są mile widziani w Europie" – powiedział francuski prezydent, który na początku grudnia też był w Pekinie, a nasz kontynent – jak zaznaczył – potrzebuje

Fot. EC/Dati Bendo

eprasa.pl a114821b69

ejska opcja na Chiny

więcej, a nie mniej inwestycji z tego kierunku i pogłębienia współpracy.

Dzień przed przemówieniem Trumpa w Davos rząd Wielkiej Brytanii podjął długo dyskutowaną decyzję o zgodzie na budowę przez Chińczyków nowej, wielkiej ambasady w Londynie. Kontrowersje w kwestii tej inwestycji były związane z ujawnieniem przez media, iż w świetle planów w ambasadzie będzie co najmniej kilka „ukrytych pokojów", które mogą być salami tortur i miejscami przetrzymywania więźniów politycznych, a budynek jest zlokalizowany w bezpośredniej bliskości połączeń światłowodowych, za pośrednictwem których londyńskie City otrzymuje większość danych. Przedstawiciele brytyjskiego wywiadu „nie mogli zagwarantować", że w związku z lokalizacją budynku nowej ambasady Chińczycy nie uzyskają dostępu do danych wrażliwych, a to z kolei mogłoby zagrozić – ich zdaniem – dalszemu istnieniu Sojuszu Pięciu Oczu. Mowa o porozumieniu wywiadów, w którym prócz Brytyjczyków uczestniczą również Amerykanie i inne państwa anglosaskie, dzięki któremu służby specjalne tych krajów wymieniają się poufnymi danymi wywiadowczymi. Ta umowa jest jednym z fundamentów specjalnych amerykańsko-brytyjskich relacji sojuszniczych, które w ostatnim czasie zaczęły słabnąć i niektórzy analitycy obawiają się, iż Waszyngton może podjąć decyzję o wycofaniu się z porozumienia.

Również z tego powodu, iż rząd Keira Starmera jest oskarżany przez Amerykanów o uległość wobec Pekinu. W ubiegłym roku wybuchł w Londynie skandal szpiegowski związany z aktywnością chińskiego wywiadu i niedostateczną reakcją na zagrożenia rządu Partii Pracy, który był bardziej zainteresowany tuszowaniem afery niż ochroną kontrwywiadowczą. Na amerykańsko-brytyjskich relacjach cieniem nadal kładzie się decyzja w sprawie Archipelagu Czagos. To brytyjskie wyspy na Oceanie Indyjskim, na których znajduje się baza wojskowa Diego Garcia, będąca jednym z kluczowych elementów amerykańskiej (jest wspólnie wykorzystywana) globalnej projekcji siły. Rząd Starmera chce oddać wyspy Mauritiusowi, który jest uznawany za państwo grawitujące w stronę Chin. Lecąc do Davos, Trump udzielił mediom wywiadu, w którym powiedział m.in., że oddanie Czagos Mauritiusowi to jego zdaniem bardzo zła, a nawet „głupia decyzja", która „świadczy o słabości". Najwyraźniej zdaniem amerykańskiego prezydenta Wielka Brytania przestaje być wiarygodnym sojusznikiem, jeśli chodzi o politykę wobec Chin, podobnie jak inne państwa, które – jak Hiszpania – są zainteresowane pogłębieniem współpracy z Pekinem i oddzielają kwestie globalnego bezpieczeństwa oraz rywalizacji od kooperacji gospodarczej.

W oczach Amerykanów, przygotowujących się do twardej rywalizacji z Chinami (a może nawet do wojny), tego rodzaju deklaracje brzmią jednoznacznie – Europa może dokonać geostrategicznego zwrotu, podjąć rozmowy z Pekinem i zacząć myśleć o nowym globalnym ładzie, gwarantowanym tym razem nie przez Waszyngton, ale nowego hegemona, którym stałyby się w takiej sytuacji Chiny.

EUROPEJSKO-AMERYKAŃSKA WOJNA HANDLOWA

To także – jak informował niemiecki dziennik „Die Welt" – miało być tematem rozmów w kuluarach szczytu w Davos. Nowy globalny porządek nie oznaczałby otwartej rywalizacji ze Stanami Zjednoczonymi, ale zupełnie inną opcję – kontynuację globalizacji bez Ameryki, która w praktyce stałaby się państwem izolowanym, zamykającym się na kontynencie północnoamerykańskim. „Znacznie bardziej realistyczne jest, że UE, Chiny i główne gospodarki wschodzące zdecydują się w dużej mierze ignorować USA i zawierać między sobą umowy o wolnym handlu bez udziału USA" – napisali z Davos korespondenci niemieckiego dziennika.

O podobnym scenariuszu mówił po wizycie w Chinach Carney i dlatego kanclerz Friedrich Merz pojechał do Indii, by rozmawiać o współpracy między Niemcami, Europą a najludniejszym krajem świata.

To wyjaśnia też, dlaczego Komisja Europejska, łamiąc unijne zasady, chciała szybko przeforsować porozumienie z państwami Mercosur, a ostatnio zaczęła mówić o wolnym handlu z Australią. Elementem tej strategii jest również twarde stanowisko Manfreda Webera, szefa EPP, który poparł francuską propozycję, aby w odpowiedzi na groźbę podniesienia przez Amerykanów ceł użyć „bazooki", czyli

eprasa.pl a114821b69

mechanizmu antyprzemocowego (ACI), co umożliwiłoby nałożenie ograniczeń na aktywne w Europie amerykańskie firmy technologiczne.

Europejsko-amerykańska wojna handlowa, oficjalnym powodem której miałoby być odrzucane w Europie stanowisko Trumpa w sprawie Grenlandii, tylko na pierwszy rzut oka toczyłaby się wokół tej kwestii. W istocie stanowiłaby element budowania nowej strategii naszego kontynentu nie tylko przez narzucenie państwom członkowskim wspólnej polityki w kwestiach, które mają bardziej wymiar geostrategiczny niż handlowy. Zwrot ten oznaczałby także próbę równoważenia amerykańskiej przewagi kooperacją z Pekinem.

SYGNAŁ DLA AMERYKANÓW

W tym podejściu umowa z państwami Mercosur, którą oceniamy przez pryzmat dramatycznych skutków dla naszego rolnictwa, ma zupełnie inny wymiar. Po głosowaniu w Parlamencie Europejskim, w którym deputowani przesądzili o przekazaniu porozumienia do TSUE – co może opóźnić jej ratyfikację nawet o dwa lata – Jens Spahn, szef klubu parlamentarnego CDU/CSU w Bundestagu, krytykując Zielonych za głosowanie przeciw ratyfikacji, napisał, że jej przyjęcie mogłoby dać Europie potęgę, równoważąc – dzięki „stworzeniu największej na świecie strefy wolnego handlu" – znaczenie Stanów Zjednoczonych. A kanclerz Merz stwierdził, że opóźnienie ratyfikacji porozumienia jest świadectwem „błędnej oceny sytuacji geopolitycznej" i wezwał do prowizorycznego – od zaraz – wdrożenia jej zapisów, nawet bez formalnej ratyfikacji.

W takim ujęciu porozumienie z państwami Mercosur to coś więcej niż traktat o wolnym handlu. Jest ono bowiem narzędziem w rozgrywce o przyszłość modelu liberalnego i o to, jak ułożą się relacje atlantyckie. Nie jest kwestią przypadku, że Bruksela postanowiła przyspieszyć w kwestii porozumienia, przenosząc decyzje w sprawie jego podpisania na szczebel ambasadorów państw członkowskich już po tym, jak Trump interweniował w Wenezueli, pokazując, że reaktywacja doktryny Monroego – „obrona hemisferyczna", w której obie Ameryki odgrywają kluczową rolę, i budowa proamerykańskiej sieci zaprzyjaźnionych państw w Ameryce Łacińskiej – to nie tylko deklaracje, ale polityka, która będzie realizowana.

Odpowiedź Europy musiała być szybka i stanowcza, a najlepiej nadawała się do tego właśnie umowa z państwami Mercosur. Ursula von der Leyen, przemawiając w Asunción, największym mieście Paragwaju, gdzie podpisywano porozumienie, nie kryła, że gra toczy się o coś znacznie poważniejszego niż przyszłość europejskiego rolnictwa i zyski niemieckich koncernów samochodowych. „To porozumienie stanowi jasny sygnał dla świata" – deklarowała. „Odzwierciedla ono jasny i przemyślany wybór. Wybieramy sprawiedliwy handel zamiast ceł, wybieramy produktywne, długoterminowe partnerstwa".

> Umowa Mercosur, a zwłaszcza okoliczności jej przyjęcia, są dla Polski ważną lekcją. Nie tylko dlatego, że to nasze – największego eksportera żywności w UE – interesy są poważnie zagrożone

Aby sygnał był silny i czytelny, trzeba go było wysłać w odpowiednim momencie – po Wenezueli i przed Davos. To dlatego szefowa Komisji Europejskiej zdecydowała się na łamanie nie tylko unijnych regulacji. Deklarując uzupełnienie umowy o dodatkowe klauzule zabezpieczające, o co wnosiły Włochy, uzależniając od tego swoje poparcie dla porozumienia, von der Leyen jednostronnie zmieniła wynegocjowany traktat. „Negocjujemy z oszustami" – powiedział, oceniając te zmiany, Héctor Cristaldo, lider Związku Gildii Produkcyjnych Rolnych Paragwaju (UGP) w wystąpieniu dla Radia Monumental 1080 AM. Z kolei Rubén Ramírez, minister spraw zagranicznych, oświadczył, że dodatkowe klauzule, dzięki wprowadzeniu których Komisji Europejskiej w ogóle udało się zbudować większość na rzecz podpisania traktatu, „nie są częścią umowy Mercosur" i w związku z tym nie będą obowiązywać.

Innymi słowy – albo von der Leyen oszukała Europejczyków, deklarując wprowadzenie dodatkowych zabezpieczeń, których istnienie kwestionują przedstawiciele państw Ameryki Łacińskiej, albo wprowadzając w ostatniej chwili jednostronne zmiany, chce zmusić drugą stronę do ich akceptacji. W tej prawno-politycznej ekwilibrystyce nie chodzi wyłącznie o interesy ekonomiczne. Gdyby tak było, to po 25 latach negocjacji dodatkowa runda rozmów nie stanowiłaby problemu. Chodzi o wysłanie sygnału, że „Europa ma alternatywę", nie jest skazana na sojusz z Ameryką i może współkształtować inną opcję.

Umowa Mercosur – a zwłaszcza okoliczności jej przyjęcia – są dla Polski ważną lekcją. Nie tylko dlatego, że to nasze – największego eksportera żywności w Unii Europejskiej – interesy są poważnie zagrożone. Ważniejsze jest co innego. Jeśli bowiem potraktować sposób, w jaki procedowano porozumienie, w kategoriach znaku nowych czasów, o których tyle mówił w Davos Mark Carney, to skłonność do poświęcenia interesów naszego kraju przez Brukselę jest więcej niż wymowna. Nowy globalny porządek, którego współgwarantem miałyby być Chiny, musiałby też oznaczać akceptację oczekiwań Pekinu i jego sojuszników wobec charakteru relacji „w strefach zgniotu", czyli tych miejscach na kuli ziemskiej, w których sąsiadują ze sobą imperia.

Jeśli nowa globalizacja miałaby oznaczać otwarcie na wolny handel z Ameryką Łacińską i współpracę z Chinami – nawet kosztem interesów i przyszłości polskiego rolnictwa – to na jakiej podstawie zakładać, że w innych kwestiach Pekin nie wsparłby stanowiska Kremla, a Bruksela ochoczo poparła taką opcję kosztem Polski oraz w imię stabilizacji? Takie konsekwencje mogą mieć deklaracje polityków europejskich, którzy jak Macron proponują pogłębienie współpracy z Chinami i rozpoczęcie rozmów z Moskwą. Nowa epoka wolnego handlu bez amerykańskich gwarancji może w praktyce oznaczać handel za cenę wepchnięcia Polski do rosyjskiej strefy wpływów.

eprasa.pl a114821b69

Fot. White House Official

Grenlandzka furia Europy

Trudno o bardziej niedorzeczny obrazek współczesnej polityki niż scenka z szefem autonomicznego rządu Grenlandii, który obwieszcza zdumionym Eskimosom wszczęcie przygotowań do wojny ze... Stanami Zjednoczonymi

JAN ROKITA

Ta surrealistyczna scenka naprawdę miała miejsce w Nuuk, głównym mieście Grenlandii, we wtorek, 20 stycznia 2026 r. Jej główny bohater to 35-letni Jens-Frederik Nielsen, nie tak dawno wybitny eskimoski badmintonista, a obecnie przywódca trójpartyjnej lewicowej koalicji, która od ubiegłego roku ma większość w parlamencie grenlandzkiej autonomii. Nielsen nakazał mieszkańcom wyspy natychmiastowe wyposażenie się w broń, amunicję, baterie i sprzęt wędkarski (rybactwo to w końcu główne zajęcie Eskimosów) oraz w 3 l wody na osobę oraz jedzenie na pięć dni. Grenlandia nie ma własnej armii, więc – jak można przypuszczać – Nielsen wyobraził sobie, iż Eskimosi mogliby użyć broni w antyamerykańskiej partyzantce, mogącej odegrać rolę pomocnika w wielkiej wojnie duńsko- (a może nawet europejsko-) amerykańskiej, która zapewne wkrótce wybuchnie.

NIEJEDNOMYŚLNI GRENLANDCZYCY

Proszę czytelnika o wybaczenie, lecz będąc przy zdrowych zmysłach, nie sposób pisać o tym inaczej niźli z odcieniem ironii. Recz jednak w tym, że cała ta maskarada z „rozpadem NATO" i „wielką wojną w obronie Grenlandii" została rozpętana całkiem serio przez kilkoro europejskich przywódców, z Emmanuelem Macronem i duńską panią premier Mette Frederiksen na czele. A cały poprzedni tydzień, aż do czasu środowej mowy Donalda Trumpa wygłoszonej na forum w Davos, upłynął w Europie na coraz bardziej gromkich nawoływaniach do walki z imperializmem amerykańskim.

W Davos Trump z uśmiechem ironii na ustach przyznał, iż Ameryka nie planowała i nie planuje żadnej militarnej interwencji na Grenlandii, choć podtrzymał kategoryczną prośbę do Danii i Europy, by ze względów bezpieczeństwa wyspa została sprzedana Stanom Zjednoczonym, tak jak niegdyś Luizjana czy Alaska. Tymczasem Nielsen, który niemal z dnia na dzień znalazł się w roli ważnego aktora globalnej polityki, nie zdążył sobie nawet uświadomić, że do „wojny z Ameryką" dał się bezmyślnie wepchnąć nienawidzącym Trumpa europejskim liderom, robiąc przy tym z siebie polityczną pacynkę w cudzych rękach. Nie sposób przy

eprasa.pl a114821b69

tym dociec, czy uległ czarowi Macrona, znów rozgrywającego starą francuską kartę wrogości wobec Ameryki, czy dał się ponieść wojennym nastrojom bliskiej mu ideowo duńskiej socjalistycznej pani premier.

Na wyspie Nielsen ma jednak silną prawicową opozycję, która w parlamencie Grenlandii zdobyła tylko o dwa mandaty mniej od premierowskiej partii Demokraci. A przywódca opozycji – dużo starszy od premiera 55-letni Pele Broberg, pilot lotniczy i biznesmen – prezentuje radykalnie odmienną wizję politycznego interesu wyspy. Opozycja oskarża duński rząd o celowe antagonizowanie Grenlandii i USA, po to tylko by umocnić quasikolonialne duńskie panowanie nad Eskimosami. A Broberg słynie ze złośliwego bon motu, wedle którego „Ameryka nie może zrobić Grenlandii niczego złego, czego Dania by już wcześniej nie zrobiła". Co więcej, uważa on, iż Kopenhaga sprawnie wykorzystuje NATO, aby „chronić duńskie zadufanie terytorialne", zainteresowanie Ameryki nieeksploatowanymi dotąd bogactwami mineralnymi wyspy traktuje zaś jako szansę na rozwój kraju borykającego się z biedą i groźbą bankructwa. Chce więc szybkich i bezpośrednich rozmów z Ameryką z ominięciem Danii i Europy, które grają dziś Grenlandią niczym piłką uderzaną tak, aby trafiła do bramki Trumpa.

Widać, że grenlandzcy politycy prezentują dwie różne strategie postępowania. Opozycyjna prawica chce, aby Grenlandia sama zagrała z Trumpem, świadoma, że więź z Ameryką oznacza nie tylko rozwój gospodarczy, lecz także odepchnięcie od wyspy rosnących militarnych apetytów Moskwy i Pekinu. Tymczasem lewicowy rząd złożył interesy Grenlandii w ręce nielubianej przez Eskimosów Danii, w nadziei, że idąc twardo z Europejczykami przeciw Ameryce, uzyska jakieś koncesje i zwiększoną pomoc Unii Europejskiej.

W Kopenhadze w obecności duńskiej premier Nielsen zrobił rzecz zdumiewającą, jeśli zważyć, iż Grenlandia od dziesiątków lat na różne sposoby zabiega o uniezależnienie się od Danii. Powiedział, że mając do wyboru „tu i teraz" Amerykę i Danię, wybiera Danię, co rzecz jasna cofa o dziesiątki lat proces emancypacji wyspy spod duńskiego panowania.

Tymczasem niechęć Eskimosów do Danii nie jest li tylko skutkiem postkolonialnego resentymentu. Już po II wojnie światowej demokratyczne rządy w Kopenhadze dopuszczały się na wyspie praktyk charakterystycznych tylko dla reżimów totalitarnych. Na Grenlandii trwała jest pamięć o siłowej antykoncepcji stosowanej wobec eskimoskich kobiet na rozkaz władz duńskich w latach 60. i 70. XX w. po to, by biologicznie wyeliminować populację Eskimosów. Albo o sławetnej misji statku MS Disko z 1951 r., który przymusowo wywoził do Danii eskimoskie dzieci, aby wychować ich tam na duńskich janczarów.

To nie przypadek, że postawiony w Nuuk pomnik najsłynniejszego duńskiego kolonizatora Grenlandii – luterańskiego pastora Hansa Egedego, który w 1721 r. przypłynął na wyspę, aby szukać tam społeczności normańskich wikingów – jest oblewany czerwoną farbą i pisze się na nim hasła o dekolonizacji. Zdaje się zresztą, że misja Egedego miała głównie motywy religijne – luterańscy fanatycy ze Skandynawii obawiali się, że wyspa mogła zostać „zainfekowana" wpływami Kościoła katolickiego. W ten sposób Eskimosi zostali luteranami, ale to i tak nie musiało ich ocalić w epoce kolonializmu. Jako lud niecywilizowany mieli wszelkie dane na to, aby podzielić los Indian albo Aborygenów. Tak się nie stało, a najnowsza historia Eskimosów jest w gruncie rzeczy historią wielkiego cudu. Na przekór Duńczykom ta niewielka społeczność, licząca dziś mniej niż 50 tys. ludzi, nie tylko ocalała, lecz także przekształciła się w nowoczesny i świadomy swej kulturowej odrębności naród. Tyle tylko, że niezdolny do utrzymania własnego państwa, obejmującego terytorium największej wyspy świata, położonej na dodatek w najbardziej strategicznym punkcie globalnej geopolityki: tuż pod biegunem, pomiędzy Ameryką a Rosją i Chinami, czyli w miejscu, w którym – jak nie bez racji mówił w Davos Trump – toczyć się będzie następna wojna światowa, o ile kiedyś do niej dojdzie.

NAGŁA DUŃSKA HOJNOŚĆ

Od 1979 r. Grenlandia cieszy się autonomią, mając prawo do własnego parlamentu i rządu. Cóż z tego, skoro kraj i tak musi być finansowany przez duńską metropolię, która dostarcza mu połowę budżetu w ramach tzw. zblokowanego grantu, a wyspa i tak cały czas balansuje na granicy załamania finansowego. W przeszłości Kopenhaga narzuciła wyspie monopol handlowy, którego pozostałości widać do dziś: na dobrą sprawę Grenlandia importuje wszystko, czego jej trzeba do życia, z Danii, a jej obroty handlowe z o wiele bliższą Ameryką są minimalne. Jeszcze gorzej jest, gdy idzie o bezpieczeństwo strategicznie położonej wyspy.

Podczas zimnej wojny Dania czerpała korzyści z udostępnienia wyspy dla amerykańskich baz i instalacji wojskowych, dzięki czemu została obdarowana tzw. Kartą Grenlandzką, zwalniającą ją z obowiązku wydatków militarnych w ramach NATO. Do dziś na wyspie pozostała baza wojskowa USA w Thule (teraz nazywanym Pittufik), w której stacjonuje ok. 150 amerykańskich żołnierzy. Dopiero teraz, gdy Trump zażądał przekazania Ameryce zwierzchnictwa nad wyspą, w Kopenhadze przypomniano sobie, iż Grenlandia wymaga nakładów na obronę i rząd duński ogłosił „pakiet na rzecz obrony Arktyki", który w przyszłości ma być warty ok. 6,5 mld dol.

Pomysł, że Dania obroni Arktykę przed dominacją Pekinu i Moskwy, jest oczywiście absurdalny. Trump używa owej oczywistości do uzasadnienia tezy, iż amerykańskie zwierzchnictwo nad Grenlandią jest wspólnym interesem całego Zachodu. W Davos w swoim stylu naśmiewał się, iż w 1940 r. Dania była gotowa bronić się przed Hitlerem sześć godzin do czasu kapitulacji (nawiasem mówiąc, prawda historyczna jest gorsza, gdyż 9 kwietnia 1940 r. rząd duński nakazał zaprzestać obrony kraju po dwóch godzinach od wejścia Niemców, ale przez następne cztery godziny nie potrafił dostarczyć tego rozkazu wszystkim dowódcom).

Trump ma niewątpliwie sporo racji, choć europejscy wrogowie amerykańskich ambicji kontrargumentują, iż

eprasa.pl a114821b69

Można przypuszczać, że w tej albo innej formie Ameryka i tak obejmie zwierzchnictwo nad Grenlandią. Są tego trzy dość oczywiste i najzupełniej racjonalne powody

w ramach NATO Ameryka mogłaby militarnie czynić niemal wszystko, co chce na Grenlandii, a Kopenhaga – choć niechętnie – musiałaby się na to zgodzić. Ale Trump nie ufa Europie ani europejskim strukturom NATO, dlatego domaga się amerykańskiej suwerenności nad Grenlandią. Chce za to sowicie zapłacić zarówno Duńczykom, jak i Eskimosom. I chce uczynić Grenlandię miejscem priorytetowym dla wielkich inwestycji infrastrukturalnych i zbrojeniowych amerykańskiego kapitału.

Niestety lewicowy premier Nielsen traci wyjątkową dla Grenlandii okazję do wynegocjowania z Trumpem optymalnego dla wyspy modelu zależności od Ameryki. Całkiem możliwe, że wynikiem takich negocjacji mogłaby być formalna niepodległość państwa, przy założeniu jego ograniczonej suwerenności w materii zbrojeń i eksploatacji bogactw. Model, który w trudnym dialogu z Trumpem, mądrze zaakceptowała np. Ukraina. Jednak z trudnych do pojęcia powodów Nielsen uczepił się europejskich liderów, wmawiających dziś Eskimosom, że stają w obronie ich godności.

Duńczycy, którzy jeszcze parę dziesiątków lat temu dążyli do wyniszczenia Eskimosów, teraz manifestują razem z nimi pod wyjątkowo sprytnie pomyślanym, choć politycznie katastrofalnym dla Grenlandii hasłem: „Grenlandia nie jest na sprzedaż". Tak jakby wyspa nie była całkowicie zależna od zewnętrznych zastrzyków gotówki i nie potrzebowała jak powietrza wielkich amerykańskich inwestycji. To dobry przykład tego, jak rzekomo godnościowa polityka „wstawania z kolan" może zostać użyta w imię obcego Grenlandii interesu zaciekle antyamerykańskich Francuzów oraz Duńczyków, w których nagle obudził się duch nacjonalistyczno-kolonialny.

W INTERESIE CAŁEGO ZACHODU

To, co się dzieje w Danii i w Europie wokół kwestii grenlandzkiej, zakrawa na irracjonalną furię. Duński król Fryderyk X nagle sobie przypomniał, że Grenlandia nie jest dostatecznie reprezentowana w jego herbie, więc na gwałt zmienił go, zmniejszając na nim liczbę smoków, za to dodając wielkiego białego niedźwiedzia symbolizującego wyspę. Premier Frederiksen – jak by nie było socjalistka – nagle odkryła rojalistyczną ideę, iż „korona duńska posiada trzy państwa koronne" – Grenlandię i Wyspy Owcze, które mają ponoć równe prawa z samą Danią. Na pomoc w obronie „trzech państw korony duńskiej" wezwała skandynawskich sąsiadów i całą Europę, znajdując największego sojusznika w prezydencie Francji Macronie, który nakłonił również Niemców, Anglików i Holendrów do wydania wojowniczej deklaracji o zamiarze wysłania europejskich wojsk na Grenlandię.

Trump zareagował natychmiast: osiem państw sygnatariuszy obłożył od 1 lutego 10-proc. cłem, zapowiadając, iż od czerwca cła wzrosną do 25 proc., jeżeli Europa nie zmieni swej polityki. W Niemczech w panikę wpadł zaskoczony takim rozwojem zdarzeń tamtejszy przemysł samochodowy. A na spotkaniu międzynarodówki EPP rozsądny szef włoskiej dyplomacji postawił pytanie: „To naszym celem jest walka z Amerykanami czy wzmocnienie naszych gospodarek?". W końcu szef NATO Mark Rutte wybłagał u Trumpa zdjęcie celnego miecza Damoklesa, który zawisł nad Europą.

Można przypuszczać, że w tej albo innej formie Ameryka i tak obejmie zwierzchnictwo nad Grenlandią, o ile tylko, np. na skutek zmiany władzy, sama nie porzuci planów Trumpa. Są tego trzy dość oczywiste i najzupełniej racjonalne powody.

Po pierwsze, leży to w interesie Grenlandii, która nie jest zdolna do pełnej suwerenności i jak powietrza potrzebuje amerykańskiej obrony oraz amerykańskich inwestycji.

Po drugie, leży to w interesie całego Zachodu, albowiem długofalowo tylko Ameryka może powstrzymać szybko rozwijające się plany Moskwy dotyczące militarnego podporządkowania sobie Arktyki, a także analogiczne plany Pekinu, zapoczątkowane niedawno, ale – jak zwykle w Chinach – z determinacją i dużymi pieniędzmi.

W końcu, po trzecie (last but not least), Europa pod wodzą Macrona jest zbyt słaba, by naprawdę zaryzykować fundamentalny konflikt polityczny i gospodarczy z Ameryką. Warto tu przywołać cytatę z Penny Naas, wiceszefowej amerykańskiego German Marshall Fund, skądinąd życzliwej Europie i nastawionej proatlantycko, która tak wyjaśnia bezsensowność i nieefektywność antyamerykańskiej złości, która owładnęła politykami europejskimi. Mówi: „Europejczykom trudno będzie znaleźć sposób zademonstrowania siły bez narażenia się na poważne amerykańskie represje. I dopóki nie będą oni skłonni zaakceptować skutków represji, to będą mieć problem z demonstracją siły". Trudno nie odnieść wrażenia, że Donald Trump jest tego świadom i stąd bierze się jego optymizm wobec przyszłości Grenlandii.

Fot. White House Official

eprasa.pl a114821b69

Wiara w czasach globalizacji

GRZEGORZ GÓRNY

Ranking 10 najbardziej wpływowych katolików na świecie w 2025 r.

Dziś na świecie żyje ok. 1,4 mld katolików. Część jest nimi jedynie nominalnie (czyli bezobjawowo), gdyż wiara nie odgrywa większej roli w ich życiu. Dla innych jest to z kolei najważniejszy wymiar egzystencji, który decyduje o ich aktywności osobistej i publicznej. Gdy osiągają znaczącą pozycję w hierarchii społecznej, potrafią wywierać duży wpływ na otoczenie. Może się on przejawiać w różnych sferach: religijnej, politycznej, kulturalnej albo dobroczynnej. Takie osoby mogą dawać przykład, wlewać w serca nadzieję, ośmielać do dokonywania moralnych wyborów, powstrzymywać negatywne zjawiska społeczne itp. Im bardziej są znane i rozpoznawalne, tym większe jest ich oddziaływanie, potęgowane dodatkowo przez media. Niniejszy ranking jest subiektywną próbą zestawienia nazwisk 10 katolików, którzy w ubiegłym roku wywierali taki wpływ na świecie.

1. Leon XIV

Jeszcze na początku 2025 r. mało kto na świecie słyszał o Robercie Prevoście. Zmieniło się to 8 maja, gdy został wybrany na papieża. Od tego dnia każde jego słowo, gest i decyzja są uważnie obserwowane, analizowane i komentowane nie tylko przez wiernych, lecz także osoby dalekie od katolicyzmu. Jako głowa Kościoła Leon XIV w naturalny sposób stał się podstawowym punktem odniesienia w świecie chrześcijańskim. Swoją władzę może wykorzystać w różny sposób, tak jak rozmaicie wykorzystywali ją z jednej strony Jan Paweł II, a z drugiej Franciszek.

Choć od konklawe minęło już osiem miesięcy, nadal nieznane są główne linie przewodnie obecnego pontyfikatu. Papież pozostaje niezwykle ostrożny i powściągliwy, sprawiając wrażenie, jakby jeszcze nie zaczął rządzić. Wiele spraw w Watykanie wydaje się toczyć siłą inercji, jakby nadal trwały rządy Bergoglia. Okres rozeznawania dobiega jednak końca. Czas na nowe otwarcie.

2. J.D. Vance

Wiceprezydent USA rozpoczął 2025 r. od głośnego przemówienia w Monachium, w którym zarzucił Europie odejście od swych chrześcijańskich korzeni. Tak ostro i dobitnie nie przemawiał do tej pory do elit politycznych Starego Kontynentu żaden przywódca. Wszystko wskazuje na to, że w 2028 r. Vance będzie kandydatem Partii Republikańskiej w wyścigu do Białego Domu. W tej perspektywie obecna wiceprezydentura jawi się jako przygotowanie do przyszłej funkcji.

Amerykańscy katolicy nie ukrywają, że wiążą z nim wielkie nadzieje. Dla wielu historia jego nawrócenia to przejmujące świadectwo wiary. Inni zwracają uwagę na formację intelektualną Vance'a, połączoną z gruntownym przemyśleniem przez niego nowożytnych nurtów filozofii. Gdyby objął przywództwo USA, pojawiłaby się szansa na prowadzenie świadomej polityki bazującej na katolickiej nauce społecznej, bez nieprzewidywalności Donalda Trumpa.

3. Erika Kirk

Do niedawna pozostawała znana głównie w wąskich kręgach amerykańskich konserwatystów. Gdy miała 18 lat, założyła organizację charytatywną Everyday Heroes Like You. Sześć lat później została wybrana najpiękniejszą kobietą w konkursie na Miss Arizony. W 2018 r. stworzyła

Fot. Wikipedia, Shutterstock, ASSOCIATED PRESS/East News

eprasa.pl a114821b69

własną markę odzieżową Proclaim Streetwear, a w następnym roku uruchomiła swój podcast religijny o nazwie „Midweek Rise Up”.

Świat usłyszał o niej 10 września 2025 r., gdy jej mąż Charlie Kirk został śmiertelnie postrzelony przez lewicowego zamachowca podczas spotkania na kampusie uniwersyteckim Utah Valley. 11 dni później, podczas pogrzebu swego małżonka, Erika publicznie przebaczyła mordercy. Jej świadectwo poruszyło miliony ludzi na całym świecie. Choć teraz jest zmuszona sama wychowywać 3-letnią córeczkę i rocznego synka, postanowiła kontynuować dzieło męża. Stanęła na czele organizacji Turning Point USA, której celem jest promowanie konserwatywnych poglądów i postaw wśród amerykańskiej młodzieży.

4. Tom Monaghan

Ten amerykański przedsiębiorca i filantrop zasłynął głównie jako założyciel największej na świecie sieci pizzerii Domino’s Pizza. W 1998 r. (po 38 latach zarządzania interesem) sprzedał firmę, a uzyskane pieniądze postanowił przeznaczyć na dzieła ewangelizacyjne, edukacyjne i dobroczynne.

W 2003 r. założył na Florydzie uniwersytet katolicki Ave Maria, którego celem jest formacja intelektualna i duchowa, nawiązująca do wzorców średniowiecznej Alma Mater z jej ideałami prawdy, dobra i piękna. Placówka szybko stała się wyjątkowym miejscem na edukacyjnej mapie kraju, ponieważ – jak piszą katoliccy publicyści – na większości wyższych uczelni w USA młodzież traci wiarę, a na Ave Maria albo ją zyskuje, albo się w niej umacnia. Z czasem wokół kampusu uniwersyteckiego (z wybudowanym w centrum kościołem) powstało miasto Ave Maria, które dziś liczy 7,5 tys. mieszkańców. Miejsce przyciąga aktywnych katolików z całych Stanów, będąc realizacją w praktyce „Opcji Benedykta”.

5. Ks. José Pedro Manglano

Duszpasterz akademicki z Madrytu jest opiekunem duchowym wspólnoty o nazwie Hakuna, która zrzesza dziś ok. 20 tys. ludzi w ponad 20 krajach, głównie hiszpańskojęzycznych. Znakiem rozpoznawczym grupy są wielkie muzyczne koncerty ewangelizacyjne, na których młodzież szczelnie wypełnia stadiony i hale widowiskowe. Ich piosenki na platformie muzycznej Spotify docierają do milionów słuchaczy.

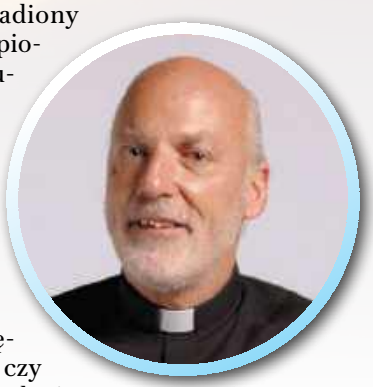

Znacznie ważniejsze jest jednak oddziaływanie duchowe wspólnoty, ponieważ – jak dokumentują to liczne świadectwa – inspiruje ona do nawróceń, pogłębienia życia religijnego czy odkrycia własnego powołania. Podstawą funkcjonowania Hakuny nie jest jednak działalność muzyczna, lecz pobożność eucharystyczna. W samym centrum formacji duchowej znajduje się bowiem adoracja Najświętszego Sakramentu. Ks. Manglano wykorzystuje muzykę jako narzędzie ewangelizacji, ale owoce tej misji są wymadlane na kolanach.

6. Magnus MacFarlane-Barrow

Pielgrzymka, którą odbył w 1983 r. do Medziugorie, odmieniła życie szkockiego hodowcy ryb. Po powrocie zamienił swój dom w katolicki ośrodek rekolekcyjny. Kiedy w 1992 r. wybuchła wojna w byłej Jugosławii, zaczął organizować konwoje z pomocą humanitarną do Bośni i Hercegowiny. Założył w tym celu organizację charytatywną o nazwie Scottish International Relief.

W 2002 r. podczas jednej z wypraw dobroczynnych do Malawi zetknął się z dziećmi, których największym marzeniem było zjedzenie sycącego posiłku i pójście do szkoły. Po tym spotkaniu Magnus MacFarlane-Barrow powołał do życia organizację Mary’s Meals, której celem stało się zapewnienie najbiedniejszym dzieciom codziennego posiłku w szkole. Zaczął od dokarmiania 200 uczniów w Malawi. W 2025 r. założona przez niego instytucja zapewniła już codzienny posiłek dla ponad 3 mln dzieci w 16 krajach. 58-letni Szkot nie ukrywa, że do działania motywuje go Najświętsza Maryja Panna.

7. José Antonio Kast

14 grudnia prezydentem Chile został 59-letni prawnik, założyciel Partii Republikańskiej, działacz Ruchu Szensztackiego (katolickiej wspólnoty o charakterze maryjnym i apostolskim) oraz ojciec dziewięciorga dzieci.

eprasa.pl a114821b69

W sprawach wiary nie ma dla niego kompromisów. Jak mówi: „Jestem przede wszystkim katolikiem, a dopiero potem politykiem". Nic zatem dziwnego, że od lat publicznie broni małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny czy prawa ludzi do życia od momentu poczęcia do naturalnej śmierci.

W 2018 r. został pobity na uniwersytecie w Iquique przez lewicowych studentów tylko dlatego, że krytykował ideologię gender. Trafił z tego powodu do szpitala, ale nie zmusiło go to do milczenia. Wygrał wybory, powtarzając w kampanii: „Wierzę w Boga, a Chile potrzebuje Boga. Wierzę też w ojczyznę, w rodzinę, w wolność zgromadzeń, wypowiedzi, przedsiębiorczości... wolności, których ideologia marksistowska nie chce, ponieważ chce, aby wszystko zależało od państwa". Zwycięstwo Kasta oznacza odsunięcie od rządów skrajnej lewicy z jej antychrześcijańskim programem.

8. María Corina Machado

Wenezuelska opozycjonistka stała się symbolem oporu przeciw neokomunistycznym rządom Hugo Cháveza i Nicolása Maduro. Wiadomość o tym, że została laureatką Pokojowej Nagrody Nobla, otrzymała, przebywając w ukryciu. Udało się jej potajemnie wydostać z kraju i polecieć do Norwegii, jednak na ceremonię wręczenia nagrody w Oslo nie zdążyła. Zamiast niej wyróżnienie odebrała jej córka Ana – jedno z trojga dzieci noblistki, które z obawy o swoje bezpieczeństwo przebywają za granicą. Swój laur Machado zadedykowała „cierpiącemu narodowi wenezuelskiemu i prezydentowi Trumpowi za jego zdecydowane poparcie dla naszej sprawy".

Deklarację potraktowała dosłownie i trzy miesiące później w Białym Domu wręczyła medal noblowski prezydentowi USA. Spotkała się za to z krytyką z wielu stron, jednak jej bliska współpracowniczka Cayetana Álvarez de Toledo stwierdziła, że w ten sposób Machado pokazała, iż „stawia wolność swego narodu ponad osobiste ego". Ona sama nieustannie powtarza, że siłę do walki z lewicowym reżimem czerpie z wiary w Boga, czując wsparcie Matki Bożej z Coromoto, patronki Wenezueli.

9. Jimmy Lai

W 1960 r. 13-letni Jimmy Lai uciekł z komunistycznych Chin do Hongkongu. Tam zaczął pracę jako robotnik w zakładzie produkującym rękawiczki. Kiedy miał 20 lat, awansował na stanowisko dyrektora tej fabryki. Potem założył własną firmę odzieżową o nazwie Giordano. Z czasem stał się magnatem medialnym i jednym z najbogatszych ludzi w regionie.

W 1997 r. pod wpływem swej drugiej żony Teresy nawrócił się na katolicyzm. Gdy Hongkong przeszedł pod administrację Pekinu, Lai stał się twarzą obozu demokratycznego, broniącego praw obywatelskich przed komunistycznym reżimem. W 2020 r. został aresztowany, stając się najsłynniejszym więźniem politycznym we współczesnych Chinach. Mógł uciec za granicę, jednak odmówił, ponieważ – jak stwierdził – byłoby to sprzeczne z jego wiarą. Choć grozi mu kara dożywocia, podkreśla, że więzienie stanowi szczyt jego kariery. W celi maluje obrazy religijne i zgłębia teologię katolicką. Jak mówi: „Wiara dała mi pewność łaski, która była ze mną przez cały czas" i pomogła „czynić tylko to, co słuszne".

10. Karol Nawrocki

Gdy ogłosił start w wyborach prezydenckich, większość mediów skazywała go na porażkę. Jego rywalizacja z kandydatem obozu władzy przypominała pojedynek Dawida z Goliatem. A jednak wbrew wszelkim prognozom i sondażom zdołał odnieść zwycięstwo. Jednym z elementów jego kampanii, niezaplanowanym przez sztab wyborczy, lecz uruchomionym oddolnie przez elektorat, było pospolite ruszenie modlitewne w intencji wygranej przy urnach. Wielu katolików miało świadomość, że jeśli koalicja rządowa zdobędzie pałac prezydencki, wówczas „układ zostanie domknięty": nastąpi legalizacja aborcji, związki jednopłciowe uzyskają przywileje małżeńskie, ustawa kagańcowa ograniczy wolność słowa, a religia będzie coraz mocniej wypychana z przestrzeni publicznej.

Triumf Karola Nawrockiego zablokował te procesy. To, że większość młodzieży poparła jego, a nie Rafała Trzaskowskiego, daje nadzieję, że pokoleniowa zmiana w polityce nie musi oznaczać skrętu w lewo.

Fot. Wikipedia, Shutterstock, Mikołaj Bujak/KPRP

Autopromocja

eprasa.pl a114821b69

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Wybierz swój Paczkomat®
i czytaj SIECI
już w poniedziałek

Zyskujesz też możliwość czytania SIECI na telefonie

- **dostawa już w poniedziałek** przez Paczkomat®
- dodatkowo **dostęp do e-prenumeraty** SIECI i e-booków Sieci Extra niedostępnych dla innych czytelników
- **cena niższa niż w kiosku** – tylko 9,39 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
- opcja zmiany na inny Paczkomat® (np. na czas urlopu)
- darmowa dostawa

Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!

prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl a114821b69

Narodziny postkomunizmu.
Jak PZPR przepoczwarzyła się w SLD

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Pod koniec stycznia 1990 r. uczestnicy XI Zjazdu PZPR odbywającego się w Sali Kongresowej w Warszawie przyjęli uchwałę o zakończeniu działalności partii. Nie był to jednak koniec jej wpływów, pieniędzy i ludzi. Pod hasłem „socjaldemokracji" dawny aparat władzy sprawnie przeszedł polityczną metamorfozę, wracając do rządów szybciej, niż wielu się spodziewało

„Przyjęliśmy uchwałę o zakończeniu Partii, która, moim zdaniem, niezależnie od tego wszystkiego, co było powiedziane o niej, co ja wczoraj powiedziałem, odegrała wielką historyczną rolę – czy się to komuś podoba, czy nie – w życiu narodu polskiego, co więcej – wrosła w jego świadomość. I dziś, kończąc, żegnając się z nią, wcale nie uważam, że kładziemy ją do trumny, tylko zamykamy pewien rozdział w historii, pogmatwanego wprawdzie, ale także bogatego w twórcze osiągnięcia polskiego rewolucyjnego ruchu robotniczego" – mówił Mieczysław Rakowski podczas ostatniego XI Zjazdu PZPR.

SPOŁECZEŃSTWO MÓWI: „NIE"

Wybory czerwcowe 1989 r. okazały się politycznym trzęsieniem ziemi. Zwycięstwo Solidarności w puli mandatów otwartych i klęska kandydatów PZPR w Senacie jednoznacznie pokazały skalę społecznego sprzeciwu wobec komunistów. Choć dzięki ustaleniom okrągłego stołu PZPR zachowała formalne wpływy, straciła inicjatywę i w praktyce stała się zależna od strony solidarnościowej. Wynik wyborów przesądził o upadku „jedynie słusznej partii" i uświadomił kierownictwu, że utrzymanie dotychczasowego porządku nie jest już możliwe.

Jednocześnie aparat państwowy pozostawał gotowy do działania. Jeszcze po wyborach w MSW sporządzono instruk-

cje przewidujące internowania na wypadek ponownego wprowadzenia stanu wojennego, a gen. Henryk Dankowski domagał się akt nowo wybranych parlamentarzystów, będących w przeszłości tajnymi współpracownikami resortu. Do dziś nie wiadomo, czy realnie rozważano siłowe zatrzymanie przemian.

Za zgodą PZPR 12 września 1989 r. powstał rząd Tadeusza Mazowieckiego, obejmując władzę w warunkach głębokiego kryzysu gospodarczego, galopującej inflacji i powszechnego oczekiwania na zerwanie z przeszłością, przy jednoczesnej niepewności co do kierunku zmian.

KRYZYS W PARTII

PZPR wchodziła w 1990 r. wewnętrznie rozbita i ideowo skompromitowana. Odpowiedzialność za stan gospodarki, represje z czasów PRL oraz nieprzeprowadzenie – przez dekady – reform uczyniły z niej symbol upadłego systemu.

Wyprowadzenie sztandaru PZPR na XI zjeździe partii

Fot. PAP

Kryzys pogłębiały masowe odejścia członków, konflikty frakcyjne oraz akcje zajmowania partyjnych lokali przez KPN i NZS, mające na celu wyparcie komunistów z przestrzeni publicznej. Próby utrzymania partii przy życiu kończyły się fiaskiem, a świadomość historycznej klęski stawała się powszechna.

W strukturach PZPR ścierały się różne nurty: reformatorzy skupieni wokół Ruchu 8 Lipca oraz bardziej konserwatywny Ruch Ludzi Pracy, bazujący na działaczach OPZZ. Kierownictwo partii do końca próbowało narzucić własną interpretację wydarzeń. W oświadczeniu Biura Politycznego z 23 stycznia 1990 r. stwierdzono, że to „demokratyczne siły w łonie PZPR" otworzyły drogę do pokojowych reform. Jednak już sześć dni później, 29 stycznia 1990 r., Mieczysław Rakowski wypowiedział słowa: „Sztandar PZPR wyprowadzić", a delegaci XI Zjazdu przyjęli uchwałę o zakończeniu działalności partii, formalnie zamykając jej ponadczterdziestoletnią historię.

POMOST SDRP

Już następnego dnia rozpoczął się zjazd założycielski Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej. Na jej czele stanęli Aleksander Kwaśniewski, Leszek Miller i Mieczysław Rakowski. SdRP przejęła większość struktur, kadr i majątku PZPR, deklarując kontynuację „reformatorskiego" nurtu dawnej partii, a jednocześnie podkreślając przywiązanie do demokracji i gospodarki rynkowej. Socjaldemokratyczna retoryka miała odciąć nowe ugrupowanie od skompromitowanego komunizmu, choć ciągłość personalna była oczywista. Równolegle powstała Polska Unia Socjaldemokratyczna z Tadeuszem Fiszbachem na czele, która ogłosiła zerwanie z PZPR. Część dawnego kierownictwa wycofała się z polityki, lecz posłowie byłej partii utworzyli w Sejmie Polski Klub Lewicy Demokratycznej, pozostając istotną siłą parlamentarną.

Rozpad PZPR mógł ułatwić przyspieszenie przemian systemowych, gdyż formalnie zniknęła jedna ze stron porozumień okrągłostołowych. Kluczowa jednak okazała się zachowawcza postawa rządu Tadeusza Mazowieckiego. Symboliczne gesty w większości przypadków nie szły w parze z głębokimi reformami. Instytucje dawnego państwa zmieniały nazwy, zachowując kadry i struktury. Dotyczyło to m.in. przekształcenia milicji w Policję czy Służby Bezpieczeństwa w Urząd Ochrony Państwa. Weryfikacja służb objęła tylko część funkcjonariuszy i w niewielkim stopniu doprowadziła do realnej wymiany kadr.

W tym samym czasie niszczono dokumentację związaną ze zbrodniami komunistycznymi, dziesiątki tysięcy kart ewidencyjnych MSW oraz protokoły Biura Politycznego z lat 80. Głębokich zmian nie przeprowadzono również w mediach publicznych, gdzie poza najbardziej skompromitowanymi twarzami zachowano dawne zespoły redakcyjne, które były odpowiedzialne za produkcję kłamliwej propagandy w latach 80 XX w. Kunktatorstwo nowej elity władzy stało się jednym z głównych obciążeń początku transformacji.

MOSKIEWSKIE POŻYCZKI NA RATUNEK

Choć przynależność do PZPR stawała się politycznym balastem, SdRP zachowała zwartą strukturę i przetrwała kryzys z wiosny 1990 r. Odejście z rządu ostatnich ministrów dawnej partii zbiegło się z tzw. wojną na górze między Mazowieckim a Wałęsą, co skutecznie zahamowało proces dekomunizacji i dało postkomunistom nowy oddech. W tych warunkach mogli oni spokojnie konsolidować zaplecze organizacyjne i finansowe.

W chwili rozwiązania PZPR była właścicielką 36 spółek z ograniczoną odpowiedzialnością z centralną Agencją Gospodarczą na czele. Ostatni szef partii – Mieczysław Rakowski – przekazał agencji z partyjnej kasy 9 mld ówczesnych zł, nie zważając na to, że w istocie był to majątek państwowy. Na początku 1990 r. większość tych spółek przejęła SdRP, która dodatkowo zasilała je znacznymi środkami o niejasnym pochodzeniu. Tak powstał nieformalny „holding towarzyski" – biznesowe zaplecze formacji wyrosłej na gruzach PZPR.

Jednym ze źródeł finansowania były zagraniczne konta PZPR, zasilane dochodami z państwowych transakcji

eprasa.pl a114821b69

dewizowych PRL. Innym – jednym z ważniejszych – była tzw. pożyczka moskiewska: w styczniu 1990 r. wysłannicy Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego z naruszeniem polskiego prawa dewizowego przekazali Rakowskiemu 1,2 mln dol. Wkrótce potem Leszek Miller i skarbnik SdRP Wiesław Huszcza zabiegali w Moskwie o kolejne wsparcie – 50 mln rubli dla Agencji Gospodarczej SdRP. Losy tej pożyczki i wspólnych przedsięwzięć gospodarczych pozostają niejasne.

Równolegle trwało systematyczne uwłaszczanie nomenklatury. Jeszcze przed upadkiem PRL partyjni dygnitarze wchodzili do spółek z kapitałem zagranicznym i korzystali z ustaw z 1989 r. o komercjalizacji i prywatyzacji. Po wyborach 4 czerwca 1989 r. struktury PZPR na masową skalę zaczęły tworzyć własne przedsiębiorstwa, które stały się kanałem transferu majątku państwowego do prywatnych rąk. Beneficjentami tych ruchów byli m.in. Leszek Miller, Aleksander Kwaśniewski, Józef Oleksy, Marek Siwiec, Jerzy Szmajdziński. Połączenie polityki i biznesu powstałego w ramach tzw. pełzającej prywatyzacji stało się jednym z fundamentów ekonomicznej siły środowiska postkomunistycznego w III RP.

Osobnym rozdziałem w historii tajemniczych operacji finansowych aparatu władzy PRL pozostawał Fundusz Obsługi Zadłużenia Zagranicznego. W tę sprawę uwikłane były osoby z wywiadu wojskowego PRL, które wspierały finansowo media związane z SdRP.

„NIEZALEŻNI" KANDYDACI

W wyborach samorządowych w maju 1990 r. SdRP poniosła wyraźną porażkę. Zdecydowanie zwyciężyli kandydaci komitetów obywatelskich oraz formalnie niezależni, wśród których często znajdowali się dawni działacze PZPR. Również w wyborach prezydenckich 1990 r. kandydat SdRP Włodzimierz Cimoszewicz zdobył jedynie 9,2 proc. głosów i nie wszedł do drugiej tury.

W pierwszej połowie 1991 r. postkomuniści zaczęli stopniowo odbudowywać pozycję, korzystając z narastającej frustracji społecznej. Oprócz tego kontynuowano tworzenie „niezależnych" alternatyw. W marcu zarejestrowano Partię X Stanisława Tymińskiego, a jej pierwszy zjazd odbył się w atmosferze niemal konspiracyjnej. W kierownictwie ugrupowania znaleźli się byli działacze PZPR, m.in. Józef Kossecki.

Równolegle SdRP utrzymywała bliskie kontakty z towarzyszami sowieckimi. Spotkania Rakowskiego z Gorbaczowem oraz rozmowy działaczy SdRP z późniejszymi uczestnikami moskiewskiego puczu Janajewa z sierpnia 1991 r., w których polscy komuniści ostrzegali przed naśladowaniem ich transformacji, pokazywały, że lojalność wobec demokratycznych przemian była co najmniej niejednoznaczna. Po klęsce puczu te kontakty ograniczono, lecz ich wcześniejszy charakter rzucał cień na deklaracje o pełnym zerwaniu z przeszłością.

Pierwsze w pełni wolne wybory parlamentarne w 1991 r. przyniosły rozdrobniony Sejm i polityczny chaos. Sojusz Lewicy Demokratycznej, czyli koalicja ugrupowań wywodzących się z PZPR, skupiona wokół SdRP zdobyła 11,99 proc. głosów, co przy 12,32 proc. zwycięskiej Unii Demokratycznej stanowiło wystarczający wynik, by pozostać trwałym i silnym elementem polskiej sceny politycznej. Konflikty w obozie postsolidarnościowym oraz niestabilność rządów sprzyjały stopniowej rehabilitacji dawnych elit w oczach części wyborców.

Transformacji ustrojowej towarzyszył głęboki kryzys gospodarczy i spadek poziomu życia. Wiele osób miało poczucie, że na zmianach skorzystała jedynie wąska grupa, podczas gdy większość społeczeństwa ponosiła ich koszty. Brak rozliczeń z przeszłością, zaniechanie lustracji i upadek rządu Jana Olszewskiego pogłębiły deficyt sprawiedliwości. W tej atmosferze SLD, stojąc z boku postsolidarnościowych sporów i wylewając krokodyle łzy nad upadkiem państwa, konsekwentnie budowało swoją pozycję, przygotowując grunt pod powrót do władzy w przyszłości. Postkomuniści bezwzględnie wykorzystywali zarówno przewagę finansową, jak i medialną nad konkurencją. Jednocześnie środowisko dawnej PZPR bardzo szybko ponownie się skonsolidowało, podczas gdy obóz postsolidarnościowy niszczyły coraz ostrzejsze spory. Katastrofa była tylko kwestią czasu.

POWRÓT DO WŁADZY

W wyborach parlamentarnych 1993 r. zwyciężył Sojusz Lewicy Demokratycznej, co oznaczało symboliczny powrót do władzy postkomunistów zaledwie cztery lata po upadku PRL. SLD uzyskał 20,4 proc. głosów, a PSL – 15,4 proc., co pokazało rozczarowanie społeczeństwa transformacją oraz konfliktami w obozie postsolidarnościowym. Sukces PRL-owskich „elit" był jednak w dużej mierze efektem nowej ordynacji wyborczej, która wyeliminowała z parlamentu wiele mniejszych ugrupowań i pozbawiła reprezentacji ponad 30 proc. wyborców.

Premierem został Waldemar Pawlak, a Aleksander Kwaśniewski, faktyczny lider obozu władzy, konsekwentnie budował własną popularność, co dwa lata później przyniosło mu zwycięstwo w wyborach prezydenckich. Rząd – mimo wewnętrznych napięć – stopniowo odtwarzał dawne układy personalne i hamował reformy instytucjonalne, napotykając słaby opór ze strony rozbitej opozycji. Rosnąca stabilizacja gospodarcza oraz częściowe zaspokojenie oczekiwań społecznych osłabiły sprzeciw wobec demokratycznej legalizacji komunistów. Wyrazem pewności siebie władzy było umorzenie śledztw dotyczących „moskiewskich pieniędzy" oraz zaniechanie rozliczeń kluczowych decyzji aparatu PZPR z lat 80., co symbolicznie zamknęło etap prób pociągnięcia do odpowiedzialności funkcjonariuszy dawnego systemu.

Koniec PZPR i utworzenie SdRP, a następnie SLD, to historia fasadowej zmiany, która pozwoliła postkomunistycznym układom na zachowanie władzy mimo transformacji ustrojowej. Zmieniły się nazwy, hasła i symbole, lecz osoby i struktury dawnego systemu utrzymały wpływy, dostosowując się do nowych realiów. To, że także dziś politycy tego środowiska odgrywają kluczowe role w państwie – jak wybrany na stanowisko marszałka Sejmu Włodzimierz Czarzasty – świadczy o niezwykłej trwałości postkomunistycznego establishmentu w III RP. I to jest najsmutniejsze w całej tej historii.

eprasa.pl a114821b69

Mistrzowskie zagranie

Nie ma już ślicznego księcia z fantastycznej Diuny – zastąpił go gotowy na każde zagranie pingpongista i aktor. Tytułowy „Wielki Marty" przyniósł Timothéemu Chalametowi zasłużoną statuetkę Złotego Globu i szansę na Oscara

Fot. Chris Pizzello/AP Photo/East News

eprasa.pl a114821b69

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Za sobą ma już etap młodego człowieka o subtelnym wyglądzie. Idola nastolatek. Ekranowego Paula Atrydy. Księcia odkrywającego w sobie potężne moce w superprodukcji „Diuna". Timothée Chalamet właśnie przekroczył gwiazdorską granicę.

Rola w filmie „Wielki Marty" – w którym zagrał gotowego na każdy, nawet nieczysty, ruch sportowca – uczyniła z niego na dojrzałego dramatycznego aktora. Znającego swój fach, świetnie przygotowanego. Z talentem oddanego też szeroko zakrojonej promocji filmu, którego jest współproducentem.

ZŁOTY CHŁOPAK

27 grudnia ub.r. skończył 30 lat. 2026 r. rozpoczął jako zdobywca – po pięciu wcześniejszych nominacjach – statuetki Złotego Globu za główną rolę męską.

Pierwszy raz miał szansę na tę nagrodę jako 22-latek. Doceniono wtedy jego chłopięcą kreację w obrazie włoskiego reżysera Luki Guadagnina „Tamte dni, tamte noce" (dostał za nią również pierwszą nominację do Oscara). Rok później, w 2019 r., walczył o Złotego Globa z drugiego planu filmu „Mój piękny syn" belgijskiego reżysera Felixa Van Groeningena. Grał w nim pogrążającego się w nałogu chłopaka, którego z determinacją stara się ratować ojciec (Steve Carell).

Dwa lata temu dołączył do rywalizacji o tytuł najlepszego aktora w komedii lub musicalu za sprawą wielkoekranowego widowiska „Wonka", inspirowanego najbardziej znaną książką Roalda Dahla „Charlie i fabryka czekolady". W minionym roku mógł zostać najlepszym aktorem w dramacie dzięki roli Boba Dylana w filmie „Kompletnie nieznany" Jamesa Mangolda. Za ekranową postać najsłynniejszego amerykańskiego barda był też nominowany do Oscara. Czy teraz oprócz Złotego Globu zdobędzie również statuetkę Złotego Rycerza za przypomnienie kolejnej historii czerpiącej z prawdziwego życiorysu?

NOWE ZASADY

Choć tytułowy „Wielki Marty" jest postacią mocno zmodyfikowaną przez scenarzystów, nawiązuje do legendarnego amerykańskiego tenisisty stołowego lat 50. ub.w. Marty'ego Reismana – „genialnego, ale kontrowersyjnego sportowca, który dążył do sławy i sukcesu, często naciągając zasady i otaczając się nieodpowiednimi ludźmi".

W wersji filmowej Marty Mauser prezentuje bardzo wątpliwą moralność. By dojść do celu, nie cofa się przed niczym. Jest gotowy nawet na napad i zniszczenie małżeństwa swojego największego sponsora, którego szczerze nienawidzi.

Mimo zachowań Marty'ego Chalamet pozostaje wielkim fanem swojego bohatera. Tak go tłumaczy w jednym z wywiadów: „Kiedy masz dwadzieścia kilka lat, często jesteś idiotą [...]. A jeśli na dodatek masz pasję, w której się zatracasz, to ryzykujesz, że oprócz tego, że będziesz idiotą, zostaniesz też uznany za głupca".

Dla najnowszej roli Timothée był skłonny pójść dużo dalej. Media często podkreślały, że w poprzednie filmy ogromnie się angażował – zarówno fizycznie, jak i aktorsko. Nie tracił jednak dla nich wypracowanego wizerunku – wrażliwego, inteligentnego, subtelnego, trochę „paryskiego" w stylu chłopaka. Teraz się to zmieniło. Nie tylko za sprawą mocno skróconych włosów, ostrego spojrzenia i hardości, a także innej, „atakującej" dynamiki ciała, która przyszła wraz z ukierunkowanymi sportowo przygotowaniami.

W KAŻDEJ WOLNEJ CHWILI

Siedem lat poświęcił na intensywny trening tenisa stołowego (pracę nad projektem rozpoczął już w 2018 r.), ćwicząc w każdej wolnej chwili i przestrzeni. Na pustyni podczas kręcenia „Diuny" i między ujęciami do „Wonki" czy „Kompletnie nieznanego".

Podkreślał w wywiadach, że podobnie jak w historii o Dylanie (w tamtym projekcie przez pięć lat ćwiczył grę na gitarze) przy „Wielkim Martym" czuł odpowiedzialność, by to, w czym jego bohater jest mistrzem, wyglądało wiarygodnie na ekranie. Także dla specjalistów.

Zaangażowanie bardzo się przydało Chalametowi w drodze do – nie tylko aktorskich – sukcesów. Uwielbiany przez fanów, media oraz kolejne filmowe ekipy „mały książe" uczył się – dzięki następ-

Fot. Monolith Films

eprasa.pl a114821b69

pującym po sobie ważnym produkcjom – funkcjonowania, zarówno w świecie filmu, jak i marketingu. Niezwykle inspirująca okazała się choćby pozakinowa działalność Zendai, ekranowej partnerki z „Diuny", a także znakomicie radzącej sobie w świecie mediów piosenkarki i celebrytki. Może także trochę dzięki niej Chalamet rozegrał po mistrzowsku „Wielkiego Marty'ego". Zarówno jako aktor, jak i producent.

POTRZEBA DZIAŁANIA

Także wcześnie skrupulatnie zbierał ważne doświadczenia. Dorastał na Manhattanie, w rodzinie z artystycznym zacięciem. Jego babcia i mama tańczyły na Broadwayu, starsza siostra została aktorką i baletnicą w Paryżu. Ojcu, który urodził się we Francji i pracował dla UNICEF, zawdzięcza „paryski charme" i płynną znajomość języka francuskiego, matce – „potrzebę działania i bycia widzianym".

Już jako dziecko występował w reklamach i sztukach teatralnych, potem była telewizja i filmy. Pomocne okazało się liceum artystyczne La Guardia (gdzie uczęszczali m.in. Jennifer Aniston i Al Pacino). Jednak po jego ukończeniu zamiast na studiach Timothée skupił się na aktorstwie – zagrał m.in. epizodyczną rolę u boku Matthew McConaugheya w kosmicznym dramacie Christophera Nolana „Interstellar" (2014). Dziś uważa, że odrzucenie college'u było szaleństwem.

Na szczyt sławy wywindowała go wspomniana już rola w głośnym dramacie Luki Guadagnina „Tamte dni, tamte noce" (2017), ale to widowiskowa „Diuna" według bestsellerowej sagi Franka Herberta zapewniła mu globalną rozpoznawalność.

Reżyser Denis Villeneuve wymienia wiele powodów, dla których to właśnie Chalametowi chciał powierzyć rolę Paula Atrydy: „On ma w oczach głęboką inteligencję. Coś, czego nie możesz podrobić. Jest bardzo intelektualny i zarazem silny. I ma bardzo starą duszę, a jednocześnie wygląda tak młodo w obiektywie. Wreszcie ma charyzmę... gwiazdy rocka i gwiazdy Hollywood z lat 20." – dodaje Villeneuve. Wszystkie wymienione atuty Timothée potrafi skutecznie wykorzystywać i uzupełniać o nowe.

W KOLORZE ORANGE

Będąc jednocześnie producentem filmu, postanowił przenieść do medialnej kampanii charakterystyczny element fabularnego świata – wyrazisty kolor. Tę mocną barwę chciał wprowadzić do rozgrywek ping-ponga bohater filmu. Proponował, by tradycyjne białe piłeczki zastąpić jaskrawo pomarańczowymi, a rekwizyt ten stał się znakiem rozpoznawczym Marty'ego – „oryginalną piłeczką dla oryginalnego gościa", jak słyszymy z ekranu.

Pomarańczowy motyw przewijał się przez całą trasę promocyjną filmu. Już w październiku 2025 r., podczas nowojorskiego pokazu fragmentów filmu, Chalamet pojawił się w otoczeniu ludzi przebranych za gigantyczne pomarańczowe piłeczki. On sam też miał strój w kolorze orange.

Z kolei kalifornijskiej premierze towarzyszył unoszący się na niebie pomarańczowy sterowiec i pomarańczowo odziana filmowa ekipa na czerwonym dywanie. Do obiegu trafiły pudełka płatków z wizerunkiem bohatera w charakterystycznym orange'owym stroju, a furorę – także wśród celebrytów – robiły kurtki, oczywiście w jedynie słusznym kolorze.

Gwyneth Paltrow

CELNY MARKETING

W „pomarańczową falę" włączyły się wszystkie gwiazdy filmu. Nawet Gwyneth Paltrow (z którą Chalamet stworzył na ekranie niezapomniany duet), znana dotąd ze stonowanej elegancji, zdecydowała się na pomarańczowy look, zapowiadając w telewizyjnym programie nowojorską premierę.

Orange'owa kampania Chalameta została zauważona w mediach modowych i popkulturowych. Amerykański „Vogue", pisząc o „pingpongowej pomarańczy", zwrócił uwagę, że barwę tę zauważyły – i wiążą z filmem – nawet osoby nieśledzące mody. Kolorowy marketing okazał się więc bardzo skuteczny. Timothée Chalamet nie mówi jednak: „Stop". Zamierza pokazywać się w kolorze pomarańczy przy okazji promocji filmu aż do Oscarów.

Fot. Monolith Films

eprasa.pl a114821b69

HITY i KITY ZAREMBY

„Betlejem polskie" – jasełka w rytmie techno

Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie zaprasza na „Betlejem polskie" Lucjana Rydla. Czyżby teatralne jasełka stawały się modne?

Dopiero co Teatr Klasyki Polskiej uraczył widzów znakomitą „Starą-nową Pastorałką", będącą układanką tekstów bożonarodzeniowych. Pisałem o koncercie kolęd w warszawskim Teatrze Ateneum. Teatr im. Juliusz Osterwy sięgnął po tekst Rydla z 1904 r., powierzając reżyserię Rafałowi Szumskiemu.

Lucjan Rydel przeszedł do historii jako pierwowzór Pana Młodego z „Wesela" Stanisława Wyspiańskiego. Jego twórczość przypomina się rzadko. W tym przypadku zrobił coś, co cechowało już twórców jasełek sprzed wieków: przeniósł Betlejem do Polski. Nasycając tekst akcentami patriotycznymi, co w Galicji było możliwe.

Centralnymi postaciami w jasełkach są pasterze, wzywani do Świętej Rodziny w betlejemskiej szopie. Rydel jako chłopoman był zafascynowany krzepą polskiego ludu. Opowieść o okrutnym Herodzie to z kolei okazja do oskarżenia o tyranię zaborców, szczególnie rosyjskiego. Autor łączy patriotyzm z ludowością. W jego wersji ostoją polskości są ludzie prości i biedni. Jak na 1904 r. była to wizja wyidealizowana. Ale w tym wyrażała się jego tęsknota za wyzwoleniem Polski przez lud.

W tym spektaklu zagrały 22 osoby, niemal cały zespół. Kilka scen wypadło z punktu widzenia ich teatralności, sugestywnie dając radość widowni. Mamy sporo fajnego śpiewania do współczesnej, choć naszpikowanej dawnymi motywami muzyki Marcina Nagnajewicza.

Nie mam pretensji o to, że kostiumy (Adriana Lewandowskiego) nie pochodzą z żadnej epoki, a malownicza scenografia Magdaleny Gajewskiej jest kompletnie umowna. Ani o groteskowość pastuszków, od których wszystko się zaczyna. Oni zawsze byli postaciami komicznymi. Nie razi mnie także to, że napotkani przez nich Krakowiacy to bywalcy współczesnego klubu techno. Przecież sam Rydel mieszał epoki.

Czuję jednak, że Rafał Szumski ma kłopot z pokazaniem nam, o co mu naprawdę chodzi, kiedy dziś przywraca widowni ten tekst. O sugestywną teatralność? OK, ale o co jeszcze? Część środkowa – z popisami tyrana Heroda, granego sugestywnie przez Wojciecha Dobrowolskiego – kojarzy się ze współczesnymi zagrożeniami, ze zbrodniami Rosji. Dziś motyw stale obecny w polskim teatrze.

Ale aktorzy, choć grają dobrze, nie przekonują mnie, że zwiastują Dobrą Nowinę – i to jakąkolwiek – w dzisiejszym zlaicyzowanym świecie. „Stara-nowa Pastorałka" Teatru Klasyki była nawet mocniej rozbrykana, a jednak czuło się w niej żarliwość. Tu, kiedy wyczerpuje się koncept z sądem nad Herodem, pozostają wygłupy skądinąd malowniczego Diabła, czyli znakomitego Wojciecha Rusina.

A na samym końcu postacie przedstawienia oferują nam swoje współczesne życzenia. Są więc przeciw hejtowi i przedmiotowemu traktowaniu kobiet. To dyżurny zestaw postulatów lewicy, zresztą z zacnymi akcentami, bo znajduje się miejsce dla walczącej Ukrainy. Dopisał to Maciej Wojtyszko – w miejsce sceny, w której do szopki pielgrzymują historyczne postacie. Zacny dramatopisarz tym razem nie uniknął banału.

Całość jest sprawdzianem nienajgorszej kondycji lubelskiego zespołu. Wyróżnia się młody Michał Czyż, który jako pasterz Maciej staje się zapiewajłą całości. Sceny jego czułości ze Stachą – Magdaleną Zabel – są wzruszające. Zapamiętałem Edytę Ostojak jako nieszczęsną Żonę Heroda czy Beatę Passini jako pięknie śpiewającą Śmierć. Migali moi ulubieni aktorzy: Daniel Salman czy Oskar Rybaczek. Dobre i to, ale sensy gdzieś się gubiły. Ot, teatr wymyślił kawałek tradycyjnego repertuaru, a reżyser głowił się, co z tym zrobić. Więc improwizował, tkał teatralne sztuczki.

Piotr Zaremba

W Polskim Polu bez zmian

Serial „Zaraz wracam" w TVP1 dobrnął już do 69 odcinka. Na początku byłem rozczarowany jego papierowymi dialogami. To się trochę zmieniło na lepsze. Trochę

Serial pięciorga reżyserów i ośmiorga scenarzystów jest pokazywany od wtorku do piątku w prime time, bo między 20.30 a 21.00. Nie zdobył widowni na miarę najpopularniejszych oper mydlanych typu „M jak miłość", niemniej gromadzi przed telewizorami do 0,5 mln widzów. Z opowieści o konkretnym konflikcie w miasteczku Polskie Pole zmienił się w kolejnego tasiemca o grupie bohaterów podpatrywanych w codziennym życiu.

Przypomnę – centrum wydarzeń stanowi tutaj urząd gminy z idealistycznym wójtem Eligiuszem Czaplą, ładnie granym przez Mariusza Kiljana. Pierwszy sezon opowiadał o intrydze biznesmena Filara, próbującego wysadzić idealistę z urzędu. Teraz nastąpiło „ustabilizowanie" wątków. Obecnie już bardziej matka Filara (znakomita Małgorzata Pieczyńska) knuje kolejne spiski. Ale obok tego mamy romanse, kryzysy małżeństw i społeczne inicjatywy dotyczące małej ojczyzny. Ostatnio zdarzenia kręcą się wokół budowania w Polskim Polu drużyny piłkarskiej.

Nie stanie się to kultowym „Ranczem". Scenariusz nadal szeleści papierem, choć czasem udaje mu się przyciągnąć moją uwagę migawkami podpatrywanego życia. Dydaktyczne jest główne przesłanie: nawet w małej miejscowości można robić coś dla ludzi. To serial, który ogląda się z ciekawości, o czym twórcy zechcą nas jeszcze pouczyć. No i dla takich aktorów jak Paweł Koślik grający „Fazę", złotą rączkę zatrudnioną w urzędzie.

Dostajemy krótki kurs progresywnej empatii. Maria, skarbniczka urzędu, jest lesbijką, próbuje nawet stworzyć związek z miejscową dziennikarką. Robi to wbrew złym ludziom, za to nękany guzem mózgu Czapla proponuje jej start na wójta w kolejnych wyborach. To instrukcja tolerancji.

Zarazem takie seriale stają się widownią poszukiwania ideowej równowagi. Oto Ewa z urzędu związała się z pisarzem. Kiedy zaszła w ciążę, partner zażądał, by dokonała aborcji. Ewa jednak dzielnie odmówiła, co jest pokazane z sympatią. A gra ją jedna z ikon progresywnego świata artystów – Barbara Kurdej-Szatan.

Twórcy próbują więc szukać akceptacji po różnych stronach. A czasem pozwalają sobie na odrobinkę szarości. Marcin Kwaśny gra poprzedniego wójta – Sałacińskiego. Zaczynał jako narzędzie w rękach aferzysty Filara, ale teraz widzimy w nim słabego człowieczka, po omacku dokonującego sprzecznych wyborów. Kwaśny sprawnie budzi w nas ambiwalentne odczucia – gratulacje. Nie wiemy, o co facetowi chodzi. Ale pozostałym wątkom też by się przydała większa szarość.

Fot. TVP (2x)

BELCIA POGUBIONA, CZYLI „HOTEL ZNP"

„Hotel ZNP" to spektakl Teatru Telewizji, przeniesiony z łódzkiego Teatru Nowego. Chwilami jego standardowo nowoczesna forma mnie nużyła, chwilami coś w nim przykuwało moją uwagę

To adaptacja powieści Izabeli Tadry sprzed dwóch lat. Chodzi o najbrzydszy hotel w Warszawie, przedstawiony tu jako miejsce schadzek. Na scenę przenieśli ten tekst Małgorzata Maciejewska (scenariusz) i Kuba Kowalski (reżyser). Wolę, jak ten ostatni zajmuje się nowymi tekstami, a nie klasyką, bo to jego estetyka.

Mamy opowieść o dziewczynie imieniem Belcia (dobra Paulina Walendziak), która odbywa coś w rodzaju wędrówki – a to wychodząc za mąż za niejakiego Wilhelma, a to wprowadzając się do innych facetów. Ta podróż, ujęta w konwencję strumienia świadomości, może być przez nią wymyślona – przynajmniej częściowo. W rozmowie po spektaklu autorka, adaptatorka i reżyser przedstawiali ją jako rodzaj żeńskiego everymana.

Jej przygody czasem są sugestywne, czasem bełkotliwe. Lata temu Kuba Kowalski wraz z Julią Holewińską znaleźli receptę na męskiego bohatera-everymana w ich wspólnej sztuce „Dolce vita". Za nim można było wędrować. Belcia pozostała dla mnie nieokreślona. Jej cechy i racje rozmywały się w potokach niejasnych, czasem wulgarnych słów. Postaci z jej życia – od matki do kolejnych partnerów – to galeria dziwadeł pokazanych w konwencji groteski totalnej.

Ciekawe jest jedno. W zajawkach wyczytałem, że sztuka ma być oskarżeniem tradycyjnej rodziny. Faktycznie, taki fragmencik się pojawia. Facet z walizką pełną wibratorów (niezły Damian Sosnowski) opisuje swojego patriarchalnego ojca terroryzującego bliskich (sugestywny Michał Seweryński).

Czy to jednak jedyne objaśnienie dla pustki świata Belci i jej znajomych wypełnianej narkotykami i przelotnym seksem? „Wy się nie musicie od razu pobierać. To takie mieszczańskie" – ogłasza matka bohaterki w jednej z pierwszych scen, kiedy ta wiąże się z niepozbieranym, nieumiejącym wybrać jednej kobiety Wilhelmem.

Zawsze jestem ciekaw, czy autorzy chwytający taką pustkę – jednak postnowoczesną – myślą o niej w kategoriach jakichś recept. Z dyskusji prowadzonej po spektaklu przez Agnieszkę Szydłowską po raz kolejny się tego nie dowiedziałem. Oni wszyscy mieli złych ojców? Czy może to dopust Boży, jak zmiana klimatu?

Firmy pożyczkowe zostały wyłączone z podwyżek CIT dla instytucji udzielających pożyczek. Opozycja pyta: to przeoczenie czy celowe działanie na rzecz zagranicznych korporacji?

Chwilówki pod specjalną ochroną?

PIOTR FILIPCZYK

Rząd Donalda Tuska podniósł podatek CIT bankom i SKOK, ale nie firmom pożyczkowym. Dlaczego władza zrobiła wyjątek dla dużych, zagranicznych korporacji zarabiających na wysoko oprocentowanych „chwilówkach" udzielanych coraz gorzej sytuowanym Polakom?

OSTATNIA DESKA RATUNKU

„Ewa wzięła pierwszą »chwilówkę« w wysokości 500 zł, żeby dołożyć do budżetu na remont mieszkania. Po kilku latach ma do spłacenia ponad 100 tys. zł" – to historia z Onetu. „Jeszcze nigdy w historii tzw. chwilówki, czyli szybkie pożyczki pieniędzy nie były w Polsce tak popularne. To sprawia, że jesteśmy zadłużeni na potęgę" – to z kolei nagłówek z portalu zajmującego się finansami.

Firmy pożyczkowe rosną – to niezaprzeczalny fakt. A jeśli już muszą, to niech chociaż dołożą się do obrony ojczyzny, ratowania służby zdrowia czy programów społecznych.

Według ostatnich danych opublikowanych przez Związek Przedsiębiorców Finansowych w Polsce – organizacji lobbystycznej reprezentującej branżę – wartość pożyczek udzielonych przez tego typu firmy tylko w listopadzie ub.r. wyniosła 1,81 mld zł. Wzrost rok do roku wynosił więc aż 21 proc. Wartość rynku to kilkadziesiąt miliardów złotych rocznie.

Pożyczki „bez BIK" albo „na dowód" to często ostatnia deska ratunku dla zadłużonych, zdesperowanych ludzi. Na pewno są żyłą złota dla firm, które ich udzielają. Mimo względnego ucywilizowania rynku przez ustawę antylichwiarską rzeczywista stopa rocznego oprocentowania (RSSO) chwilówek sięga nawet kilku tysięcy procent. Pieniądze Polaków pełnymi garściami czerpią obcy.

Najwięksi gracze mają właścicieli za granicą: Smartney to część francuskiej grupy Oney Bank, Provident należy do brytyjskiej grupy International Personal Finance, a Vivigo (wcześniej Vivus) jest powiązany z grupami kapitałowymi z państw bałtyckich.

OPODATKOWAĆ BANKI

W listopadzie polski parlament przyjął nowelizację ustawy o podatku dochodowym od osób prawnych i ustawy o podatku od niektórych instytucji finansowych.

„Nie może być tak, że obciążenia podatkowe ponosi statystyczny obywatel lub niewielkie przedsiębiorstwo, podczas gdy korporacje zagraniczne albo duże instytucje finansowe uzyskują rekordowe zyski. W ostatnich latach banki osiągnęły ponadprzeciętne zyski" – mówił po podpisaniu ustawy prezydent Karol Nawrocki.

Fot. Materiały biura senatora Grzegorza Bereckiego, Shutterstock

eprasa.pl a114821b69

Dotąd stawka CIT dla banków komercyjnych, a także znacznie biedniejszych banków spółdzielczych i spółdzielczych kas oszczędnościowo-kredytowych wynosiła 19 proc. W 2026 r. będzie to 30 proc. dla banków komercyjnych i 27 proc. dla banków spółdzielczych oraz SKOK. W 2027 r. stawki będą wynosić odpowiednio 26 i 23 proc., a od 2028 r. będą obowiązywać docelowe stawki 23 i 21 proc.

Dlaczego szukając pieniędzy w bankach, rząd Donalda Tuska zapomniał o firmach pożyczkowych? Jaki przyświecał temu cel? Bo przecież nie ochrona polskiego kapitału (ten jest np. w SKOK, które objęto podwyżką CIT, choć „chwilówkarze" są trzy razy więksi od spółdzielców) ani nie względy społeczne (firmy pożyczkowe raczej zaciskają pętlę zadłużenia na szyi Polaków, a nie ją rozluźniają).

„Myślę, że to jest błąd niezamierzony przez projektodawców" – mówił nieco ironicznie podczas debaty nad zmianami w Senacie senator PiS Grzegorz Bierecki. „Jeśli byłby on zamierzony, to byłoby bardzo źle, bo pokazywałoby, że polityka państwa zmierza do wspierania aktywności na rynku kredytowym instytucji pożyczkowych, które często są obwiniane o działalność lichwiarską" – dodawał, przekonując, że stworzenie wyjątku dla chwilówek narusza zasady konkurencyjności na rynku.

„Państwo polskie w wyniku tej ustawy będzie preferować instytucje pożyczkowe o często podejrzanej reputacji" – alarmował Bierecki.

USTAWA TESTEM WIARYGODNOŚCI

Na słowach się nie skończyło. Wraz z posłami Januszem Kowalskim i Dariuszem Stefaniukiem Bierecki przygotował projekt ustawy podnoszącej podatek CIT dla firm pożyczkowych (dziś wynosi on 19 proc.).

„Zdaniem wnioskodawców brak uzasadnienia by przedsiębiorcy ci płacili niższą stawkę podatku od osób prawnych niż banki spółdzielcze i spółdzielcze kasy oszczędnościowo-kredytowe, których działalność w dużym stopniu także polega na udzielaniu kredytów konsumentom, a więc jest analogiczna w sferze przychodowej do działalności firm pożyczkowych" – czytamy w ocenie skutków regulacji dołączonej do ustawy PiS.

Mechanizm jest bardzo prosty – analogiczny do tego, który wykorzystano, podnosząc daninę bankom i SKOK. Docelowo stawka ma być taka sama jak dla banków spółdzielczych i spółdzielczych kas oszczędnościowo-kredytowych, czyli 21 proc. Mają do niej prowadzić stawki przejściowe, odpowiednio, 27 i 23 proc. Wyjątek ma dotyczyć firm będących „małymi podatnikami" – dla nich stawkę ustalono na 11 proc. (obecnie – 9 proc.). Jednak mówimy tutaj o marginesie branży chwilówkowej – ze statusu „małego podatnika" mogą korzystać podmioty z maksymalnymi przychodami w wysokości ok. 8,5 mln zł rocznie.

„W Senacie podczas prac nad zmianami w podatku CIT dla instytucji finansowych wskazywaliśmy na to przeoczenie, jakim był fakt nieuwzględnienia w podwyżce podatku od osób prawnych firm pożyczkowych, które bardzo dynamicznie rozwijają się na naszym rynku" – mówił podczas konferencji prasowej w Sejmie senator Grzegorz Bierecki.

„Z powodu tempa pracy nad ustawą uwagi te nie zostały uwzględnione. Teraz możemy to naprawić, przedstawiając propozycję, która przyniesie dla polskiego budżetu znaczące środki, potrzebne przede wszystkim na zapewnienie finansowania naszych sił zbrojnych" – podkreślał parlamentarzysta.

Na konferencji wrócił temat dziwnej ulgi dla firm pożyczkowych. „A co, gdyby pominięcie chwilówek nie było pomyłką, tylko zamiarem?" – pytali dziennikarze.

„Wtedy trzeba by było zapytać koalicji rządzącej, dlaczego narusza równowagę konkurencyjną na rynku, bo przecież instytucje finansowe, które zajmują się tą samą działalnością, są różnie opodatkowane, co rodzi pytania konstytucyjne" – stwierdził senator Bierecki.

„Czy jest to więc przeoczenie, czy świadome wspieranie rozwoju działalności nazywanej przez opinię publiczną działalnością lichwiarską? To pytanie wybrzmi w trakcie debaty nad projektem ustawy, który posłowie dziś składają" – powiedział parlamentarzysta.

Jeden z wnioskodawców ustawy, poseł PiS i szef poselskiego zespołu Proste Podatki Janusz Kowalski, uważa, że propozycja jest swoistym testem wiarygodności dla rządzących.

„Razem z panem senatorem Grzegorzem Biereckim przygotowaliśmy – na bazie poprawek senackich – bardzo ważną nowelę finansową, w której proponujemy wszystkim siłom politycznym, aby znieść tę nierówność w traktowaniu instytucji zajmujących się udzielaniem kredytów Polakom" – mówił Kowalski.

„Ufamy, że ta kwestia nie będzie dzieliła nikogo w Sejmie. To jest oczywiście test szczególnie dla lewicy, która tak bardzo dużo mówi o sprawiedliwym opodatkowaniu" – podkreślił poseł PiS.

EDWARD POREMBNY
scenarzysta, reżyser, producent, autor filmu „Życie i śmierci Maxa Lindera"

Śladami gwiazdy kinematografu

MAX LINDER
aktor, reżyser

Między warszawskim kinem Luna a paryskim Max Linder Panorama przy 24 Boulevard Poissonniere, między dekadą przygotowań a wiekiem, który minął od tragicznej śmierci jednej z największych (choć zapomnianych) gwiazd niemego kina, rozpięła się historia pasji i kariery Maxa Lindera. A także historia pasji i determinacji reżysera Edwarda Porembnego, który postanowił ruszyć śladami człowieka, nazywanego przez Charliego Chaplina jego profesorem.

Usytuowane w centrum Paryża kino to jedyny pomnik pamięci Lindera. – Jeśli jednak zapytamy, skąd się wzięła nazwa tego miejsca, mało kto odpowie poprawnie, choć niemal każdy będzie wiedział, kim był Chaplin, uczeń Lindera – zauważa Porembny, autor stylizowanego na niemą produkcję pełnometrażowego mockumentu (dokumentu z elementami fabularnej narracji) pt. „Życie i śmierci Maxa Lindera". „Śmierci", bo do czasu samobójstwa Linder kilkakrotnie wywinął się kostusze.

Niedawno film trafił na polskie ekrany i choć formuła może wymagać od współczesnego widza trochę wytrwałości, warto poszukać tego tytułu w repertuarach kin. I zanurzyć się w opowieść, w której archiwalne materiały tak dobrze zgrały się ze współczesną technologią.

Gdy urodzony w 1883 r. Max Linder (właściwie Gabriel-Maximilien Leuvielle) już jako europejska gwiazda trafił do Stanów Zjednoczonych, okazał się niezwykle inspirujący dla Charliego Chaplina. Ostatecznie musiał ustąpić miejsca młodszemu koledze, kiedy (realizowany od 1919 r.) „Brzdąc" wyparł z planów wytwórni jego pełnometrażowy projekt. Linder powrócił do Paryża, ożenił się, ale chyba do końca nie pogodził z amerykańskim finałem. Niejasne są okoliczności podwójnego samobójstwa (jego i dużo młodszej żony), do którego doszło 1 listopada 1925 r. w paryskim hotelu.

Szlaki przemierzane przez Lindera – idola, który wystąpił w ponad 300 filmach, pełnego pomysłów reżysera (to on wprowadził do kina koncept powracającego bohatera, którego publiczność mogła śledzić z produkcji na produkcję), a także targanego emocjami artysty – przeszedł też Edward Porembny. W swoim mockumencie przywołał miejsca kształtujące Lindera – od tych w rodzinnej Francji po te odwiedzane, m.in. w Hiszpanii, Polsce (wrażenia robią warszawskie archiwalia), Rosji czy Stanach Zjednoczonych. Wiele zaprezentowanych na ekranie materiałów, odnalezionych w wymienionych krajach, nigdy wcześniej nie było pokazywanych w kinach.

By oddać charakter produkcji sprzed 100 lat, podczas realizacji filmu użyto m.in. oryginalnej kamery 35 mm z lat 20. ub.w. czy odrestaurowanej taśmy, korzystano także z pomocy sztucznej inteligencji.

Co ciekawe, Porembny (który mówi o sobie, że jest „sfrancuziałym Polakiem" pracującym w trzech kulturach: francuskiej, polskiej i brytyjskiej) po raz pierwszy przeczytał o Linderze w... Afryce, gdzie montował jeden z wcześniejszych dokumentów. Zafascynował go bohater artykułu, który z rodzinnego gospodarstwa koło Bordeaux wyrwał się do Paryża i świata kina, by w ciągu dwóch dekad stać się multimilionerem, a także pierwszym europejskim gwiazdorem, który zrobił karierę w Stanach.

Porembny, z urodzenia Warszawiak, studia filmowe skończył we Francji, zawodowe szlify zdobywał w Londynie, w Warszawie założył firmę producencką. Kolejne materiały realizowanego przez blisko dekadę projektu oglądał na dużym ekranie gościnnego kina Luna. Tu także odbyła się warszawska premiera „Życia i śmierci Maxa Lindera". Wcześniej, wertując archiwalia, reżyser przypomniał sobie, że wiele lat temu swój pierwszy film obejrzał na dużym ekranie w... paryskim kinie Max Linder.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Archiwum Edwarda Porembnego

eprasa.pl a114821b69

SŁODKO-SŁONY

Smak wspomnień

ANNA MONICKA

Książki kucharskie to zwykle zbiory przepisów, ale nie zawsze. Czasem trafiają się perełki – pełne uroczych i wzruszających historii, opowieści o krainach, miastach, nietuzinkowych ludziach, anegdot dotyczących jedzenia i spotkań przy rodzinnym stole. Dostarczają nie tylko pokarm dla ciała. Wracam do niektórych co jakiś czas, staram się pamiętać, gdzie je odłożyłam i nie pożyczać znajomym, żeby ich bezpowrotnie nie stracić. A kiedy zdarzy się gruba nieprzyjemność – wetknę gdzieś taką książkę i nie pamiętam, gdzie, jestem na siebie wściekła i szukam tak długo, dopóki nie znajdę.

Ostatnio przeszukiwałam półki, by znaleźć „Balsam dla duszy" Jacka Canfielda, Marka Victora Hansena i Diany von Welanetz Wentworth, wydanej przez Rebis jakieś 30 lat temu. Szukałam inspiracji na coś smacznego, a pamiętałam, że był tam przepis na krem warzywny amerykańskiej fotografki Helli Hammid. W desperacji zaczęłam rajd po antykwariatach, ale gdy odkryłam egzemplarz w sklepie internetowym, mój też cudownie „wypłynął" na powierzchnię.

„Po dziś dzień, zawsze, gdy czuję, że przytłacza mnie ciężar życia, kieruję swe kroki w stronę kuchni. Dopiero tam, gdy przygotowuję zupę, udaje mi się odtworzyć w pewnym sensie magiczną atmosferę, która roztaczała wokół siebie Hella" – napisała jej przyjaciółka Sharon. Miło tak zapisać się w pamięci – smakiem, zapachem, ulotną atmosferą gotowania, jedzenia, rozmowy. A oto „magiczna" zupa z książki.

Na 2 łyżkach masła przez minutę podsmażamy 4 filiżanki warzyw, np. brokułów, kalafiorów, grzybów, dyni, szpinaku, szczawiu, rukwi wodnej (ale może być własna ulubiona mieszanka), z pokrojonym drobno porem i 2 poszatkowanymi łodygami selera naciowego, nakrywamy garnek i dusimy przez 5 minut. Wlewamy 2 litry rosołu z kury i wrzucamy 4–5 pokrojonych ziemniaków, gotujemy pod przykryciem ok. 20 minut. Wsypujemy garść posiekanej natki pietruszki i łyżkę ulubionych ziół, np. majeranku albo koperku. Lekko gotujemy bez przykrycia, a potem miksujemy partiami na gładko, solimy i podajemy zupę ze śmietanką lub pełnotłustym mlekiem, oprószoną świeżo startą gałką muszkatołową i białym pieprzem. Polecam.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Chryzostom i trawa morska

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Wspominając wyprawę do Danii, Jan Chryzostom Pasek pisał: „Roku pańskiego 1658 król z jednym wojskiem pod Toruniem, drugie wojsko w Ukrainie, nasza zaś dywizyja z panem Czarnieckim: pod Drahimem (Drawskiem) staliśmy przez miesięcy trzy. *In decursu Augusti* poszliśmy do Danijej na sukurs królowi duńskiemu [...]".

Wyniknęły z tego nie tylko wydarzenia polityczne i militarne wielkiej wagi. Pasek poczynił mnóstwo arcyciekawych obserwacji i spisał je w nad wyraz interesujący sposób.

Oto np. o Morzu Północnym pisał m.in: „Zażywaliśmy też tam rekreacyjej różnej na morzu, wsiadszy w barkę. Kiedy woda spokojna była, to bywało jeno stanąć spokojnie, a pojazdami nie robić, to się rozmaitego napatrzył stworzenia, rozmaitej gadziny i zwierzów morskich, cudownych ryb, a osobliwie w tym miejscu stanąwszy, gdzie jest trawa, z której sól robią, bo w tym miejscu tak jest morze przezroczyste, że na sto latrow wzgłąb obaczyć może najmniejszą rybkę i cokolwiek pływa przeciwko owej trawie, która tak się bieli *in profundo* jako śnieg, i dlatego widać kożdą rzecz naprzeciwko owej reperkusyjej. Tę trawę rwą osękami żelaznemi, puszczając je na dno na długim sznurze; a tak wyciągają tę trawę i na brzeg wywożą, rozrzucają to po krzakach, a skoro uschnie, to ją palą i sól z tego robią bardzo dobrą".

Duńczycy zbierali więc trawę z dna morskiego, żeby pozyskiwać sól. Polacy, mając znakomite kopalnie w Wieliczce i Bochni, nie musieli tego robić i ten sposób był dla nich ciekawostką (nawiasem mówiąc, gdzie teraz można dostać szarą, bardzo zdrową bocheńską sól?). W rzeczywistości „trawy morskie" obejmują kilkadziesiąt gatunków podmorskich roślin naczyniowych, z których notabene żadna trawą nie jest.

Takie łąki występowały kiedyś także w Bałtyku, przede wszystkim w Zatoce Puckiej. Dziś są niemal całkowicie zniszczone – miejmy nadzieję, że kiedyś uda się je odbudować. Od pewnego czasu są prowadzone takie działania i w Zatoce sadzi się na powrót trawę morską – konkretnie zosterę morską (*Zostera marina*), która tworzyła puckie podmorskie łąki, siedlisko równie urzekające, co cenne przyrodniczo, a także gospodarczo: dzisiejsze spadki liczebne populacji ryb w Bałtyku wiążą się właśnie m.in. ze stratą różnych cennych siedlisk, w których niegdyś ryby odbywały tarło i rozwijał się narybek.

eprasa.pl a114821b69

3 MIŁOŚCI

Tekieli do Steczkowskiej:

Szukasz fałszywej nadziei

ROBERT TEKIELI

Największym korpusem niezbadanych dzieł w całej europejskiej humanistyce jest literatura ezoteryczna. W ostatnich latach badania nad różnymi aspektami „wiedzy tajemnej" stały się modne. Zapewne również z tego powodu, że satanizująca ezoteryka, odrzucana od stuleci przez autorytety religijne i ośrodki akademickie, dziś stała się kanwą popkultury, wręcz jej osoczem.

Od początku XXI w. w ciągu dekady różnym nurtom okultyzmu, neognozy i magii poświęcono kilkaset monografii i konferencji naukowych, powstały liczne kierunki studiów, czasopisma recenzowane i serie monograficzne. Okazało się, że król jest nagi. Otóż „wiedza tajemna" była i jest tajemną z dwóch najważniejszych powodów. Po pierwsze, wtajemniczenie, niezbędne w jej przekazywaniu, było narzędziem zdobywania władzy „mistrzów" nad adeptami, czasami władzy absolutnej i kończącej się ich uprzedmiotowieniem i wykorzystaniem. Po drugie, „wiedza" ta, wyłożona na światło dzienne, budzi śmiech lub zażenowanie.

Dlaczego ośrodki akademickie odrzucały wiedzę tajemną? Bo nie spełnia wymogów racjonalności. Czemu ezoterykę i okultyzm odrzucają autorytety religijne? Bo prowadzi do szkód duchowych.

Okultyzm, magia, spirytyzm i inne nurty „wiedzy tajemnej" – jak pisze w książce „Okultyzm. Studium ezoteryki zachodniej" Maciej B. Stępień – są „swoistym zamiennikiem dla chrześcijaństwa jako propozycja duchowości dla współczesnego człowieka".

Po XIX-wiecznym zabiegu „energetycznej materializacji" ezoteryzmu, po arbitralnym i błędnym odrzuceniu wiedzy podzielanej przez wszystkie tradycyjne religie, że świat duchowy zamieszkują osoby – bezcielesne inteligencje, wiedza tajemna odniesiona do bezosobowych sił i oddziaływań aspirowała do bycia, po pierwsze, sztuką władania nad tym, co naturalne, choć w przyrodzie utajone, oraz, po drugie, do bycia „nauką stylizowaną (czysto werbalnie i deklaratywnie) na wzór współcześnie rozwijanych dziedzin przyrodoznawczych. W końcu stała się praktyczną psychologią oraz pretekstem do egoistycznego zaspokajania potrzeb seksualnych w każdej ich formie" – dodaje prof. Stępień.

Dlaczego ośrodki akademickie odrzucały wiedzę tajemną? Bo nie spełnia wymogów racjonalności. Czemu ezoterykę i okultyzm odrzucają autorytety religijne? Bo prowadzi do szkód duchowych

W wojnie kulturowej – współczesnej odmianie Kulturkampfu – media polskojęzyczne, zorientowane na realizację niemieckich interesów w Polsce, promują w sferze duchowej najróżnorodniejsze odmiany irracjonalnej i toksycznej duchowo ezoteryki, w tym magię, spirytyzm i religijność New Age, zgodnie z hasłem: „Wszystko, byle nie chrześcijaństwo". A precyzyjniej: ze wszystkich sił walczą z Kościołem powszechnym i polskim katolicyzmem – dokładnie tak samo, jak w czasach zaborów robił to Bismarck za pomocą państwa niemieckiego.

W jeszcze nie zsekularyzowanych do cna krajach Zachodu wiedza tajemna – aż po demoniczny okultyzm i satanizm – ma zastąpić wiarę katolicką. Bycie „zamiennikiem dla chrześcijaństwa" jest właśnie powodem, dla którego ezoteryka i herezje są promowane równie mocno jak klimatyzm, bambizm, woke czy ideologia transokaleczeń.

W mechanizmie wojny kulturowej dużą rolę odgrywają osoby powszechnie znane, które z racji profesji nie były dotąd traktowane przez społeczeństwa jako autorytety moralne czy duchowi przewodnicy.

Kilka dni temu znana polska artystka, Justyna Steczkowska, udzieliła głośnego wywiadu w podcaście Cypriana Majchera. Jak ten wywiad jest wykorzystywany do wojny kulturowej i duchowej z Polakami?

Onet: „Justyna Steczkowska od lat budzi podziw nie tylko swoim głosem, ale również niezwykłą wrażliwością i duchową głębią. Choć dla wielu pozostaje ikoną polskiej sceny muzycznej, coraz częściej odsłania przed fanami swoje przemyślenia na temat życia, przemijania i sensu istnienia".

Onet buduje autorytet piosenkarki jako osoby kompetentnej duchowo. Jesteśmy informowani, że artystka skupia się na „rozwoju własnej świadomości", a w wywiadzie dzieli się swoimi przemyśleniami na temat przemijania i karmy.

Proszę mnie dobrze zrozumieć. Na koniec dnia każdy z nas będzie po tamtej stro-

eprasa.pl a114821b69

nie sądzony z miłości przez własne – już nie skrzywione – sumienie. Uważam, że jest bardzo prawdopodobne, iż w życiu uczyniłem tysiąc razy więcej zła niż Justyna Steczkowska. Więc absolutnie nikogo nie osądzam. Pokażę tylko, jakie mogą być konsekwencje przyjęcia jej światopoglądu.

Onet pisze: „Znaczną część swoich rozważań Justyna Steczkowska poświęca także pojęciu karmy i świadomości. Przez lata wierzyła, że karma to zamknięty krąg, z którego nie sposób się wydostać. Z czasem jednak zaczęła podawać tę wizję w wątpliwość".

Justyna Steczkowska: „Karma, po pierwsze, nie jest czymś jednym do jednego, to nie jest czarno-białe. To jest zlep jak wielu różnych sytuacji, doświadczeń, nagrody, konsekwencji twoich działań". Jest to pogląd całkowicie arbitralny.

Artystka przekonuje, że „kluczowe jest to, jaką energią i przekonaniami kierujemy się w życiu. Według niej rozwój świadomości pozwala człowiekowi »polecieć dalej«, zamiast tkwić w ciężkiej, gęstej energii materii". Justyna Steczkowska: „Nie musisz wracać do zaklętego koła karmy, bo możesz nigdy się z niego nie wydostać".

Na jakiej podstawie artystka – która najpierw przyjęła pogląd podzielany przez grubo ponad 1 mld ludzi, poświadczony doświadczeniem 200 pokoleń hinduistów, które szukały odpowiedzi na zasadnicze egzystencjalne pytania – potem odrzuca ten pogląd jednym zdaniem?

Justyna Steczkowska tworzy własną zrób-to-sam-religię. Neguje rozstrzygnięcia poważnej tradycji religijnej. Wiemy, że idea reinkarnacji jest uwikłana w logiczne sprzeczności, ale opieramy się na autorytecie Objawienia. Na czym artystka opiera swoje poglądy, podważające przekonania pokoleń wyznawców?

Instytucjonalne religie przyciągają do siebie ludzi mądrością ascetów, osób poświęcających się wymagającym praktykom religijnym. Wiedza jest kumulowana przez pokolenia. To są właśnie okruchy prawdy w innych religiach, o których mówi katolicyzm.

Justyna Steczkowska robi eksperyment z własnego życia. I nie wie jakie będą owoce podejmowanych przez siebie decyzji. Na przestrzeni wieków kolejne pokolenia hinduistów przyglądały się tym owocom. Tu mamy subiektywny, emocjonalny przebieg.

Co to znaczy: „Nie musisz wracać do zaklętego koła karmy"? Skąd pomysł, że człowiek ma jakąś możliwość wyboru? Hinduistyczna tradycja, bazująca na surowym determinizmie, jest z gruntu pesymistyczna, wręcz fatalistyczna.

Dlaczego Justyna Steczkowska uważa, że można wziąć jakiś element z tradycji religijnej i całkowicie odwrócić jego wektory, jego znaczenie? Skąd pomysł, że oświeceniowa, optymistyczna idea postępu jest do połączenia z liczącą kilka tysięcy lat tradycją religii akcentującej surowe konsekwencje życiowych wyborów? Na jakiej podstawie chce wyeliminować zasadniczy pesymizm eschatologii hinduistycznej? Skąd w ogóle takie pomysły? Z tradycji zachodniej wiedzy tajemnej.

Justyna Steczkowska – świadomie czy nie – garściami czerpie z błędnych rozwiązań ideowych i intelektualnych zachodniego ezoteryzmu, który w XIX w. przyjął kilka hinduistycznych intuicji, całkowicie je przedefiniowując.

Ezoteryzm tak jak gnostycyzm w I–III w. po Chrystusie bazuje na pysze i grzechu.

Onet pisze: „Justyna Steczkowska przywołała też obrazy dusz uwięzionych w ziemskiej energii, które – jak stwierdziła – zapominają o swoim pierwotnym celu. To właśnie te poszukiwania i refleksje skłoniły ją do jeszcze głębszego zastanowienia się nad sensem istnienia". Uwięzione dusze – gnostycki trop. Dalej mamy ezoteryczne idee „pozytywnego myślenia", sformułowane najwyraziściej w książce „Potęga podświadomości" Josepha Murphy'ego w 1963 r. Justyna Steczkowska: „Od ciebie i twojej świadomości, tak uważam, mojej, twojej, naszej, zależy to, gdzie polecimy dalej. Bo to wszystko jest zaklęte w naszej własnej świadomości i naszym rozwoju". Tyle że świat realny jest obiektywny, a cierpienie nie zniknie, choćby najusilniej chciała tego świadomość rozwinięta najbardziej jak to możliwe.

Fot. Wojciech Pędzich/Wikipedia

Dzięki milionowym zasięgom piosenkarka powielająca synkretyczne i błędne „tajemne" toposy staje się nauczycielką życia duchowego młodych Polaków. I to zwodzenie jest tym bardziej niebezpieczne, że artystka jest postrzegana jako katoliczka.

Formacją naszych dzieci zajmują się media o największych zasięgach. Ten sam przekaz jest powielany w filmach, w kolorowych czasopismach dla kobiet, w popularnych serialach fabularnych i paradokumentalnych. Cała popkultura promuje neopogaństwo, neognozę, magię, spirytyzm oraz kilkanaście odmian herezji energetycznej – tak nazywam różnego rodzaju ideologie posługujące się pojęciami np. wibracji, energii, czakr, czakramów, prany czy pola morfogenetycznego. Kiedyś był to magnetyzm zwierzęcy, eter czy siła witalna. Nauka odrzuciła te hipotezy. Nie znajdują potwierdzenia w badaniach. Są nieprawdziwe. I rodzą poważne konsekwencje w życiu ludzi, którzy je przyjmują.

Przyjęcie wierzeń „energetycznych" oznacza porzucenie wiary w Jezusa Chrystusa. A gdy od przekonań przechodzimy do działania, gdy zaczynamy jakieś praktyki, np. niechrześcijańskiej medytacji z intencją, medytacji ku pustce czy na guru albo gdy weźmiemy udział w warsztatach tantrycznych, bądź gdy konsekwentnie i uważnie będziemy ćwiczyć jogę, możemy się spodziewać depresji niedających się leczyć farmakologicznie, obniżeń nastroju nieadekwatnych do bodźca, statystycznie nieprawdopodobnej liczby negatywnych wydarzeń w życiu, smutku duchowego, trudności z modlitwą oraz utraty pewności zbawienia.

Trwa inwazja. Módlmy się o ludzi świętych. Módlmy się o nowe zakony, módlmy się o duchowe odrodzenie Polaków.

OGNIEM NA WPROST

Pieskie życie

Andrzej Rafał Potocki

Sytuacja na froncie. Odcinek sumski – stabilnie. Koło Wołczańska siły Moskali kierują się na Wilcze i Łyman. Celem jest prawdopodobnie droga biegnąca na południe przez Liman wzdłuż Dońca – idąc nią, odcinają siły ukraińskie od zaplecza. Błyskotliwe, ale przy liczebności rosyjskich sił mało realne do realizacji. Mimo wściekłego ruskiego ostrzału i kontrataków rejon Kupiańska został prawie całkowicie oczyszczony z Moskali. Skala katastrofy Ruskich w tym mieście jest gigantyczna i mocno upokarzająca. Na południe od Kupiańska Moskale konsekwentnie dążą do zbudowania podstawy do forsowania rzeki Oskoł, ale osiągnięcie tego celu zajmie im jeszcze trochę czasu. Na północ od Łymana postępy Rosjan są nieduże, ale od strony wschodniej podchodzą oni do granic miasta. Po trzech latach znów szykuje się ono do obrony. Odcinek siewierski – stagnacja. W rejonie Konstantynówka–Kramatorsk idą równolegle dwa moskiewskie uderzenia. Pierwsze z podstawy wyjściowej Majskie–Orzechowo–Wasilówka wprost na Kramatorsk. Drugie oskrzydla od północy Konstantynówkę. Stało się to możliwe po przełamaniu ukraińskiej obrony koło Mikołajówki. Jednocześnie od południa siły moskiewskie podchodzą do linii wzgórz na południe od Konstantynówki. Koło Pokrowska Rosjanie cisną w stronę linii Dobropola, co umożliwi im przecięcie biegnącej tamtędy drogi. Ważnej, bo można nią zaopatrywać zarówno Kramatorsk, jak i Konstantynówkę. Topografia jest tu po stronie Ukraińców, więc wykonanie zadania zajmie Moskalom trochę czasu. Bezpośrednio koło Pokrowska stagnacja. Następny aktywny odcinek to dopiero obwód zaporoski, gdzie walki powoli dochodzą do rzeki Hajczul. Prawdopodobnie na niej Ukraińcy oprą teraz obronę tego odcinka. W rejonie Kamiańskiego Moskale kontynuują pozbawiony sensu marsz od południa na Zaporoże. Motywacją jest prawdopodobnie chora ambicja ich tutejszego dowódcy, który nie chce, żeby w zdobyciu Zaporoża uprzedził go kolega idący od wschodu. Reszta bez zmian. Aha – Ukraina i Mołdawia wspólnie zablokowały jakikolwiek dojazd do Naddniestrza. Liczący 1,5 tys. osób naddniestrzańsko-moskiewski garnizon właśnie stał się Największym Samorządnym Obozem Jenieckim.

Na północnym wschodzie Ukrainy siły zbrojne Kijowa miały zadać armii Moskwy wyjątkowo dotkliwe straty podczas walk o odzyskanie strategicznie ważnego miasta – Kupiańska. Z najnowszej oceny wywiadowczej przedstawionej brytyjskiemu wojsku wynika, że na jednego poległego ukraińskiego żołnierza przypadało co najmniej 27 zabitych wrogów. Według źródeł obronnych cytowanych przez brytyjskie media przed świętami Bożego Narodzenia nawet do 200 bojców miało zostać okrążonych przez nacierające oddziały ukraińskie podczas walk o północne dzielnice Kupiańska. Manewr ten miał znacząco osłabić obronę Kacapów i przyczynić się do przełamania linii frontu w regionie charkowskim. W ubiegłym miesiącu Ukraina oficjalnie poinformowała o odzyskaniu Kupiańska, podając jednocześnie, że kontroluje niemal 90 proc. obszaru tego kluczowego miasta. Ukraińskie władze podkreślają, że sukces ten jest efektem połączenia lepszego rozpoznania, precyzyjnej artylerii, skutecznej koordynacji jednostek oraz wysokiego morale żołnierzy. Jako pointę obecnej sytuacji na froncie proponujemy dziś wytwór sztucznej inteligencji, przedstawiający przemówienie Putina: „Wzięliśmy Kupiańsk, wzięliśmy Wołczańsk i już okrążyliśmy Kramatorsk. Ja prowadzę za sobą wojsko, siedząc okrakiem na czołgu. I wtedy słyszę jak Alina [Kabajewa, gimnastyczka – kochanka kierownika na Kremlu – przyp. red.] mówi: »Wołodia, Wołodieńka, wstawaj! Ty obosrałsia [narobiłeś w spodnie]«".

Czasopismo „Evolutionary Applications" wykorzystało dane zebrane przez żołnierzy na froncie i wolontariuszy. Autorzy przeanalizowali informacje o ponad 760 psach. Zespół zwraca uwagę, że wojna nie tylko przemieszcza ludzi, lecz także w trybie natychmiastowym przebudowuje całe populacje zwierząt. W rejonach walk dominują osobniki małe i średnie, z prostą sierścią średniej długości. Zanikają cechy kojarzone z rasami ozdobnymi, które utrudniają sprawne poruszanie się i oddychanie w trudnych warunkach. Nagrania z dronów potwierdzają istnienie stad całkowicie samodzielnych psów, które polują lub żywią się padliną, co odzwierciedla skrajne warunki. Zmienia się też dieta czworonogów. Jedzą mniej mięsa, a więcej warzyw. Wniosek. Niech żyją kundelki! Te przetrwają.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a114821b69

Michał Korsun prezentuje:
Poseł Szejna – skromny kolekcjoner

Wycinki z przeszłości

Już w 1926 r. ostrzegano, by w kinie nie ulegać zbyt daleko idącym emocjom. „Echo Warszawskie" opisywało historię inżyniera, który w ciemnej sali kina Światowid, oglądając film z wyprawy na Mount Everest, „wyciągnął rękę i z tkliwością umieścił ją na kolanie sąsiadki". Zostało to odebrane jako próba kradzieży. Efektem był krzyk, skandal i interwencja policji. Przesłanie było jasne i ponadczasowe: nie szukaj po ciemku nogi sąsiadki.

(sp)

ECHO WARSZAWSKIE

Niemcy, demaskując siebie, kompromitują Anglję

Nie szukaj po ciemku nogi sąsiadki...

P. inż. M., słysząc wiele o pięknym filmie, wybrał się do kina „Światowid", usiadł wygodnie i ziewając, oczekiwał na rozpoczęcie się programu. Wyprawa na Mount-Everest... P. inż. M. lubił wszelkiego rodzaju wyprawy... Rozmarzonem spojrzeniem rozglądał się po sali i... zainteresował się wreszcie obok siedzącą przystojną niewiastą. Była to p. G., nauczycielka, która za swoimi uczniami wybrała się również na „wyprawę"... Światło zgasło... Muzyka rozmarzyła p. inżyniera.... Wyciągnął rękę i z tkliwością umieścił ją na kolanie sąsiadki w chwili, kiedy mężni anglicy wdzierają się na śnieżne szczyty Everestu.

Lodowy film podziałał rozpalająco na inżyniera, który coraz mocniej ściskał nogę sąsiadki, niewiasta zaś wyprowadzona z równowagi niesamowitą akcją filmu, krzyknęła z przerażenia, sądząc, że efekt p. M. zmierza do umieszczonej na jej kolanach torebki. Zrobiło się jej zimno... Krzyknęła z przerażenia.... Światła zabłysły... Policja... Epilog w komisarjacie.

P. inż. M. oświadczył, że nigdy na takie filmy nie będzie uczęszczał.

Z WOLEJA

„Nowi" Polacy. Jestem za!

Ryszard Czarnecki

Czynienie Polaków ze sportowców z innych krajów czasem budzi u nas emocje. Dzisiaj przedstawię swoją opinię. Jednak najpierw fakty. Wiele osób nie zdaje sobie sprawy z tego, że zwłaszcza w sportach zespołowych nadanie cudzoziemcowi polskiego obywatelstwa wcale nie musi automatycznie łączyć się z grą dla naszej reprezentacji. Zabiegają o to kluby siatkarskie, koszykarskie i piłkarskie, aby w ten sposób pominąć limit obcokrajowców, który przypada na kluby. Trwa to od lat, a opinia publiczna niespecjalnie się już dąsa z tego powodu. Jedne kluby załatwiają to szybciej, inne wolniej, ale stało się to po prostu normą. Część tych „nowych Polaków" wiąże się z naszym krajem, zostaje tu na stałe, wybiera karierę trenerską – albo nie. Polski paszport zaczął być bardzo cenny, od kiedy weszliśmy do Unii, a to dlatego, że w większości krajów Wspólnoty istnieją limity dla obcokrajowców spoza UE, w związku z czym m.in. nominalni Polacy są w cenie także w innych ligach państw Unii.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie ma problemu ze sportowcami o polskich korzeniach, którzy zostają reprezentantami naszego kraju. To przypadek naszej wicemistrzyni świata w skoku wzwyż Marii Żodzik (zresztą jedynej polskiej medalistki lekkoatletycznych MŚ), a także młodego siatkarza Aleksieja Nasiewicza (został odkryciem sezonu 2023/2024). Jeden z najlepszych siatkarzy świata Wilfredo León, choć urodził się na Kubie, mówi po polsku, ma polską żonę, jego dzieci chodzą do polskich szkół, więc dla wszystkich wydaje się oczywiste, że reprezentuje Polskę, zdobywając medale naszego kraju na igrzyskach, siatkarskich mundialach i mistrzostwach Europy. Jest też – to mało znany fakt – większościowym właścicielem klubu siatkarskiego Anioły Toruń, występującego w drugiej klasie rozgrywkowej.

Piłkarz rodem z Nigerii Emmanuel Olisadebe, przez wielu polskich kibiców pieszczotliwe nazywanym niegdyś Czarneckim (sic!), ożenił się z Polką i bardzo pomógł Biało-Czerwonym awansować na pierwszy po 16 latach mundial w Japonii i Korei w 2002 r. Jednak jego związek z Polską okazał się – ujmę to elegancko – okresowy. Niemniej świetnie, że dla nas grał. Podobnie jak kilka lat później pomocnik rodem z Brazylii – Roger Guerreiro. Ten też się przydał. Zbliżonym, „zadaniowym", reprezentacyjnym „transferem" był koszykarz z USA Jordan Loyd, który w zeszłym roku w szybkim tempie uzyskał polskie obywatelstwo i stał się kluczowym graczem naszej drużyny na EuroBaskecie, który zakończyliśmy w pierwszej ósemce.

Kilka dni temu srebrny medal na Mistrzostwach Europy w short-tracku zdobyła nasza sztafeta męska, której trzech zawodników na pięciu przyszło na świat poza krajem nad Wisłą. Mnie, Polakowi urodzonemu w Londynie, zupełnie to nie przeszkadza.

eprasa.pl a114821b69

OD A DO ZYBERTOWICZ

To nie kosmici!

To nie obca cywilizacja zabija pszczoły i niszczy więzi międzyludzkie. Winny jest system, który sami stworzyliśmy, a którego już nikt nie rozumie

Po wyjściu z kina pokłóciliśmy się. Wszystko przez film, a właściwie jego zakończenie. Upierałam się (i nadal tak twierdzę), że bohaterka filmu wcale nie okazała się kosmitką. Reszta mojej rodziny – na seans wybraliśmy się trzyosobowo – nie chciała się ze mną zgodzić.

Przyznam jednak, że filmu „Bugonia", czyli najnowszego dzieła greckiego reżysera Yórgosa Lánthimosa – jak i innego jego filmu „Biedne istoty" (2023), który zdobył cztery Oscary – raczej nikt nie uzna za kino familijne.

STRAŻNICY ULA

Gdzieś na amerykańskiej prowincji żyje dwóch kuzynów – starszy Teddy i młodszy Don. Teddy hoduje pszczoły i opiekuje się nie całkiem sprawnym intelektualnie Donem. Niby wiodą proste życie, według określonej rutyny. A jednak z dialogów co rusz wynika, że kuzyni mają za sobą jakieś okropne, nieprzepracowane przeżycia.

Niedaleko w luksusowej willi żyje samotnie kobieta o imieniu Michelle. Także według swojej rutyny. Współczesna bizneswoman. Zadbana i wysportowana szefowa potężnej, amerykańskiej korporacji farmaceutycznej. Dla świata jest symbolem sukcesu i nowoczesności. Wzorem dla wyzwolonych kobiet. Choć jej samej już zgrzyta w kółko powtarzana narracja o „różnorodności".

Ale dla Teddy'ego i Dona pani prezes jest śmiertelnym wrogiem ludzkości, bo jej firma zanieczyszcza środowisko. Zatruwa je tak bardzo, że pszczoły – owady kluczowe do zachowania bioróżnorodności – umierają. A jak zginą pszczoły, umrze też świat.

Zdaniem Teddy'ego Michelle nie jest istotą ludzką: „Masz 45 lat i w ogóle nie wyglądasz na tyle, nie możesz być człowiekiem" – mówi do kobiety. Ona „musi być" kosmitką, istotą obcą, przybyszką z dalekiej Andromedy. I trzeba ją powstrzymać, zanim dojdzie do zniszczenia ludzkości.

To przekonanie staje się początkiem planu ratowania świata. Planu, który bazuje na chorym systemie wierzeń Teddy'ego. Jego umysł został tak sformatowany różnymi „spiskowymi teoriami" z internetu, że nie jest w stanie wyrwać się ze swych obsesji. Brutalny plan kuzyna niczym wir wciąga poczciwego Dona. Torturowanie porwanej Michelle ma ją przymusić do ujawnienia swojej prawdziwej, pozaludzkiej tożsamości.

KOŁO ŻYCIA I ŚMIERCI

Przemoc Teddy'ego i Dana nie wzięła się znikąd – wyrosła na patologiach, poczuciu krzywdy, niesprawiedliwości i podłości. Czy zemsta może się nie dopełnić? Tragedia wydaje się nieuchronna.

„Bugonia" to greckie słowo (które w filmie w ogóle nie pada) określające starożytny rytuał, którego podstawą jest wiara, że pszczoły mogą samoistnie powstać z ciała rozkładającej się krowy lub byka. W starożytności wierzono, że jeśli te owady wyginęły w ulu, można je było „odrodzić" poprzez odpowiednio złożoną ofiarę z byka.

NAUCZKA

Koniec filmu to ofiara bez odrodzenia. Widzimy – uwaga: spoiler! – że wszyscy ludzie są już martwi. A my słyszymy słynny pacyfistyczny utwór „Where Have All the Flowers Gone".

„Bugonia" skojarzyła mi się z zupełnie innym filmem – „Civil War" Alexa Garlanda (2024), w którym USA pogrążają się w brutalnej wojnie domowej. Oba filmy to zupełnie różne historie, ale ten sam moralnie rozchwiany świat. Oba dotykają tego samego: obsesyjnego lęku, że system, który ma nas chronić, jest o krok od zawalenia się. A wtedy zostają tylko nieokiełznany gniew, przemoc i walka o przetrwanie.

W świecie Teddy'ego i Dona tak naprawdę nie ma kosmitów (próbuję to narzucić rodzinie!). Są tylko ludzie – samotni, zagubieni, czasem skrzywdzeni, podatni na strach, obsesje spiskowe i wszelkiego typu manipulacje.

Film genialnie kontrastuje korporacyjny żargon z paranoicznymi bredniami braci – dwa echa tej samej, jednak dysfunkcyjnej rzeczywistości. Oba światy każą nam ignorować fakty, by utrzymać iluzję kontroli nad swym losem.

To nie obca cywilizacja zabija pszczoły i niszczy więzi międzyludzkie. Winny jest system, który sami stworzyliśmy, a którego już nikt nie rozumie. Misja Teddy'ego i Dona jest desperacką próbą nadania sensu własnej traumie, własnemu życiu. I to jest najsmutniejsze.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 22/1225/F

eprasa.pl a114821b69

Stawiamy na rozwój telewizji wPolsce 24

Mobilne centrum transmisyjne
to **telewizja bliżej widzów**

Chcemy być wszędzie tam,
gdzie **bije serce Polski!**

WESPRZYJ patriotyczne media

numer konta: **69 1020 4900 0000 8202 3036 2577**

tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

epresa.pl a114821b69

NARODOWY BANK POLSKI

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

Narodowy Bank Polski posiada już

550 ton złota

o wartości ponad 270 mld zł!

Dzięki swojej niezależności Narodowy Bank Polski konsekwentnie realizuje strategię zarządzania rezerwami i zwiększania zasobów złota, budując bezpieczeństwo finansowe kraju. W tych trudnych czasach globalnych zawirowań i poszukiwania nowego porządku finansowego złoto jest jedyną pewną lokatą rezerw państwowych.

prof. Adam Glapiński,
Prezes NBP

Pod kierownictwem prof. Adama Glapińskiego Narodowy Bank Polski od 2018 r. zakupił łącznie około 447 ton złota – w tym 102 tony w 2025 r. Drugi rok z rzędu NBP był największym nabywcą złota spośród banków centralnych na świecie.

Narodowy Bank Polski zajmuje obecnie 12. miejsce wśród banków centralnych pod względem posiadanych zasobów złota. NBP podjął decyzję o dalszym zwiększeniu rezerw złota do poziomu 700 ton. Dzięki temu Polska znajdzie się w elitarnej dziesiątce państw o największych zasobach złota na świecie.

Zeskanuj kod QR
i pobierz najnowszą publikację

Polski złoty i niezależność NBP
jako fundamenty rozwoju gospodarczego